

POWIEJE CHŁODEM
Co zapowiada
dymisja Naimskiego

PAPIEŻ W KANADZIE
Niedokończona
pokuta Kościoła

LEKCJA ROZBIORÓW
Dlaczego Putin
tak lubi wiek XVIII

PIKETTY:
Świat w drodze
do równości

CEL TRZMIELA
Słodkie myśli,
gorzkie wybory

Kraków 7 sierpnia 2022 nr 32 (3813)

cena 12 zł (w tym 8% VAT)

TYGODNIK POWSZECHNY

NOWA MAPA POLSKICH EMOCJI

Katolickie pismo społeczno-kulturalne
TygodnikPowszechny.pl



Jak się
czujesz



bella

KUP!

**WYDANIE SPECJALNE
DOSTĘPNE OD 17 SIERPNIA
→ W NAJLEPSZYCH MIEJSCACH
Z PRASĄ**

ZAMÓW!

**Z GRATISOWĄ PRZESYŁKĄ
W PRZEDSPRZEDAŻY
→ NAPISZ NA
ZAMOWIENIA@TYGODNIKPOWSZECHNY.PL**



ciało!

UPRAWIA SPORT I JE, PRZEŻYWA
ROZKOSZ I PRACUJE, MENSTRUUJE
I RODZI, ŚNI I MEDYTUJE,
JEST ROZBIERANE, UBIERANE,
STARZEJE SIĘ, UMIERA I MARZY
O NIEŚMIERTELNOŚCI...

CZYTAJCIE O ASANACH
I ORGAZMACH, ANATOMII I SILE
DOTYKU, CIAŁOPOZYTYWNOŚCI
I ŻYCIU Z NIEPEŁNOSPRAWNOŚCIAMI.

ODKRYJCIE FENOMEN LUDZKIEJ
CIELESNOŚCI



22 Urzędnik ochrony państwa

MAREK RABINOWICZ
Znajomi Piotra Naimskiego uważają, że jako pełnomocnik do spraw energetyki przez siedem ostatnich lat w gruncie rzeczy robił to samo, co 30 lat wcześniej w UOP – wypłatywał Polskę z sieci wschodnich wpływów.



32 I łzy, i gniew

JOANNA GIERAK-ONOSZKO

„Pokornie proszę o przebaczenie za zło popełnione przez tak wielu chrześcijan wobec rdzennej ludności” – od tych obiecujących słów zaczęła się oficjalna część papieskiej pielgrzymki pokutnej do Kanady. Potem było już tylko gorzej.

50 Życie na pauzie

BARTOSZ RUMIŃCZYK
Marfa Rabkova ma 27 lat. Białoruski dyktator Alaksandr Łukaszenka chce, aby niemal drugie tyle spędziła za kratkami.



58 Ból bzyczenia

BARTOSZ BARAN
Wykazaliśmy, że owady zdolne są znosić bardziej nieprzyjemne doznania, gdy starają się o wartościową nagrodę. Ich małe mózgi mogą skrywać złożony umysł.

64 Historia w nawiasie

ROZMOWA Z THOMASEM PIKETTYM, EKONOMISTĄ:
Postęp gospodarczy zawsze szedł w parze z szerszym dostępem do edukacji i lepszymi zabezpieczeniami praw pracowników. Nie do wiary, że niektórzy o tym zapomnieli.



78 Więcej niż mgła

ANDRZEJ JURA
W górach wysokich polityka i granice, przynajmniej z perspektywy wędrowca, gubią znaczenie. Jest się w górach, a nie w Iranie.

6 Różne fronty jednej wojny WOJCIECH KONOŃCZUK

7-11 Obraz tygodnia

20-21 Czytania / Widzenia

MAŁGORZATA KORDOWICZ
O. WACŁAW OSZAJCA
ABP GRZEGORZ RYŚ
PIOTR SIKORA

■ ■ KRAJ

22 Urzędnik ochrony państwa MAREK RABJ

25 Powiedz mu wszystko

MAŁGORZATA NOCŃ: *Do Anny wciąż wraca pytanie: „A może mój syn mógł przeżyć?”*

29 Z Ruskimi było lepiej

DARIUSZ KAŁAN: *Jeszcze nie tak dawno wagony wypełnione po brzegi węglem formowały długie kolejki, czekając na rozładowanie*

■ ■ WIARA

32 I łzy, i gniew

JOANNA GIERAK-ONOSZKO

36 Tiara, pióropusz i boski Oddech

PIOTR SIKORA: *Po papieskiej pielgrzymce do Kanady pozostał problem doktrynalnej odpowiedzialności za stosowaną w imię religii przemoc i pytanie o stosunek Kościoła do innych religii*

38 Kościelna sauna

TOMASZ P. TERLIKOWSKI: *Skandale seksualne, a także reakcje na nie pozwalają zrozumieć, na czym polega „system klerykalny”*

■ ■ ŚWIAT

42 Ihor został na straży

PAWEŁ PIENIAŻEK Z CHARKOWA: *Mieszkańcy najbardziej zniszczonego osiedla w Charkowie próbują na nowo tchnąć w nie życie*

46 Geolodzy w służbie Kremļa

MARCIN ŻYŁA: *W Afryce zaczyna się właśnie druga zimna wojna*

TEMAT TYGODNIKA

12 Nowa mapa polskich emocji

ROZMOWA Z MARCINEM DUMĄ,
BADACZEM OPINII PUBLICZNEJ:

Boimy się dziś, że naszą przyszłością będzie bieda. Już nie chcemy pomagać ukraińskim uchodźcom. Nie widzimy wokół siebie niczego dobrego. Ale trochę się też oszukujemy.

16 Lepsze jutro było wczoraj

KAROLINA LEWICKA

Pod naporem fatalnych nastrojów społecznych padają kolejne bastiony propagandy partii rządzącej. Ale polityczne konsekwencje inflacji odczuje też opozycja.



■ FELIETONY ■

31 DOROTA MASŁOWSKA 41 ZUZANNA RADZIK

63 TOMASZ STAWISZYŃSKI

76 JAN KLATA 77 PAWEŁ BRAVO

82 STANISŁAW MANCEWICZ

82 BARTOSZ MINKIEWICZ

OKŁADKA:

MONTAŻ: TP-ONLINE

Redaktorka prowadząca: ANNA GOC

48 Włoski cud się skończył

PAWEŁ BRAVO: *Do Rzymu wraca demokracja all'italiana*

50 Życie na pauzie

BARTOSZ RUMIENIŃCZYK

■ ■ HISTORIA

53 Boże, strzeż od takich przyjaciół

MACIEJ MÜLLER:

Na własne życzenie przypieczętowaliśmy utratę suwerenności Rzeczypospolitej

■ ■ NAUKA

58 Ból bzyczenia

BARTOSZ BARAN

61 Słaby punkt nowotworu

ANNA BARTOSIK:

Zjawisko zaobserwowane u owadów jest podłożem jednej z terapii onkologicznych

■ ■ KULTURA

64 Historia w nawiasie

ROZMOWA Z THOMASEM PIKETTYM

68 Nieśmiali rewolucyoniści

JAN BŁASZCZAK:

Niepewni swoich głosów ukrywali je za potężnymi dźwiękami gitar. Niechciani introwertycy

71 Nasza stodoła

PIOTR KOSIEWSKI Z KASSEL:

Organizowanym co pięć lat dokumenta zawsze towarzyszyły ostre dyskusje i spory

74 Plac zabaw

ANITA PIOTROWSKA
o filmie „Niewiniątka”

■ ■ ZMYŚŁY

78 Więcej niż mgła

ANDRZEJ JURA

TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

➡ Czy Rosja pojedzie na igrzyska w Paryżu

Kreml przystąpił do walki o zdjęcie sankcji z rosyjskiego sportu

– pisze **ANNA ŁABUSZEWSKA**

tygodnikpowszechny.pl/rosyjskaruletk

➡ Kongo: przekłęci wybawcy w błękitnych hełmach

Ponad dwudziestu zabitych i prawie setka rannych, splądrowane i spalone budynki to bilans trzydniowych walk w Kongu – pisze

WOJCIECH JAGIELSKI | tygodnikpowszechny.pl/stronaswiata



f /TYGODNIKPOWSZECHNY ■ t /TYGODNIK ■ i /TYGODNIK ■ y YouTube /TYGODNIKPOWSZECHNY



OBRAZ
TYGODNIA

RÓŻNE FRONTY JEDNEJ WOJNY

Kolejnym rosyjskim zbrodniom na Ukrainie towarzyszą działania zmierzające do wywołania głębokiego kryzysu gospodarczego w Europie. Rosja liczy, że będzie to sposób na wygranie wojny.

WOJCIECH KONOŃCZUK

Sytuację na froncie rosyjsko-ukraińskim w ostatnich dniach najłatwiej jest podsumować stwierdzeniem: „bez większych zmian”. Rosja wciąż nie jest w stanie opanować całości Donbasu, choć niezmennie atakuje. Ukraina rozpoczyna przymusową ewakuację ludności części obwodu donieckiego i jednocześnie wysłała sygnały gotowości do kontrofensywy w kierunku Chersonia, choć nadal brakuje jej większej ilości zachodniej broni.

Zarazem rosyjskie ataki na obiekty cywilne stały się codziennością, a swoista rutynizacja zbrodni popełnianych przez Rosjan sprawia, że wiele mediów zachodnich informuje już tylko o tych najbardziej rażących. Jednym

z najnowszych przykładów był atak na barak dla ukraińskich jeńców w Ołeniwce, w wyniku którego zginęło co najmniej 40 z nich, a 130 zostało rannych. Propaganda rosyjska natychmiast oświadczyła, że wybuch spowodowała strona ukraińska.

Kreml ma długą tradycję mordowania jeńców, a tym razem być może chodziło o ukrycie bestialskiego znęcania się nad nimi. W ostatnich dniach do sieci trafiły nagrania pokazujące, jak Rosjanie barbarzyńsko traktują wziętych do niewoli jeńców ukraińskich. W społeczeństwie ukraińskim wywołuje to nie tyle defetyzm, jak chciałaby Moskwa, co zwiększa wolę oporu i wzmacnia przekonanie, że to wojna o fizyczne przetrwanie.

*Kombajn zniszczony
przez minę
przeciwczołgową,
obwód charkowski,
30 lipca 2022 r.*

Na tym tle pozytywnym sygnałem może być zawarte 22 lipca porozumienie o odblokowaniu trzech ukraińskich portów nad Morzem Czarnym, co ma umożliwić wznowienie eksportu ukraińskiego zboża. Dokument udało się wynegocjować przy współudziale ONZ, a jego akuszerem stała się Turcja. Pierwszy transport wyruszył z Odessy 1 sierpnia, ale kluczowe jest pytanie o trwałość porozumienia i jego przestrzeganie przez Rosję. Blokada wywozu żywności z Ukrainy miała w kalkulacji Kremla nie tylko pogłębić problemy ukraińskiej gospodarki, lecz także wywołać kryzys żywnościowy w krajach globalnego Południa, którego skutki rykoszetem uderzyłyby w Zachód. Wydawałoby się więc, że Rosja nie ma interesu w zdejmowaniu blokady z ukraińskich portów. Chyba że ceną za to będzie rzeczywiste poluzowanie niektórych sankcji zachodnich. Nie ma też wątpliwości, że Moskwa w każdym momencie może blokadę przywrócić, oskarżając Kijów o wymyślone prowokacje. W absurdalności kłamstw Kreml wciąż bije własne rekordy.

Jak na razie Rosja skupiła się na froncie energetycznym, zmniejszając dostawy gazu cięgiem Nord Stream 1 o 80 proc. Nawet najmocniej wierzący w racjonalność Rosji jako dostawcy surowców pozbyli się złudzeń – Kreml zmierza do wywindowania cen energii do niebotycznych rozmiarów, by pogłębić problemy gospodarcze Unii Europejskiej. Jeśli ktoś jeszcze się nie zorientował, to Moskwa wciąż dosadnie przypomina, że wypowiedział nam energetyczną wojnę na wyniszczenie. Rosyjskie rachuby są proste – zamożna i wygodna Europa, stojąc przed perspektywą chłodnej zimy, konieczności wyłączenia części przemysłu, wysokiej inflacji i masowego niezadowolenia wyborców, postąpi „pragmatycznie”, czyli zdejmie część sankcji oraz zmusi Kijów do ustępstw.

Moskwa nie jest tu zupełnie bez szans, skoro nawet szef ukraińskiej dyplomacji Dmytro Kuleba musiał publicznie zauważyć: „Pod pretekstem konieczności poprawy sytuacji [gazowej] przed zimą u niektórych naszych zachodnich partnerów zaczyna się pokusa negocjacji z Rosją. Spokojnie im tłumaczymy, dlaczego ich nadzieje na konstruktywną pozycję Rosji są niezgodne z rzeczywistością”.

Większe jest jednak prawdopodobieństwo, że Kreml osiągnie skutek odwrotny do zamierzonego – Europa przetrwa zimę bez rosyjskiego gazu, co zmusi ją do przyspieszonej (choć niezwykle kosztownej) derusyfikacji swoich sektorów energetycznych. W trwającej na wielu frontach wojnie wygra bowiem ten, kto zachowa więcej konsekwencji i uporu. Kto mrugnie pierwszy – przegra. ©

WOJCIECH FELESZKO, IMMUNOLOG:

Najgorsze za nami

MACIEJ MÜLLER: Na początku roku powiedział Pan w rozmowie z „Tygodnikiem”, że „w czerwcu będzie po wszystkim”. Tymczasem trwa fala letnia covidu, a rząd przestrzega już przed jesienią.

PROF. WOJCIECH FELESZKO:

Podtrzymuję tezę, że jest „po wszystkim” i że – przynajmniej w Europie – najgorsze mamy za sobą. Biologia nowych wariantów wirusa oraz wysoki stopień uodpornienia społeczeństw Zachodu sprawiają, że kolejne fale infekcyjne nie powodują przeciążenia szpitali, nie obserwujemy też zwiększonej śmiertelności. Oczywiście nie znamy dokładnej skali zakażeń, m.in. ze względu na bardzo ograniczone testowanie, na razie jednak nie widać zagrożeń dla wydolności systemu. Jak gdyby wirus stracił zęby. Chorujący na covid mają najczęściej objawy przypominające przeziębienie lub grypę. Dostają wysokiej gorączki, czują się fatalnie, ale w sensie medycznym jest to lekki przebieg.

Co wiemy, a czego nie wiemy o SARS-CoV-2?

Nie sądziliśmy, że kolejne warianty koronawirusa będą tak skutecznie uciekały odporności poszczepiennej i tej po przechorowaniu. Znam osoby chorujące na covid wielokrotnie, przy każdej zmianie dominującej mutacji. Zaskoczył nas też nieco fakt, iż mimo znaczącego wyszczepienia dużych grup społecznych nie udało się całkowicie powstrzymać zakażeń. Na początku akcji szczepień naiwnie wierzyliśmy, że one powstrzymają zachorowania. Nie powstrzymały. Za to bardzo ograniczyły liczbę przypadków śmiertelnych. Ci, którzy dziś są leczeni na covid na intensywnej terapii i niekiedy umierają, to niemal wyłącznie osoby niezaszczepione. Wciąż trwają badania nad mechanizmami prowadzącymi do burzy cytokinowej (niebezpiecznej, nadmiernej reakcji układu immunologicznego) czy zespołów long covid. Uczymy się leczyć i rehabilitować odległe

w czasie powikłania, jak ograniczenie wydolności fizycznej czy utratę smaku.

Skoro najgorsze mamy za sobą, to warto się szczepić?

Covid ciężko przechodzą osoby po 60.-65. roku życia i im najbardziej grożą powikłania. A każda przyjęta dawka szczepionki zmniejsza ryzyko poważnego przebiegu. Więc osoby z grup ryzyka i ci, którzy do tej pory nie przyjęli szczepionki lub przyjęli mniej niż trzy dawki, powinni się po nią zgłosić. Najwyższą odporność mają ci, którzy i przechorowali covid, i przyjęli wszystkie dawki. Zaawansowane są prace nad preparatami, w których znajdują się antygeny związane

z nowymi wariantami. Przypuszczam, że w przyszłości będziemy co roku „doszczepiać się” przeciw nowym mutacjom, tak jak to jest w przypadku szczepionki na grypę. Być może uda nam się w ten sposób ochronić także przed reinfekcjami. Covid stanie się zapewne chorobą sezonową i nie będzie już destabilizował życia społecznego i gospodarczego.

A fala jesienna? Dzieci wrócą do szkół, liczba interakcji społecznych wzrośnie.

Zakażeń będzie z pewnością więcej, ale takie zamknięcie kraju, jak w 2020 r., na pewno nam już nie grozi. Wtedy byliśmy bezbronni, a wirus niebezpieczny i zabijający. Dzisiaj i odporność stadną mamy sporą, i zmutowany wirus jakby łagodniejszy. Jestem więc daleki od alarmowania, że nadciąga katastrofa.

Zalecałby Pan noszenie masek w transporcie publicznym czy sklepach?

W zamkniętych przestrzeniach, takich jak przedział kolejowy czy samolot, zalecałbym – ale na miękko, bez przymusu. Pamiętam, jak przed pandemią śmiało się z Azjatów (doświadczonych wcześniej epidemiami SARS1 czy MERS), którzy na lotniskach całego świata chodzili w maskach. Niewykluczone, że takie zachowania się upowszechnią w Europie i przestaną dziwić. ©

DR HAB. WOJCIECH FELESZKO
jest pediatrą, immunologiem
i pulmonologiem.



PIOTR RATAJSKI / ARCHIWUM PRYWATNE

Kraina dużych ssaków

OKOŁO 70 MŁODYCH KOZIC urodziło się w Tatrach tej wiosny, a nowe potomstwo stanowi nieco ponad 10 proc. całej populacji – tak wynika z danych zebranych 14 czerwca przez parki narodowe po obu stronach granicy. Wspólne akcje liczenia kozic odbywają się od 1957 r., to najstarszy monitoring przyrodniczy prowadzony przez dwa państwa. W tym roku słaba widoczność nie sprzyjała jednak 220 wolontariuszom i pracownikom parku, którzy wypatrywali parzystokopytnych wspinaczy. Ciężko więc szacować rozmiar całej populacji (w zeszłym roku doliczono się 760 osobników), ale liczba zaobserwowanych młodych daje pewność, że gatunkowi nic nie grozi.

Jeszcze lepiej mają się polskie żubry – na koniec 2021 r. było ich 2429. Z czego 206 w hodowlach zamkniętych i 2223 na wolności – najwięcej w Puszczy Białowieskiej (779) i Bieszczadach (729). W ciągu zaledwie dwóch lat przybyło nam 160 największych lądowych ssaków Europy. Ale żubr nie jest wyjątkiem. Od 1960 r. wzrosły populacje prawie wszystkich dużych ssaków, od pospolitych saren, jeleni i dzików po rysie, rosomaki i koziorożce pirenejskie. Zdecydowanym zwycięzcą jest bóbr, nasz największy gryzoń, którego populacja wzrosła niemal 140-krotnie.

Przyczyna jest jedna: przestaliśmy te zwierzęta tępić. Ograniczyliśmy polowania, a rolnicy i hodowcy mają inne metody ochrony swoich pól i zwierząt. Takim przykładem są polskie wilki i losie: pierwszy z tych gatunków był u nas w latach 70. na skraju wyginięcia, a dziś mamy jedną z największych populacji w Europie. Drugi nadal jest gatunkiem łownym, ale od 21 lat obowiązuje moratorium zakazujące polowań. Od tego czasu jego liczba zwiększyła się kilkukrotnie.

© P. KRZYSZTOF STORY

KRAJ W SKRÓCIE

KASY NIE BĘDZIE

Ponad 27 mln zł miało być przeznaczonych na podwyżki dla urzędników, w tym tych najważniejszych w Polsce. Np. prezydent Andrzej Duda otrzymałby dodatkowe 2 tys. zł miesięcznie. Gniew opinii publicznej okazał się jednak tak wielki, iż natychmiast premier i prezes PiS ogłosili, że z ustawy zostaną wyłączeni politycy. Dobra władza słucha głosu ludu.



KPRM.GOV.PL

ODWAŻNY WYBÓR

Piotr Naimski, ten, który „blokował wszystko” i został pozbawiony stanowiska pełnomocnika premiera ds. infrastruktury energetycznej, ma już następcę. Mateusz Berger (na zdjęciu) jest adwokatem, pracował też w PKO BP, szefował radzie nadzorczej LOT-u, aż trafił do Agencji Rozwoju Przemysłu, gdzie był zaangażowany w morskie projekty energetyki wiatrowej. Biorąc pod uwagę, że PiS faktycznie zablokowało jej rozwój, można się zacząć martwić o losy Baltic Pipe i elektrowni atomowej.

HAMULEC

Inflacja w lipcu wyniosła 15,5 proc. To wciąż bardzo dużo, ale przynajmniej po raz pierwszy od miesięcy udało się zahamować dynamikę wzrostu cen. Najgorzej jest w kwestii kosztów energii oraz cen paliw (36 proc. w górę), trochę lepiej w przypadku żywności (15 proc.). Mała rzecz, a cieszy.

Mały bonus dla swoich

FUNDACJA BATOREGO od dwóch lat przygotowuje raporty analizujące sposób dystrybucji pieniędzy przekazywanych samorządom w ramach programów finansowanych z budżetu państwa. Nigdy w historii Polski lokalne społeczności nie otrzymywały aż tylu pieniędzy od rządu – ale też nigdy nie były od niego tak zależne, m.in. przez przepisy, które odebrały samorządom bezpośredni dostęp do funduszy, także tych unijnych.

Tym razem Paweł Swianiewicz i Jarosław Flis wzięli pod lupę Program Inwestycji Strategicznych w ramach Polskiego Ładu, o wartości niemal 25 mld zł. Wyróżnili gminy rządzone przez działaczy PiS lub osoby z nim związane, gminy pod kontrolą partii opozycyjnych oraz takie, w których rządzą osoby niezależne od politycznych afiliacji.

Jak się można było spodziewać, władze z PiS otrzymują więcej funduszy, jednak dysproporcje nie są wielkie. Aż 97,5 proc. pieniędzy „zostało rozdzielonych w sposób neutralny”. Tylko 2,5 proc. stanowiło swoisty bonus dla swoich. Inna sprawa, że gminy rządzone przez PiS są nieliczne, więc ten mały z pozoru odsetek przekładał się na spore sumy. W porównaniu z niektórymi gminami, w których rządzą ludzie związani z PO, oznaczało to niemal dwukrotnie wyższą dotację. Ogólnie jednak PiS nie działa już tak bezceremonialnie jak dwa lata temu, gdy „bonus” sięgał nie 2,5, ale 14 proc.

Kolejna zależność, jaka rzuciła się w oczy badaczom, polega na tym, że proporcjonalnie więcej pieniędzy otrzymują gminy małe, do 10 tys. mieszkańców. W ostatnim rozdaniu zgarnęły po 1400 zł na osobę. Gminy od 10 do 25 tys. mieszkańców dostały 600 zł na głowę, a miasta powyżej 100 tys. – ledwie 176 zł. Tu również da się wyczuć politykę. Co prawda wielkie ośrodki są bogatsze, ale też świadczą wiele usług dla całego regionu. Problem w tym, że w żadnym nie rządzi PiS.

© P. MAREK KĘSKRAWIEC

Polacy coraz dłużej mieszkają z rodzicami

EUROPEJKA wyprowadza się z domu rodzinnego przeciętnie w wieku 25,5 lat, Europejczyk – 27,4. Tymczasem Polacy, zarówno kobiety, jak i mężczyźni, mieszkają z rodzicami średnio o ponad dwa lata dłużej – wynika z raportu „Polska w Unii Europejskiej” opracowanego przez Główny Urząd Statystyczny. W naszym kraju odsetek gniazdowników – bo tak nazywa się osoby w wieku 25-34 lata, które mieszkają z rodzicami, nie mają współmałżonka i nie są rodzicami – jest jednym z najwyższych w Europie.

Bardziej niepokojące wyniki zanotowano jedynie w Portugalii, Chorwacji, Grecji, Słowacji i we Włoszech. Włosi określają to zjawisko od lat słowem „bamboccione”, które – jak pisze Barbara Pędzich na stronie internetowej Obserwatorium Językowego UW – „niesie ujemną (czasem żartobliwą) ocenę młodych osób – wskazuje na ich niezaradność, niedojrzałość i wygodnictwo”.

Późne opuszczanie rodzinnych domów skutkuje również gorszym wskaźnikiem przeludnienia mieszkań, który w Unii Europejskiej wynosi 17,5 proc, a w Polsce – 36,9 proc.

© P. ANNA GOC



MICHEL LUNGA / AFP / EAST NEWS

NIESPOKOJNIE w Demokratycznej Republice Kongo. Co najmniej 19 osób zginęło podczas serii demonstracji w miejscowościach Goma i Butembo; gniew mieszkańców wymierzony był w żołnierzy oenzetowskiej misji MONUSCO, obwinianych tutaj o bierność wobec coraz częstszych ataków grup rebelianckich, które od lat terroryzują wschodnie pogranicza Kongo. Z kolei według ONZ w tłum protestujących wmieszali się kryminaliści i członkowie ADF, grupy zbrojnej powiązanej z Państwem Islamskim. Na zdjęciu: kongijska żandarmeria podczas demonstracji w Gomie, 26 lipca 2022 r. © © ŻYM

Tajwańska ruletka supermocarstw

MAREK RABIJ



DO AZJI WYRUSZYŁA WŁAŚNIE DELEGACJA amerykańskiego Kongresu z Nancy Pelosi, przewodniczącą Izby Reprezentantów, na czele. W planie podróży są Singapur, Malezja, Korea Południowa oraz Japonia. Nie ma natomiast Tajwanu. Sama wzmianka, że amerykańska polityczka takiego szczebla mogłaby się tu zjawić po raz pierwszy od 25 lat, wywołała w Chinach furię.

Na kilka dni przed wylotem delegacji w rozmowie telefonicznej z Joe Bidenem Xi Jinping przypomniał prezydentowi USA, by Waszyngton przestrzegał zasady „jednych Chin”, która w wykładni Pekinu sprowadza się do uznania Tajwanu za integralną część Chińskiej Republiki Ludowo-Demokratycznej, podobnie jak Hongkongu i Makau. Na dzień przed wylotem amerykańskiej delegacji Chiny zorganizowały na wodach prowincji Fujian (nieco ponad sto kilometrów od brzegów Tajwanu) pokazowe ćwiczenia z użyciem ostrej amunicji. Na początek sierpnia zapowiedziano większe manewry na Morzu Południowochińskim – co z kolei skłoniło amerykańską marynarkę do przesunięcia w ten rejon lotniskowca USS „Ronald Reagan”.

Napięcie między mocarstwami pokazuje, że w kwestii statusu Tajwanu wyczerpał się misterny polityczny kompromis, który oba kraje wypracowały w trakcie historycznej chińskiej wizyty prezydenta Richarda Nixona w 1972 r. W tzw. komunikacie szanghajskim Chiny zastrzegły sobie wówczas prawa do Tajwanu. USA z kolei „przyjęły do wiadomości”, że po obydwu stronach Cieśniny Tajwańskiej Chińczycy uznają istnienie jednych Chin – ale nie potwierdziły, że się z tym zgadzają, i w praktyce wspierały latami Tajwan. Coś, co w latach 70. pozwoliło komunistom wyjść z twarzą i jednocześnie zyskać międzynarodowe uznanie, pół wieku później, dla politycznych wnuków b. premiera Chin Zhou Enlaia, stanowi już tylko zbędny balast. Dla Waszyngtonu niepodległość Tajwanu to zaś nie tylko kwestia sojusznictwa zobowiązań (w maju, przebywając w Tokio, Joe Biden oświadczył, że Stany Zjednoczone staną w obronie Tajwanu, gdyby to państwo zostało zaatakowane przez Chiny), ale przede wszystkim ostatnia być może szansa na pokrośnienie imperialnych ambicji Pekinu, który Azję Południowo-Wschodnią uważa za strefę swoich wyłącznych wpływów. © ©

Łukaszenka represjonuje księży

NA 15 DNI ARESZTU białoruskie władze skazały ks. proboszcza Andreja Waszczuka, salwatorianina z Witebska. – Takich zatrzymań będzie więcej – uważa Andrej Stryżak, założyciel BySol, funduszu wspierającego ofiary represji w Białorusi.

Wyrok zapadł 18 lipca, za zamkniętymi drzwiami. Wiadomo tylko, że duchowny odpowiadał z kodeksu wykroczeń – który pozwala na ściganie m.in. eksponowania biało-czerwono-białych barw, wygłaszania krytycznych komentarzy o wojnie w Ukrainie czy lektury mediów „ekstremistycznych”. Białoruskie Centrum Praw Człowieka „Wiasna” tylko w lipcu udokumentowało niemal 150 podobnych przypadków.

Ks. Waszczuk umieścił w sieci zdjęcie w masce z hasłem „Państwo do Życia” na tle biało-czerwono-białych barw. To logo kanału internetowego, w którym start w wyborach prezydenckich 2020 r. ogłosił Siergiej Cichanowski. Gdy został aresztowany, wyzwanie Łukaszence rzuciła jego żona, Swiałłana, i według niezależnych źródeł wyборы wygrała.

Jak tłumaczy „Tygodnikowi” Andrej Stryżak, uderzenie w duchownych katolickich to kolejna odsłona kampanii przeciw białoruskiej Polonii, często wyznania katolickiego. Gdy w 2020 r. ówczesny arcybiskup Kościoła katolickiego w Białorusi Tadeusz Kondrusiewicz zaapelował o „uczciwe, wolne i sprawiedliwe” wybory prezydenckie, uznano go za *persona non grata*, gdy odbywał podróż służbową do Polski. W marcu tego roku ks. Aleksander Baran dostał sześć dni aresztu za umieszczenie w sieci flagi biało-czerwono-białej obok niebiesko-żółtej. A grzywny za udostępnianie informacji z „ekstremistycznych” źródeł musieli płacić księża Jauhien Uczkuronis, Wasil Jahoraw i Andrej Bulczak. Ten ostatni przed prześladowaniem politycznym uciekł do Polski.

Kościół białoruski lawiruje między otwartym napominaniem reżimu a dyplomatycznymi apelami o dialog, a pojedynczy duchowni ponoszą konsekwencje, gdy zabierają jasny głos w kwestiach politycznych i etycznych.

© BARTŁOMIEJ RUMIEŃCZYK

KOŚCIÓŁ W SKRÓCIE

KAPSUŁA

Zaktualizowaną kapsułę czasu, odkrytą w maju tego roku, umieszczono na nowo w kopule wieży kościoła w Janowie Lubelskim.

Proboszcz tamtejszego sanktuarium maryjnego ks. Tomasz Lis relacjonował, że dla potomnych pozostawił w niej m.in. współczesne monety polskie i unijne, list opisujący wizytę w mieście premiera Morawieckiego, kilka gazet i tygodników („TP” zabrakło) oraz swój własny tekst o sytuacji na świecie.

SZKLANKA

„Zdraczą narodu i wiary jest ten, kto dzieci i młodzież chciałby wychować ze szklanką piwa lub kieliszkiem wina w rękę” – w apelu na sierpień, miesiąc abstynencji, bp Tadeusz Bronakowski przypomina słowa bł. ks. Bronisława Markiewicza. List podkreśla szkodliwość społeczną reklam alkoholu, w tym napojów 0%, które przez to, że „mają tych samych producentów i niemal identyczne nazwy”, osławiają młodzież z „logotypami, markami i opakowaniami”.

HALABARDA

Największe zagrożenie dla papieża pochodzi ze strony „nadgorliwych pielgrzymów, którzy pędzą na niego lub nie chcą go puścić” – zdradza członek Gwardii Szwajcarskiej Manuel von Däniken. Gwardia liczy 135 członków, mogą do niej kandydować wyłącznie katolicy szwajcarscy w wieku 19-30 lat z doświadczeniem wojskowym.



**DZIENNIKARZE
I AUTORZY
„TYGODNIKA”**

co tydzień są gośćmi Grzegorza Chlasy w Polskim Radiu RDC. Audycję można także odsłuchać w podkastach na stronie internetowej radia www.rdc.pl
Warszawa 101 FM
Ostrów Maz. 87,6 FM | Radom 89,1 FM
Ostrołęka 100,8 FM | Płock 101,9 FM
Siedlce 103,4 FM

Dogmaty
prawnie chronione

„WYSZYDZANIE, DRWINY, OBRAŻANIE, plugawienie najświętszych dla wierzących dogmatów, jest dziś bezkarne” – podkreśla wiceminister sprawiedliwości Marcin Warchoł w rozmowie z KAI. Dlatego Solidarna Polska próbowała niedawno przeforsować w Sejmie projekt nowelizacji kodeksu karnego. Projekt upadł (z powodu oporu PiS), więc posłowie Solidarnej Polski starają się o podpisy pod obywatelskim projektem ustawy, który m.in. zakłada, że „kto publicznie lży lub wyszydza Kościół lub inny związek wyznaniowy o uregulowanej sytuacji prawnej, jego dogmaty i obrzędy, podlega karze do 2 lat pozbawienia wolności”.

Obecnie kodeks karny chroni przed „złośliwym przeszkadzaniem” podczas liturgii (art. 195) oraz przed „obrażaniem uczuć religijnych” (art. 196). Nowoczesne prawodawstwo odeszło bowiem od bezpośredniej ochrony wierzeń, czynności i przedmiotów kultu. Solidarna Polska chce ją przywrócić.

Fundamentem państwa prawa jest równość wszystkich wobec prawa. Jeśli ustawodawstwo uprzywilejowuje jakąś grupę, godzi w ten fundament, a jeśli grupą tą jest wspólnota religijna, państwo prawa staje się państwem wyznaniowym. Paradoksalnie, jeśli religią uprzywilejowaną przez prawo jest katolicyzm, godzi to w jego istotę – Jezus nie podjął swojej misji po to, by jego wyznawcy mieli świeckie przywileje.

© © ARTUR SPORNIAK

Cyryl, persona non
grata na Litwie

JAKO PIERWSZY KRAJ UE Litwa objęła sankcjami prawosławnego patriarchę moskiewskiego Cyryla. Litewskie MSW umieściło zwierzchnika Rosyjskiego Kościoła Prawosławnego na liście osób niepożądanych na najbliższych pięć lat. Litewskie władze podkreślają, że Cyryl zanegował integralność terytorialną i suwerenność Ukrainy oraz poparł agresję Rosji na sąsiedni kraj z naruszeniem prawa międzynarodowego.

Jak podała rosyjska agencja informacyjna Interfax, rzecznik Patriarchatu Moskiewskiego w odpowiedzi zarzucił rządowi litewskiemu lekceważenie prawa prawosławnych obywateli. Jego zdaniem, jest to „zdrada idei wolności religijnej i europejskiej tradycji prawnej”.

Sankcje na Cyryla nałożyły do tej pory Kanada i Wielka Brytania. Londyn już w połowie czerwca zamroził aktywa patriarchy w Wielkiej Brytanii. Litwa bezskutecznie lobbowała na rzecz sankcji UE przeciwko Cyrylowi. Ukaranie zwierzchnika rosyjskiego prawosławia uniemożliwił swoim wetem węgierski rząd Viktora Orbána. © © ASK

Czy Eucharystii szkodzi kąpielówki



ARTUR SPORNIAK

OSTATNI DZIEŃ OBOZU MŁODZIEŻOWEGO (z programem antymafijnym) w Katanii uczestnicy postanowili spędzić nad morzem. Była niedziela i powstał problem uczestnictwa w mszy. Pobliski laszek sosnowy był zajęty, słońce niemiłosiernie prażyło. Mediolański wikary postanowił odprawić liturgię w wodzie. Zdjęcia kapłana z nagim torsem, wznoszącego kielich nad pływającym materacem obiegły media. Podniosły się głosy o profanacji. Tradycjonałści pytali, dlaczego taka liturgia jest dozwolona, a przedsoborowa msza napotyka ograniczenia.

Z drugiej strony, czy materac jest mniej godny od kajaka, nart, plecaka, a nawet siana, na których msze odprawiał podczas wypraw z młodzieżą ks. Karol Wojtyła? Woda nie jest też środowiskiem obcym liturgii – przykładem obrzędy chrztu sprawowane przez pełne zanurzenie.

Liturgista ks. Marek Blaza SJ zauważa jednak, że słynna już msza mogła zostać odebra-

na przez widzów jako parodiowanie liturgii. Z kolei wykładowca w Papieskim Instytucie Liturgicznym „Anselmianum” w Rzymie o. Dominik Jurczak OP mówi o naruszeniu świętości mszy: – Szacunek do Eucharystii przejawia się m.in. w tym, że nie jest ona tylko dodatkiem do niedzieli.

Nie ma szczegółowych przepisów regulujących sprawowanie mszy „turystycznych”. Watykańska instrukcja „*Redemptionis sacramentum*” z 2004 r. o nadużyciach liturgicznych domaga się, by na odprawianie mszy poza „miejscem świętym” kapłan miał pozwolenie biskupa. Nie może też rezygnować ze stroju liturgicznego (alby, stuły i ornatu).

Pamiętam mszę odprawianą na pniu porośniętym mchem i borówkami wśród paproci wielkości człowieka na stokach Babiej Góry. Szkoda, że Kościół – jak twierdzi o. Jurczak – coraz bardziej wzbrania się przed sprawowaniem liturgii w takich okolicznościach. © ©

KULTURA W SKRÓCIE

„GŁUPCY”
W PALIĆ

Film Tomasza Wasilewskiego „Głupcy” zdobył nagrodę w Palić. To fabularna historia dojrzalego małżeństwa, którego codzienność w pewnym momencie zaczyna się rozpadać. Serbski festiwal filmowy jest jednym z najważniejszych w regionie, a także laureatem nagrody EFFE dla najbardziej ekscytujących europejskich imprez poświęconych sztuce.

„STRAJK”
W ARLES

Książka Rafała Milacha „Strajk” zaprezentowana z Anią Nałęczką-Milach i przedstawiająca kadry ze Strajku Kobiet w 2020 r. zdobyła główną nagrodę w kategorii książki autorskiej na organizowanym od 1970 r. francuskim Les Rencontres d'Arles. To jedna z najstarszych i najbardziej prestiżowych imprez fotograficznych na świecie, która każdego roku przyznaje nagrody za najlepsze albumy.

„WYCZULONE”
W GDAŃSKU

Tymczasem na zbiorowej wystawie w Gdańskiej Galerii Fotografii aż do październik możemy oglądać prace kilkudziesięciu polskich artystek, które łączy uwrażliwienie na kwestie egzystencjalne, tożsamościowe i społeczne. Zobaczymy tu m.in. zdjęcia Zofii Chomętowskiej, Katarzyny Kozyry, Zofii Kulik, Ewy Partum czy Alicji Żebrowskiej.


Pierwsze
Radio
Informacyjne

DZIENNIKARZE

I AUTORZY „TYGODNIKA”

co tydzień goszczą w programie „Światopodgląd” Agnieszki Lichnerowicz w radiu TOK FM.

Słuchaj od wtorku do piątku o godzinie 15.00. Zapraszamy! 95,2 FM Gdynia | 95,8 FM Wrocław 96,9 FM Opole | 97,4 FM Łódź 97,4 FM Katowice | 97,7 FM Poznań

www.tokfm.pl



FRANS LANTING / BREW

IMPONUJĄCE DZIOBY TUKANÓW (na zdj. *Ramphastos ariel*) pozwalają im zjadać nasiona i owoce niedostępne dla innych ptaków. Ale nawet to nie gwarantuje im łatwego losu. Z nowych badań wynika, że u ptaków globalnie dochodzi do homogenizacji kształtów i rozmiarów ciała oraz sposobów życia, ponieważ najbardziej „oryginalne” gatunki, zajmujące unikalne nisze (m.in. tukany i sępy), najgorzej znoszą zmiany środowiska – i wymierają. Odpowiada za to m.in. ocieplenie klimatu. W chłodniejszych regionach, dokąd migruje wiele gatunków, najszybciej zaczyna brakować miejsca dla dziwaków. © P Ł K

Jak zaczęliśmy tolerować laktozę

WIĘKSZOŚĆ LUDZKOŚCI trawi laktozę, zawarty w mleku cukier, tylko w niemowlęctwie. Później produkcja laktazy – enzymu odpowiedzialnego za jego metabolizm – gwałtownie spada. Po spożyciu surowego mleka laktoza trafia wtedy do jelita grubego, gdzie ściąga wodę oraz staje się pożywką dla bakterii jelitowych. Efekt: gazy, wzdęcia, biegunka.

U wielu jednak społeczności w Europie, zwłaszcza północnej, oraz niektórych w Azji i Afryce pojawiła się mutacja, wskutek której laktaza wytwarzana jest też w dorosłości. Dotąd uważano, że zdolność ta wyewoluowała za sprawą udomawiania zwierząt w neolicie. Ich mleko stało się obfitym źródłem energii – laktaza rozkłada laktozę do galaktozy i glukozy, a ta jest paliwem mięśni – oraz wapnia. Neolityczni pasterze tolerujący laktozę mieli większe szanse przetrwania i wydania potomstwa.

Ale według autorów publikacji, która właśnie ukazała się w „Nature”, samo picie mleka to za mało, by pchnąć ewolucyjną maszynę. Przebadali oni tłuszcze zachowane na ok. 7 tys. fragmentów ceramiki z ostatnich 9 tys. lat i zestawili z analizą 1293 ludzkich genomów z tych samych czasów. Okazało się, że już 7 tys. lat p.n.e. mleko było codziennym pokarmem, choć tolerancja laktozy upowszechniła się tysiące lat później. Co więcej, ślady jej upowszechniania pokrywają się z archeologicznymi świadectwami okresów plag i głodu.

Dopiero ten zbieg czynników uruchomił ewolucję. Otóż zwykła biegunka w obliczu niedożywienia i choroby grozi śmiertelnym odwodnieniem. Tolerujący laktozę Europejczycy mogli złe czasy przeżyć i przekazać swój mleczny gen.

© P MICHAŁ KUŹMIŃSKI

Księga białek

BEZ NICH nie byłoby tego wydania „Tygodnika”. Ani cywilizacji. Ani życia w ogóle. Aby zrozumieć działanie białek, naukowcy muszą jednak znać ich skład i kształt, to, jak pasują do siebie chemiczne klucze i zamki. Po pół wieku żmudnych prac publiczna baza danych Protein Data Bank zawierała nieco ponad 50 tys. struktur.

Ta liczba urosła właśnie do ponad 200 mln. Opracowany przez firmę DeepMind algorytm AlphaFold nauczył się odtwarzać trójwymiarowe struktury białek na bazie danych o ich składzie i stworzył modele niemal wszystkich, które znane są nauce. „Google dla białek” może przyspieszyć badania nad lekami – w tym na rzadkie choroby czy nowotwory. Ale też nad enzymami rozkładającymi plastik czy zwiększającymi plony. Dane pobrało już 500 tys. naukowców.

Następcy AlphaFold mają wkrótce znaleźć zastosowanie w klimatologii, chemii kwantowej czy fuzji jądrowej. Wreszcie, po latach obietnic i marketingowych sloganów, AI pokazała, że może faktycznie zmienić świat – na lepsze.

© P WOJCIECH BRZEZIŃSKI

NOWA MAPA POLSKICH EMOCJI

MARCIN DUMA, BADACZ OPINII PUBLICZNEJ:

Boimy się dziś, że naszą przyszłością
będzie bieda. Już nie chcemy pomagać
ukraińskim uchodźcom.
Nie widzimy wokół siebie niczego dobrego.
Ale trochę się też oszukujemy.



MAREK KĘSKRAWIEC: Postanowiliście namówić Polaków do szczerej rozmowy o ich stanie ducha. Z tego, co wiem, wyniki tych spotkań są przygnębiające.

MARCIN DUMA: Raz na kwartał IBRiS przeprowadza serię wywiadów badawczych z Polakami, dobranymi według klucza zapewniającego jak najszerzą reprezentację opinii. To jest pomiar jakościowy, a nie ilościowy. Nie odczytujemy im pytań i kilku odpowiedzi, z których muszą wybrać właściwą dla siebie. Tu mamy do czynienia z długą swobodną rozmową, której jedynym ograniczeniem jest prowadzenie jej przez moderatora.

Domyślam się, że ta metoda pozwala lepiej wczuć się w emocje, które nam dziś towarzyszą?

Wszystkie badania mające charakter ilościowy, oparte na ankietach, mówią o konkretnych opiniach i postawach. W naszych pogłębionych rozmowach udaje się zeszkobać trochę lakieru, zauważyć zjawiska i emocje, które często wyprzedzają to, co później wychodzi nam w badaniach ankietowych, prowadzonych na dużo większej grupie osób. Nie mamy oczywiście szklanej kuli, w której widzimy przyszłość, ale dostrzegamy wyraźnie, jakie nastroje kielkują w społeczeństwie i w jakie postawy mogą się przerodzić. Nie pytamy, „co sądzisz o...”, ale oddajemy głos badanym, staramy się dowiedzieć, jakie są źródła określonych postaw.

Kogo wzięliście pod lupę w czerwcu?

Cztery grupy. Pierwszą byli ludzie ze wschodniej Polski, z małych miast i wsi, można ich określić jako zawiedzionych wyborców PiS-u, którzy zapewniali tej partii zwycięstwo w poprzednich wyborach. Twardego elektoratu nie pytaliśmy, gdyż zbyt mocno ulega on komunikatom partii – tak samo zresztą, jak twardy elektorat Platformy – i ciężko z nim nawiązać dialog. Miękki elektorat ma podobne poglądy, ale nie jest tak sztywny, dostrzega różne warianty zjawisk, nie jest doktrynerski.

Do pozostałych grup również wybraliśmy miękki elektorat: wyborców PO oraz Szymona Hołowni z dużych i średnich miast kilku regionów kraju, a także zwolenników Lewicy z małych i śred-

nich miast zachodniej Polski. W przypadku elektoratu opozycji badaliśmy osoby w wieku 30 plus, w przypadku PiS wyborcy są starsi, więc przyjęliśmy kryterium 40 plus.

Zdziwiły Pana wyniki?

Niektóre tak. Radykalnie pogorszył się stosunek do uchodźców w porównaniu z badaniem z przełomu lutego oraz marca. To nie znaczy, że Ukraińcy mają wyjechać z Polski, ale uważamy, że dość już wypłat z programu 500 plus, że mają zabrać się do roboty i usamodzielnąć.

Czyli opowieści o dozgonnej przyjaźni, która się między naszymi narodami zrodziła, i która rozwiąże wszystkie spory na czele z Wołyniem, to mit?

W części rozmów ujawnił się wręcz pogardliwy stosunek do Ukraińców, którzy jako figura retoryczna zastąpili tzw. patologię albo ludzi wożących się na zasiłkach i pijących krew ciężko pracującego podatnika. Wielu z nas zaczęło uważać, że uchodźcy nas doją, sami nic z siebie nie dając. Powtarzającym się motywem jest spostrzeżenie, jak dobrymi autami jeździ część z nich. To bardzo ludzi kłuje. Miały być same stare lądy i volkswageny, a tu widać nawet mercedesy i lexusy. Uważamy, że Ukraińcy powinni być dużo biedniejsi od nas, w końcu wielu z nich przyjechało wcześniej do Polski się dorobić i brali prace, których my nie chcieliśmy. Nie mają więc prawa być bogatsi. Zrodziła się w nas zawiść i zazdrość.

Czy dotyczy to w równym stopniu wyborców PiS, Lewicy i PO?

Tak, nasi rozmówcy śpiewali unisono. W grupie miękkiego elektoratu PiS-u usłyszeliśmy co najwyżej łaskawe oceny działań rządu. Nie chodzi nawet o to, że Polacy stracili empatię wobec Ukrainek i Ukraińców, po prostu uważamy, że czas naszego wysiłku minął. Powinni się ogarnąć, wyrazić wdzięczność za to, że wzięliśmy ich pod swój dach i nakarmiliśmy. A potem pojechać tym lexusem do polskiego rolnika, łubianka w rękę i zbierajcie owoce. Sporo z nas uważa, że nawet jeśli uchodźcy są dobrze wykształceni, powinni brać te „gorsze” prace. Nie mają się swobodnie wpisywać w społeczną strukturę, ale być na jej dole.

Nie mam pewności, czybyśmy to już wykryli jako przeważającą tendencję

w badaniach ilościowych, bo poprawność polityczna wielu Polakom jeszcze nie pozwoliłaby oświadczyć tego wprost, ale w swobodnej wypowiedzi takie odczucia są już częste i na pewno jest to emocja, która silnie się rozwija. Możemy deklarować narrację zgodną z oficjalną, ale za chwilę reagować z niechęcią na ukraiński język w kolejce.

Znaczenie dla tych postaw ma zapewne fakt, że wojna nie przysztła w czasach spokoju i bezpieczeństwa.

Badani mówią nam, że jeszcze nie zdążyliśmy wyjść z trwającej dwa lata pandemii, a już dotknęła nas druga „plaga”, wojenna, a na to wszystko nakłada się lęk przed rosnącymi cenami. I to jest trzecie nieszczęście, które wydaje nam się najbardziej przerażające. Tu nawet nie do końca chodzi o galopującą inflację i raty kredytów, ale o obawę, że straci się wszystko, co udało się zdobyć podczas ostatniej dekady, kiedy nieustannie się bogaciliśmy i prowadziliśmy coraz atrakcyjniejszy tryb życia. Dzisiaj rysuje się w Polakach obawa, że ci „trzej jeźdźcy Apokalipsy”, czyli zaraza, wojna i kryzys, zdemolują nam życie.

Oby nie pojawił się czwarty jeździec, bo trzy wspomniane przez Pana plagi zaburzają już bardzo mocno poczucie bezpieczeństwa.

Nasze ostatnie badanie było prowadzone tuż przed ujawnieniem problemu z dostawami węgla i jego cenami, zakładam więc, że nastroje są dziś gorsze. Gdybyśmy mieli się sobie wyobrazić jako człowieka pierwotnego, to najpierw przeszła przez naszą okolicę ciężka choroba, potem konflikt plemienny kazał nam się schować w jaskini i jeszcze gościć w niej sąsiadów-uciekierów, a teraz na dodatek nie wiemy, czy zimą nie będziemy w niej marznąć, głodni, w mroku.

Taki jest nasz stan ducha? Nic dobrego Polacy nie widzą wokół siebie?

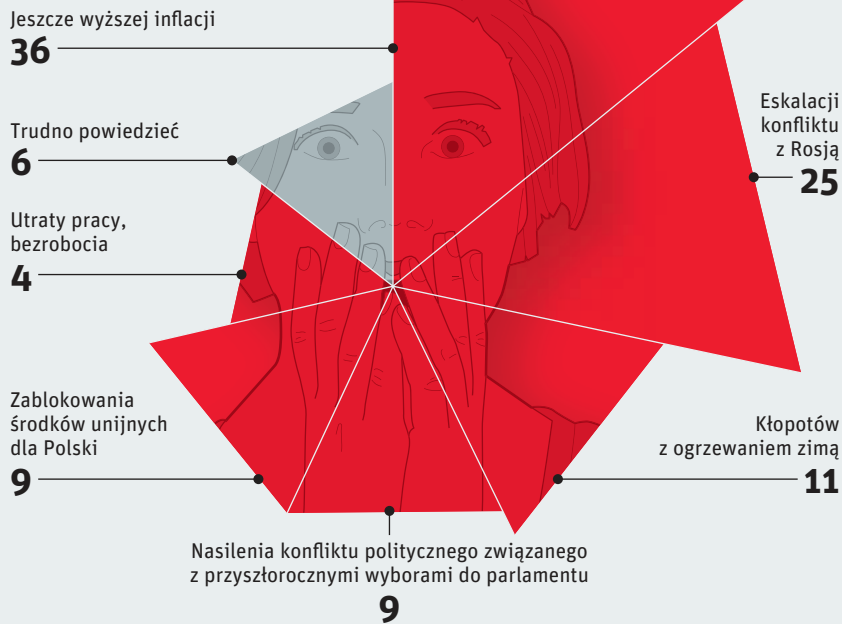
O to też zapytaliśmy, dodając, że to nie musi być skala makro, to może być coś pozytywnego z życia osobistego, nawet jedna rzecz. Nic. Zero...

Nie wierzę.

Naprawdę. Ludzie nie są w stanie wykrzesać z siebie jednej pozytywnej myśli. Choćby takiej, że „moja córka dziś

CZEGO OBAWIA SIĘ PAN/PANI NAJBARDZIEJ W DRUGIEJ POŁOWIE 2022 ROKU?

(W PROC.)



Źródło: IBRiS, badanie „Summertime sadness”, czerwiec-lipiec 2022 r.

LECH MAZURCZYK

→ namalowała piękny obrazek”. To nie powinno być trudne, a jednak jest dziś poza możliwościami wielu rodaków, bo nasze życie zostało zdominowane przez negatywne emocje. Nazwaliśmy to zjawisko „letnią depresją Polaków”. Co ciekawe, jest to stan dość szczególny, bo wakacje 2020 i 2021 r., mimo pandemii, były okresem głębokiego oddechu. Covid wtedy zniknął, znoszono obostrzenia, mogliśmy wreszcie poczuć wolność, stać nas było na wakacje, także dlatego, że w pandemii wydawaliśmy mniej, pomógł również bon turystyczny.

Dziś trudno byłoby uznać, że mamy w Polsce wakacyjną atmosferę.

Tego lata nie odetchnęliśmy głęboko, a szkoda, gdyż poprzednie wakacje były właściwie wentylem bezpieczeństwa. Z obecnych już nie wrócimy wypoczęci. Co prawda stać nas jeszcze na wyjazdy, ale przytłacza nas myśl, że kolejnych już może nie być, bo finanse nie pozwolą. Poza tym widzimy, że wojna się nie kończy, a i covid nie dał o sobie zapomnieć i powrócił szybciej. Stałe towarzyszy nam więc długi cień niepokoju, który nie po-

zwala się zrelaksować i utrzymuje nas w stanie alarmu. To jest bardzo obciążające. Wcześniej, w łagodniejszej formie, widzieliśmy to samo napięcie pod koniec 2020 r., kiedy Polacy nie radzili sobie ze świadomością, że ich wysiłek oraz wyrzeczenia w walce z wirusem nie zostały nagrodzone zwycięstwem, choć same władze to ogłaszały.

Stawiam jednak tezę, że tąpnięcie nastrojów byłoby wtedy dużo mocniejsze, gdyby nie zbiegło się z wyrokiem Trybunału Konstytucyjnego w sprawie ustawy aborcyjnej. Paradoksalnie tamte protesty pozwoliły rozładować spory ładunek covidowej frustracji. Zresztą naszym ówczesnym obawom dotyczącym covidu też warto się przyjrzeć, bo mogą zaciekać.

Czego wtedy się najbardziej baliśmy?

Widać było ciekawe zjawisko: nie więcej niż jedna trzecia Polaków martwiła się o swe życie i zdrowie. Bardziej nas denerwowało to, że covid odebrał nam styl życia, a tym samym ograniczył wolność, której potem miesiącami nie oddawał. Dzisiaj też bardziej niż zachorowania boimy się, że ktoś nas znowu pozamyka

w domach, nie pozwoli iść do restauracji. Wtórne jest, czy w ogóle do nich chodzimy – ważne, że moglibyśmy. Wracając jednak do końcówki 2020 r., tamten spadek nastrojów jakoś zdołaliśmy w końcu ośwoić, urządzić się w tej rzeczywistości. Nie było jeszcze rosyjskiej inwazji i galopady cen, mieliśmy więc nadzieję, że sytuacja się zmieni. Liczyliśmy na szczepionki, które miały – dziś to widać – w nieco czarodziejski sposób zakończyć pandemię, ale nie zrobiły tego w stopniu, którego sobie życzyliśmy.

A potem nadeszła inflacja.

I nastąpiło kolejne tąpnięcie, choć trzeba przyznać, że Polacy już w kilku poprzednich badaniach spodziewali się kryzysu, aż w końcu znaleźli smutne potwierdzenie swych przypuszczeń. Ale, uwaga, to wcale nie oznacza, że zwolniliśmy z odpowiedzialności rząd. Fajnie, że wymyślił różne tarcze antykryzysowe, ale to było wcześniej. Dziś widać, że władza sobie nie radzi. A jeszcze na wzrost cen i kryzys energetyczny nałożyła się wojna, skutkująca ogromnym zaangażowaniem naszego państwa, więc coraz więcej Polaków zaczęło się zastanawiać w rozmowach z nami, ile to będzie kosztować i kto za to wszystko zapłaci. Te dyskusje o ukraińskich uchodźcach i inflacji mają wspólny mianownik. Boimy się utracić swój obecny status. Słyszeliśmy to od większości osób – niezależnie jaki elektorat reprezentowały, używały nawet podobnych słów.

A czy były różnice między poszczególnymi regionami kraju?

Badaliśmy to w kontekście wojny, i to nie raz, bo przecież najazd Rosji na Ukrainę trwa od 2014 r. Wiemy więc, że im bardziej na zachód Polski, tym chęć do czynnej walki jest mniejsza. Poszukiwaliśmy odpowiedzi, dlaczego tak jest. Czy zachód Polski jest bardziej tchórzliwy, czy może to wynikać z napływowego charakteru tamtejszej ludności? Odpowiedź okazała się dużo bardziej prozaiczna. Na zachodzie ludzie mówili, że mają blisko do granicy i dadzą radę uciec, ale już mieszkańcy Podlasia twierdzili, że na pewno nie zdążą, więc poza obroną nic im nie zostaje.

Bardzo mnie Pan zaskoczył.

Zrobię to znowu. Kiedy wybuchł kryzys migracyjny na granicy białoruskiej, również zaczęliśmy badać postawy

Polaków i początkowo notowaliśmy narzeczanie o muzułmanach, którzy nas zaleją i będą się nam na ulicach wysadzać. Co ciekawe, łatwiej było to zaobserwować na centrowym zachodzie niż na wschodzie związanym bardziej z prawicą. Sam rozmawiałem z grupą respondentów z Podlasia i usłyszałem, że oni nie boją się terrorystów. Dla nich to w ogóle nie było nowe zjawisko, tylko większa skala. Od lat, choćby podczas grzybobrania, widywali w lasach migrantów albo ich porzucone rzeczy, niektórych częstowali batonami lub wodą. Nie bali się ich, bo wyglądali na umęczonych ludzi, a poza tym wszyscy jechali do Niemiec. To doświadczenie jest w regionie tak powszechne, że strach przed terrorystami w zasadzie tam nie istnieje.

Wywraca to różne stereotypowe, „bańkowe” przekonania o Polakach ze ściany wschodniej.

Mieszkańcy tamtych terenów w żadnym naszym badaniu nie wykazywali wrogości do migrantów ani się ich nie bali, bo byli z nimi oswojeni. Szybko zresztą i w innych częściach Polski zniknęła figura islamskiego dżihadysty, dybiącego na nasz styl życia. Ludzie przyjęli do wiadomości, że za kryzys odpowiada Łukaszenka, natomiast migranci są tylko jego bronią. To wcale jednak nie zmniejszyło lęku. W świadomości Polaków zostaliśmy zaatakowani przez Białoruś i Rosję, i to one tak naprawdę naruszyły polską granicę. Dziś wysłały nam migrantów, a jutro mogą się pojawić zielone ludziki, jak na Krymie.

Prawdopodobnie rząd szybko zidentyfikował te lęki i wysłał na granicę masę służb, manifestując siłę oraz wolę obrony wschodniej rubieży. I to nie była opowieść o tym, że żadnego muzułmanina nie wpuszczymy do domu, ale że nie wpuszczymy Moskale. W porównaniu z nim obawy przed Al-Kaidą są u nas marginesem.

Powiedział Pan wcześniej, że straciliśmy sympatię do uchodźców z Ukrainy. Czy nie mamy świadomości, że oni walczą odważnie także za nas? Przeciwko naszemu największemu wrogowi?

Właśnie, że mamy. To, co myślimy o uchodźcach, nie przekłada się na to, co sądzimy o Ukrainie jako państwie i Ukraińcach, którzy tam walczą. Mamy pełną świadomość, że robią to także za nas,



BARTEK SYTA / IBRiS

MARCIN DUMA jest badaczem opinii i rynku, prezesem Instytutu Badań Rynkowych i Społecznych IBRiS.

i w związku z tym w badaniach wychodzi nam słabnący strach przed bezpośrednim atakiem Moskwy na Polskę. Wiemy, że Ukraińcy skutecznie bronią Europy, ale równocześnie uważamy, że robimy dla Ukrainy bardzo dużo i zdecydowanie więcej niż inni.

Czy rozmowy IBRiS-u z Polakami o inflacji też przyniosły podobne zaskoczenia?

Tak, wyszło, że trochę się oszukujemy. Mówimy dużo o rosnących cenach oraz o oszczędzaniu, jednak wciąż nas stać na utrzymanie podobnego poziomu życia. Ale ponieważ spodziewamy się, że będzie dużo gorzej, to nastroje fatalne mamy już dziś. W efekcie mówimy bardziej o ograniczeniu tych wydatków, których i tak nie poniesiemy. Opowiadamy, że nie stać nas na nową pralkę, choć wcale tego zakupu nie planowaliśmy. Łatwo też deklarujemy mniejsze wydatki na kulturę, np. rezygnację z wyjścia do teatru, do którego i tak nie chodziliśmy. Pewnie gdybyśmy byli na ścieżce wzrostu o 10 lat dłużej, potrzeb kulturalnych realizowalibyśmy więcej, ale dziś tylko o nich mówimy.

Ale chyba nie jest tak, że mamy złe nastroje na pokaz? Wzrost cen jest przecież realny.

Oczywiście, chodzi mi tylko o pewną przesadę wyrażanych nastrojów. Ciekawe jest jeszcze jedno. Kiedy pytamy o przykłady faktycznego ograniczenia wydatków, mówią o tym najczęściej osoby najlepiej zarabiające, powyżej 7 tys. zł na rękę, wykształcone, z dużych miast. Najrzadziej oszczędności dekla-

rują mieszkańcy wsi i ludzie najmniej zarabiający.

Nie rozumiem.

Może być tak, że osoby najbiedniejsze nie mają z czego rezygnować, bo realizują tylko podstawowe potrzeby i co najwyżej kupią tańsze towary, a jeśli kupią ich mniej, to np. nie będą marnować jedzenia jak dotychczas. A marnują je wszystkie grupy społeczne. Pamiętajmy też o wspomnianych już silnych obawach Polaków, dotyczących utraty swojego statusu, a tu więcej do stracenia mają ci lepiej sytuowani i szybciej to zauważają. Bo np. nie mogą już co tydzień pójść z całą rodziną do dobrej restauracji na obiad kosztujący ich 500 zł. Można to zbyć ironią, ale to jest realny spadek poziomu życia i spadek nastroju. Zresztą granica między realnym doświadczeniem a obawą jest cienka. Silny lęk może się zmaterializować jako część rzeczywistości.

Zauważyłem w tym kontekście ciekawe zjawisko. Kilka starszych osób powiedziało mi, że złoty sen się skończył, gospodarka szoruje po dnie, Rosja znowu jest tuż-tuż. Padały nawiązania do tego, że wracamy do przeszłości, że będzie jak za PRL-u. Byłem tym zdziwiony, ale teraz widzę, jak kolejne sklepy wprowadzają ograniczenia w zakupie cukru, choć jesteście jego potężnym producentem. To jakiś polski atawizm? Degrengolada PRL-u też symbolicznie zaczęła się od cukru.

Nasze społeczeństwo mimo 33 lat od upadku komunizmu jest wciąż na dorobku. Nawet sukces PiS-u jest z tym związany, bo ludziom obiecano, że już nie będziemy się musieli tylko dorabiać, ale wreszcie z tego wysiłku skorzystamy – zaczniemy konsumować nasz sukces. I kiedy zaczęliśmy to robić, świat się załamał. Nie zdążyliśmy nabrać pewności siebie, nasz świat okazał się kruchy, znika poczucie trwałości. Dziś wielu z nas boi się, że to, co osiągnęliśmy, po prostu się rozpadnie, a naszym losem będzie to, co kiedyś, czyli bieda. To ogromne polskie rozczarowanie, bo obietnicą współczesnego świata miało być wyjście z ubóstwa. Nie mieliśmy być wszyscy bogaci, ale mieliśmy już nie cierpieć z powodu biedy. Teraz część Polaków zaczyna się zastanawiać, czy ostatnie dobre lata nie były odstępstwem od smutnej reguły. ➔

→ Polaków fatalistyczne widzenie dziejów?

Nasze doświadczenie biedy jest bardzo mocno osadzone w przeszłości, sięga dalej w przeszłość niż komunizm, ale też nie znikło z upadkiem PRL-u. Nasz czas *prosperity*, wzrostu płac, braku bezrobocia – jest dużo krótszy. Jeszcze w 2004 r. Polakom zostawało w miesiącu średnio 35 zł oszczędności. Mocne przyśpieszenie nastąpiło dopiero w ostatnich ośmiu latach i w 2020 r. tych oszczędności zostawało nam już ponad 700 zł, mimo że jednocześnie więcej wydawaliśmy. Jeśliby upatrywać przyczyny, dla której PiS miało przez lata ponad 40 proc. poparcia mimo afer z sądami i konstytucją w tle, to było nią ogólne zadowolenie Polaków z sytuacji materialnej, w mniejszym stopniu z otrzymania 500 plus. Z każdym rokiem PiS-u u władzy przeciętnemu Polakowi zostawało więcej pieniędzy w portfelu. To jest fakt. A potem nadeszła pierwsza plaga: pandemia.

Analitycy internetu zauważają w ostatnich tygodniach wzrost agresji. Czego to dowodzi?

To reakcja na frustrację oraz brak nadziei, że będzie lepiej. Nie widzimy, byśmy mieli na coś wpływ. Mało tego, gdy pytaliśmy Polaków, jaka partia najlepiej umiałaby sobie poradzić ze wzrostem cen, aż 53 proc. odpowiedziało, że nie wie albo że żadna partia sobie z inflacją nie poradzi. Nie mamy nadziei na załatwienie problemów własnymi siłami. Liczymy bardziej na świat.

Gdy ludzie nie znajdują swojej reprezentacji politycznej, to albo popadają w apatię, albo wychodzą na ulicę; pojawia się ślepy bunt lub rewolucja.

Spodziewam się apatii, która przyniesie znaczne koszty społeczne – być może mniej z nas będzie np. uczestniczyć w wyborach. Mamy jednak wciąż zbyt wiele do stracenia, by rzucić się w wir rewolucyjnego szaleństwa i ryzykować utratę dorobku życia. Tego Polacy nie chcą. Widzi pan? Na koniec udało mi się powiedzieć coś pozytywnego.

© Rozmawiał MAREK KĘSKRAWIEC

Lepsze jutro było wczoraj

KAROLINA LEWICKA

Pod naporem fatalnych nastrojów społecznych padają kolejne bastiony propagandy partii rządzącej. Ale polityczne konsekwencje inflacji odczuje też opozycja.

WOJNA, KRYZYS ENERGETYCZNY, inflacja sięgająca 15,6 proc. – zewsząd jesteśmy bombardowani złymi informacjami. A jakby tego było mało, wskaźnik PMI, obrazujący kondycję przemysłu, spadł do poziomu 44,4 pkt, co może oznaczać rychły powrót problemu dawno już nad Wisłą zapomnianego – bezrobocia. Analitycy Instytutu Badań Rynkowych i Społecznych nazwali aktualny stan ducha Polaków „letnią depresją”: niby są wakacje, długie i ciepłe dni, a jednak ludziom jest źle, są przygnębieni. Dominuje ogólne przeświadczenie, że sprawy idą w złym kierunku. W rezultacie respondenci IBRiS nie są w stanie znaleźć wokół siebie niczego optymistycznego.

Dławi nas obawa, co się wydarzy za chwilę. Bo nawet jeśli sami jeszcze nie odczuliśmy dotkliwie wzrostu cen, nie obniżyliśmy poziomu życia, nie musieliśmy sobie niczego odmawiać, to spodziewamy się, że właśnie tak będzie wyglądać nieodległa przyszłość i że wielkimi krokami nadchodzi czas zaciskania pasa, bolesne lata chude.

Tu wygrywa się wybory

Pesymizm dotarł nawet na wieś, gdzie dotąd – przez siedem lat rządów PiS-u – dominowali optymiści, na dodatek wysoko oceniający pracę szefa rządu, prezydenta i sejmowej większo-

ści. Ten stan rzeczy, jak czytamy w wydawanym cyklicznie przez Fundację na rzecz Rozwoju Rolnictwa raporcie o stanie wsi („Polska wieś 2022” pod redakcją Jerzego Wilkina i Andrzeja Hałasiewicza), utrzymywał się do połowy 2020 r. i objął jeszcze wybory prezydenckie. Dziś, po dwóch latach pandemii i szalejącej od pół roku inflacji, „dominują oceny ujemne w obrazie teraźniejszości i obawy o przyszłość przy braku zaufania do głównych postaci sceny politycznej”. To o tyle istotne, że od wyborów 2005 r. PiS stało się na wsi wzmacniało (również kosztem PSL-u), by dojść w ostatnich latach do pozycji hegemonu, kiedy odsetek sympatyków partii Jarosława Kaczyńskiego przekraczał 50 proc., a wśród rolników dochodził momentami do 60 proc.

Ubytek w elektoracie wiejskim będzie dla PiS-u bolesny, gdyż nie od dziś wiadomo, że kto ma w Polsce wieś, ten ostatecznie wygrywa wybory. Dotyczy to zwłaszcza PiS-u, który musi tam rekompensować sobie brak solidnego poparcia w dużych miastach. – Ludzie, naprawdę zatrzwożeni, pytają mnie, czy faktycznie już jesienią półkilogramowy bochenek chleba krakowskiego, teraz kosztujący niecałe 4 zł, może podskoczyć do 10 zł – relacjonuje rozmowy w terenie szef ludowców, Władysław Kosiniak-Kamysz. – Lęk budzą też ceny opału. Ostatnio rozmawiałem z właścicielami szklarni. Jeśli chcą ogrzać tylko jeden ar pod szkłem,





RAFAŁ POZORSKI / AGENCIA WYBORCZA.PL

Protest w trakcie wizyty Jarosława Kaczyńskiego, Kórnik, 23 lipca 2022 r.

to potrzebują w sezonie aż 10 ton węgla. A cena za tonę poszła w górę o nawet 300 proc. Przy takich kosztach działalność po prostu przestaje się im opłacać, w oczy zagląda im widmo bankructwa.

Wzrost cen, co skrupulatnie policzył CBOS, dostrzegli właściwie wszyscy dorośli Polacy – 99 proc. Niewiele mniej, bo aż 92 proc., spodziewa się, że to jeszcze nie koniec podwyżek. Opozycja widzi w tym analogie historyczne i wieszczy, że niezadowolone społeczne zmiecie obecną władzę. – Kiedyś w Radomiu ludzie wyszli na ulice, bo mieli dość drożyzny – mówił podczas konwencji PO w tym właśnie mieście Donald Tusk. – Jeśli spojrzymy na Radom roku 1976 i Polskę dzisiejszą, to te obrazy są tak podobne, że aż doprowadzają do rozpacz.

W tym, co mówi Tusk, jest dużo przesady, ale historycy dostrzegają spore analogie. – W obu przypadkach mamy okres stabilizacji ekonomicznej, wzrostu płac i poziomu życia, a potem nagły i poważny kryzys – komentuje prof. Andrzej Friszke, historyk PAN. – Hamowanie zawsze jest bolesne. Od Alexisa de Tocqueville’a wiemy, że z wybuchem społecznego niezadowolenia należy się liczyć właśnie wtedy, gdy po okresie poprawy nadchodzi regres.

Biorąc po Gomulce władzę, Edward Gierk postawił na konsumpcyjny socjalizm – pojawiła się coca-cola i guma do żucia, Polacy zaczęli nosić dżinsy i wy-

jeżdżać na wczasy do Bułgarii, a w ich domach stawały masowo lodówki i telewizory. Pytani przez OBOP w 1971 r., czy spodziewają się, że warunki ich życia ulegną poprawie, w czterech piątych odpowiadali twierdząco. I było lepiej, choć tylko do połowy dekady, kiedy system państwowej gospodarki, oparty na kredytach, okazał się dysfunkcyjny, a w PRL rykoszetem uderzyły skutki światowego kryzysu paliwowego z 1973 r. Do strajków w Radomiu doszło po ogłoszeniu przez rząd Piotra Jaroszewicza szokujących podwyżek (cukier zdrożał o 90 proc., mięso o 69 proc., masło i nabiał o 50 proc.). Jak konstatawał Timothy Garton Ash: „Nikt nie może bezkarne narobić apetytu i go nie zaspokoić”.

W tym właśnie zdaniu kryje się podobieństwo dzisiejszej sytuacji z tą sprzed niemal połowy wieku. PiS również narobił apetytu na lepsze, czyli przede wszystkim bogatsze jutro Polaków. I dziś musi się mierzyć z ogromnymi pokładami frustracji ludzi, którzy już wiedzą, że kreowana od siedmiu lat wizja władzy rządzącej sobie wzorowo z wszystkimi ekonomicznymi wyzwaniem odeszła do lamusa.

Internet nie wierzy rządowi

Emocje, które dominują w naszym społeczeństwie, są zdecydowanie negatywne: króluje złość, gniew, a czasem wręcz wściekłość. Widać to najlepiej w inter-

necie. Co ciekawe, najbardziej zaskoczeni są wyborcy PiS-u. Nie rozumieją, jak mogło dojść do takiej sytuacji i dlaczego rząd tym razem nie daje sobie rady. Pokazują to analizy Instytutu Badań Internetu i Mediów Społecznościowych. Wynika z nich, że wszystkie tematy dręczące społeczeństwo ustąpiły na rzecz jednej kwestii. Głowy zaprzęta nam niemal wyłącznie inflacja: koszty prądu i gazu, dostępność i ceny węgla, wzrost cen styropianu, ceny benzyny, słabnący wobec euro i dolara złoty, wzrosty stóp procentowych, koszty żywności oraz usług. Jesteśmy tym wszystkim przerażeni.

– Ludzie ewidentnie oczekują na pomoc państwa – twierdzi Michał Fedorowicz, prezes IBliMS. – Numerem jeden jest sprawa węgla. Węgiel ma przede wszystkim być, i ma być po tysiąc złotych. Jeśli władzy nie uda się tego załatwić, to nie będzie zmiłuj.

Z analiz internetu wynika, że Polacy przestają wierzyć w uspokajające komunikaty. Zwłaszcza w buńczuczne deklaracje na temat bezpieczeństwa energetycznego Polski. „Na jesieni węgiel dla indywidualnych odbiorców na pewno będzie dostępny”. Tak twierdził na początku czerwca wicepremier Jacek Sasin. Ale dziś te słowa nic już nie znaczą – deficyty są szacowane na co najmniej kilka milionów ton i ludzie nie wierzą, że będzie lepiej.

– Tym samym PiS wpadło w pułapkę sprawczości, którą samo na siebie zawiązało – dodaje Fedorowicz. – Setki negatywnych komentarzy wkurzonych mieszkańców małych miasteczek, głosujących w większości na PiS, którzy teraz nie mogą kupić węgla, są najlepszym barometrem dla partii rządzącej. Przez lata PiS przekonywało własnych wyborców w sieci, że jest onnipotentne, a tymczasem dziś, w odczuciu tych samych uczestników bańki propisowskiej, okazuje się bezradne wobec drożyzny.

Na dodatek komunikacyjna strategia władzy jest dość toporna i właściwie polega na jednej metodzie: powtarzaniu jak mantry, że mamy do czynienia z „putinacją”, za którą w stu procentach odpowiada prezydent Rosji. Kłopot w tym, że w sytuacji gwałtownego spadku wiary w skuteczność poczynań rządu, niepotrafiącego zatrzymać spirali podwyżek, ten przekaz nie trafia już do Polaków. Zgadza się z nim raptem 17 proc. z nas. Aż 39 proc. Polaków, jak wynika z sondażu IBRiS dla „Rzeczpospolitej”, winą za



→ inflację obarcza rząd Prawa i Sprawiedliwości, a 15 proc. – NBP.

Szef banku centralnego też władzy raczej nie pomaga. Kolejne występy medialne Adama Glapińskiego budzą irytację obywateli, fale negatywnych komentarzy w sieci i konsternację rynków finansowych. Według analiz IBIIMS żadna inna instytucja nie ma tak złego wizerunku w mediach społecznościowych jak NBP i jego szef. Powody tej niechęci nie są przesadnie skomplikowane. Prezes potrafi w piątek ogłosić, że jeszcze w trakcie wakacji spodziewa się szczytu inflacji, a potem jej spadku, by już we wtorek zapoznać opinię publiczną z projekcją analityków NBP, wedle których szczyt – niemal 19-procentowy, a w czarnym scenariuszu nawet 26-procentowy – przypadnie dopiero na pierwszy kwartał 2023 r. Szefowi najważniejszego banku w Polsce brakuje wiarygodności – to autentycznie martwi Polaków.

Nadchodzi świadomość

Trzeba przyznać, że partia władzy jest również ofiarą splotu nieprzewidywalnych okoliczności. W czas zawirowań gospodarczych weszliśmy bowiem w cieniu dwóch innych katastrof: pandemii i wojny. Oba te nieszczęścia mocno zszargały nam nerwy, a przecież ani pandemia nie jest już za nami (wzbiera właśnie kolejna fala zakażeń), ani konflikt za wschodnią granicą Polski nie zbliża się ku końcowi.

– Wszyscy funkcjonujemy w sytuacji dużej niepewności – mówi prof. Przemysław Sadura, socjolog z UW, który na początku czerwca przeprowadził szereg wywiadów grupowych, tzw. fokusów. – Osoby starsze, nawet jeśli nie znają II wojny światowej z autopsji, są pokoleniem wojennej traumy. Dorastały w jej cieniu. Dlatego dziś to oni bardziej niż młodzi obawiają się rozszerzenia wojny rosyjsko-ukraińskiej na Polskę czy całą Europę. Mniej martwi ich gospodarka, może dlatego, że na początku lat 90. doświadczyli hiperinflacji i wiedzą, że z tym zjawiskiem da się żyć. Co innego młodzi, którzy tak potężnego wzrostu cen nigdy nie widzieli. Obawę przed inflacją w ich przypadku potęgują rosnące raty kredytów lub oddalające się szanse na jego uzyskanie i tym samym – na własne mieszkanie. Oni bardzo się boją o swoją przyszłość.

Prócz konieczności radzenia sobie z negatywnymi emocjami wywoływa-

PiS wpadło w pułapkę sprawczości, którą samo na siebie zastawiło.

Przez lata przekonywało, że jest onnipotentne, a dziś okazuje się bezradne.

Na razie nie widać, by – prócz chwytliwych bon motów – opozycja miała jakikolwiek pomysł na poprawę sytuacji gospodarczej.

nymi przez aktualne problemy stanęło przed nami także nie lada wyzwanie: wyobrażenia sobie niewyobrażalnego, czyli świata po wroście gospodarczym. Przecież od ponad 30 lat poprawiało się, mniej lub bardziej, niemal wszystkim. Tymczasem teraz sytuacja zdecydowanej większości z nas będzie się stale pogarszać.

– Uświadomienie sobie tego jest jeszcze przed nami – uważa prof. Sadura. – Pandemia, wojna, kryzys uchodźczy i drożyzna to zresztą tylko część z kryzysów, które towarzyszyć będą nabierającej tempa zmianie klimatycznej. Zobaczymy, jak sobie z tym poradzimy.

Z całą pewnością drożyzna będzie tematem numer jeden kampanii parlamentarnej, która – choć do wyborów został ponad rok – już od kilkunastu tygodni trwa w najlepsze. Na razie PiS notuje same wizerunkowe wpadki, a rady premiera Morawieckiego, by ocieplić domy przed sezonem grzewczym, choć z jednej strony są sensowne, to z drugiej świadczą o wyczerpaniu się pomysłów władzy na kryzys. Rząd już nie proponuje kolejnych tarcz antyinflacyjnych, ale zrzuca odpowiedzialność ze swoich barków na społeczeństwo. Sam Jarosław Kaczyński momentami zaklina rzeczywistość, jak w Płocku, gdzie 15 lipca przekonywał, że „mimo sił zewnętrznych, które nam bardzo nie

sprzyjały, pandemii, wojny, po siedmiu latach będziemy o około 30 proc. bogatsi”. W takie zapewnienia już mało kto wierzy. Ludzie czują, że 500 plus nie jest warte tyle, ile wiosną 2016 r., i że z dnia na dzień biedniej. Dużo mniejsze znaczenie ma wówczas to, z jakiego poziomu życia się spada. Istotny jest sam ruch w dół.

Na ciekawy paradoks zwraca uwagę prof. Radosław Markowski, socjolog z Uniwersytetu SWPS: – W 2015 r. przeciętny Polak miał się lepiej niż jeszcze dwa-trzy lata wcześniej, a mimo to dał się porwać narracji PiS-u o Polsce w ruinie. Tymczasem teraz, kiedy PiS trąbi wszem wobec o sukcesach swoich rządów, ludzie przestają iść za tym głosem. Bo na własnej skórze odczuwają, że zaczyna się im wieść gorzej.

Ile polityk obieca

Tym samym na naszych oczach zerwana została niepisana umowa społeczna, jaką PiS miało przez lata ze swoimi wyborcami, i to nie tylko tymi z twardego jądra, ale przede wszystkim niezdecydowanymi, których głosy dały mu zwycięstwo w 2015 i 2019 r. Prof. Antoni Dudek, historyk i politolog z UKSW, nazywa ich „elektoratem socjalnym”. Ta umowa zakładała, że PiS będzie dawało „ludowi” to, co wcześniej rozkradały „elity”, i że – jak klarowała w 2017 r. Beata Szydło – będzie reprezentowało tych, którzy w czasach PO-PSL „byli zapomniani i nie mieli poczucia godności”.

Dziś już widać, że po siedmiu latach u władzy PiS samo oddaliło się mocno od społeczeństwa. W karykaturalny sposób objawiło się to podczas niedawnej afery ze szczecińską radną, Małgorzatą Jacyną-Witt, która sfotografowała się na polu golfowym, a potem dorzuciła, że to ona „jest elitą”. Kaczyński zawiesił ją w prawach członka PiS-u i kazał wszcząć postępowanie dyscyplinarne. Ale mleko już się rozlało.

– W kryzysie bogactwo władzy szczególnie mocno drażni ludzi – uważa prof. Dudek. – To w zasadzie klucz do zwycięstwa opozycji, czy uda się jej wyciągnąć na światło dzienne wszystkie „tłuste koty” PiS-u, pokazać skalę tego klientelistycznego systemu i przebić się z tą opowieścią do wyobraźni mas. To może być dla tej władzy najcięższy z możliwych cios. Bo nie da się wyrzucić setek, tysięcy opływających w przywileje działaczy

PiS-u, którzy na chude lata przygotowali sobie złote spadochrony.

Wprawdzie TVP nadal robi, co może, by utrzymywać widzów w przekonaniu, że PiS jest jedynym gwarantem świetlanej przyszłości Polski, ale także i ta propaganda zderzyła się już z rzeczywistością. Tak uważa wicemarszałek Senatu Michał Kamiński z Koalicji Polskiej, który w 2005 r., jeszcze jako polityk PiS-u i spin doktor Jarosława Kaczyńskiego, był współautorem słynnego spotu z produktami znikającymi z lodówki po ewentualnym wprowadzeniu przez PO podatku liniowego.

– Dzisiejsza propaganda nie działa na poziomie każdorazowej wizyty obywatela w sklepie – mówi Kamiński. – Pan, pani, społeczeństwo płaci za swój koszyk tu i teraz, kiedy premierem jest Morawiecki, więc marketingowe zakłęcia, czego Jacek Kurski ewidentnie nie rozumie, już temu rządowi nie pomagają.

Wszyscy się zorientowali, że trzeba grać inflacją. Podróżujący po kraju Donald Tusk właściwie nie mówi o niczym innym. Krytykę nieudolności rządu łączy z deklaracjami, że „jeśli skończy się PiS, to skończy się inflacja”, oraz zapowiedziami usunięcia z urzędu Adama Glapińskiego, na co bank zareagował złożeniem zawiadomienia o możliwości popełnienia przez byłego premiera przestępstwa. Lider Polski 2050 Szymon Hołownia kpi, że PiS obiecywało nam „niemieckie płace i polskie ceny, a mamy polskie płace i niemieckie ceny”, a Włodzimierz Czarzasty

z Nowej Lewicy wylicza, że „co szósta złotówka przestała istnieć”. Na razie nie widać, by – prócz chwytyliwych bon motów – opozycja miała jakikolwiek pomysł na poprawę sytuacji gospodarczej, bo przed nadciągającą stagflacją raczej nie uratuje nas ani odblokowanie pieniędzy z unijnego Funduszu Odbudowy, ani postulowane ograniczenie budżetu Kancelarii Premiera, ani tym bardziej 20-procentowe podwyżki wynagrodzeń w sferze budżetowej, o czym mówi od tygodni Tusk. Jest więc mało prawdopodobne, by teraz któryś z polityków, przebrany w szaty Winstona Churchilla, uświadomił naród, że czeka nas „krew, znoj, lzy i pot”. Raczej trzeba się spodziewać festiwalu populistycznych obietnic i uspokajających tonów.

– Nikt ci tyle nie da, ile polityk obieca – podsumowuje politolożka dr Anna Mąterska-Sosnowska z UW i Fundacji Batorego. Jej zdaniem zwrot ugrupowań opozycyjnych w stronę miękkiego populizmu jest słuszny. Inaczej z PiS-em nie wygra.

– Polacy głosują różańcem i portfelem – dodaje. W sytuacji, kiedy Kościół jest coraz słabszy, a praktykujących ubywa, punkt ciężkości przesuwają się na coraz chudszy portfel.

Dziś trudno prognozować, jakie będą ostateczne polityczne konsekwencje inflacji. Opinia publiczna jest w tych niepewnych i nieprzewidywalnych czasach labilna, trudno uchwycić jednoznaczne trendy. – Na pewno obserwujemy demo-

bilizację miękkiego elektoratu PiS-u. Dziś ci ludzie mówią, że raczej na tę partię już nie zagłosują – mówi prof. Sadura. – Jednocześnie stanu posiadania nie zwiększa opozycja, bo ci, którzy odwrócili się od Jarosława Kaczyńskiego, wcale nie zasilają jej szeregów.

Według socjologa wciąż nie widać, by to opozycja wygrywała na krzysie. Znaczące jest to, że kiedy pytał respondentów, na kogo oddadzą swój głos, to często odpowiadali, że na opozycję. Ale kiedy dopytował o to, kto wygra, ci sami ludzie odpowiadali, że jednak PiS. – Mamy demobilizację po obu stronach – tłumaczy Sadura. – Na dziś to wygląda tak, że wybory wygra ta strona, której elektorat będzie mniej zdemobilizowany.

Antoni Dudek potwierdza, że reakcje społeczeństwa są teraz mało przewidywalne. Politolog rozważa dwa scenariusze. Pierwszy to zapadanie się ludzi w sobie, ucieczka w prywatność, czego konsekwencją będzie niska frekwencja podczas wyborów w 2023 r. Wówczas o wyniku elekcji zawsze decydują twarde elektoraty ugrupowań. Prawdopodobny jest jeszcze inny scenariusz: eksplozja niezadowolenia i masowy udział w wyborach. Ale to, zdaniem prof. Dudka, nie gwarantuje powrotu Tuska do władzy. Ludzie mogą odrzucić nie tylko PiS, ale całą klasę polityczną.

To zaś oznacza wejście na scenę zupełnie nowych aktorów. Dziś nawet nie sposób ich sobie wyobrazić.

© KAROLINA LEWICKA

TYGODNIK POWSZECHNY ■ www.TygodnikPowszechny.pl

Redaktor naczelny Piotr Mucharski
Redaktor senior ks. Adam Boniecki
Zastępcy redaktora naczelnego:
Michał Kuźmiński, Marcin Żyła
Dyrektor artystyczny Marek K. Zalejski
Wiara: Maciej Müller, ks. Jacek Prusak SJ,
Piotr Sikora, Artur Spornik (kierownik)
Kraj: Paweł Bravo, Anna Goc,
Marek Kęskrawiec (kierownik), Małgorzata Nocuń, Michał Okoński, Marek Rabić,
Krzysztof Story, Przemysław Wilczyński
Świat: Patrycja Bukalska, Wojciech Jagielski,
Anna Łabuszewska, Marcin Żyła,
Wojciech Pięciak (kierownik)
Historia: Wojciech Pięciak
Nauka: Michał Kuźmiński, Łukasz Kwiatek (kierownik), Łukasz Lamża
Kultura: Kalina Błażejowska, Tomasz Fiałkowski,
Grzegorz Jankowicz, Katarzyna Kubisiowska,
Piotr Mucharski (kierownik), Anita Piotrowska

Reportaż: Anna Goc, Wojciech Jagielski,
Katarzyna Kubisiowska, Mariusz Sepiolo,
Przemysław Wilczyński, Marcin Żyła (kierownik)
Fotoredakcja: Edward Augustyn, Grażyna Makara (kierownik),
Jacek Taran
Wydanie internetowe: Ewelina Burda, Michał Kuźmiński
(kierownik), Maciej Müller, Monika Ochędowska, Krzysztof Story
TP Typografia: [Marta Bogucka], Agnieszka Cynarska-Taran,
Zuzanna Kardyś, Andrzej Leśniak (kierownik)
Korekta: Grzegorz Bogdał, Katarzyna Domin,
Sylvia Frolow, Maciej Szklarczyk (kierownik)
Marketing i Projekty Specjalne: Anna Dziurdzikowska,
Maja Kuczmarska (kierownik), Mateusz Gawron,
Monika Ochędowska, Anna Pietrzykowska,
Patryk Stanik (kierownik ds. komunikacji)
Redaktor wydań specjalnych: Michał Okoński
Felietony: Wojciech Bonowicz, Paweł Bravo, Jan Klata, Hanna Krall, Stanisław Mancewicz, Dorota Masłowska, Bartosz Minkiewicz, Jacek Podsiadło, Zuzanna Radzik, Andrzej Stasiuk,
Tomasz Stawiszyński

Manager IT: Bartłomiej Swojak
Stale współpracują: Elżbieta Adamiak, Klaus Bachmann,
Justyna Bargielska, Marek Bieńczyk, Wojciech Bonowicz,
Wojciech Brzeziński, Beata Chomałowska, s. Barbara Chyrowicz,
Justyna Dąbrowska, Bartek Dobroch, ks. Andrzej Dragula,
Jakub Dymek, Jarosław Flis, Andrzej Franaszek, ks. Tomáš Halík, ks. Michał Heller,
Agata Kaźmierska, Eliza Kącka, Piotr Kłodkowski,
Małgorzata Kordowicz, Piotr Kosiewski, Dariusz Kosiński,
Dorota Kosińska, Ryszard Koziołek, Karolina Lewicka,
Magdalena Łanuszka, Stanisław Łubieński, Szymon Łucyk,
Józef Majewski, Paweł Marczewski, Michał P. Markowski,
Rafał Matyja, Marcin Napiórkowski, Magdalena Nowicka-Franczak,
Wojciech Nowicki, Joanna Olech, Olaf Osica, o. Wacław Osajca, Jacek Podsiadło, Karolina Przewrocka-Adereit, Jakub Puchalski, Zuzanna Radzik,
Adam Robiński, Dariusz Rosiak, Joanna Rusinek, abp Grzegorz Ryś, Mariusz Sepiolo, Tadeusz Ślawek,
Michał Sowiński, Andrzej Stasiuk, Władysław Stróżewski,
Marcelina Zumer-Brysz

WYDAWCA Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.

Zarząd: Jacek Ślusarczyk (prezes),
Piotr Mucharski (wiceprezes),
Maja Kuczmarska (wiceprezeska)
Adres wydawcy i redakcji: ul. Dworska 1C/LU 3-4
30-314 Kraków, tel. 668 477 039
redakcja@TygodnikPowszechny.pl
Reklama, promocja: tel. 602 590 416
promocja@TygodnikPowszechny.pl
Prenumerata: tel. 668 479 075
prenumerata@TygodnikPowszechny.pl
Projekt graficzny: Marek Knap i Marek Trojanowski
Druk: Walstead Kraków Sp. z o.o.

REKLAMA



S-NET zapewnia wsparcie technologiczne dla „Tygodnika Powszechnego”

■ REDAKCJA NIE ZWRACA TEKSTÓW NIEZAMÓWIONYM ORAZ ZASTRZEGA SOBIE PRAWO ICH REDAGOWANIA I SKRACANIA. REDAKCJA NIE ODPOWIEDZIA ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ. REDAKCJA MA PRAWO DO ODMOWY PUBLIKACJI OGŁOSZEŃ.

■ PRAWA AUTORSKIE I MAJĄTKOWE DO WSZYSTKICH MATERIAŁÓW zamieszczonych w „Tygodniku Powszechnym” należą do Wydawcy oraz ich Autorów i są zastrzeżone znakiem © na końcu artykułu. Materiały oznaczone na końcu dodatkowym znakiem © mogą być wykorzystane przez inne podmioty tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty, zgodnie z Cennikiem i Regulaminem korzystania z artykułów prasowych, zamieszczonymi pod adresem www.TygodnikPowszechny.pl/nota-wydawnicza.

„Tygodnik Powszechny” dostępny dla osób niewidomych i słabowidzących! Więcej informacji na powszech.net/dostepny

MAŁGORZATA

Kordowicz:

Oślica



CZYŻBY NIEKTÓRE CUDĄ ZOSTAŁY PRZEZ Najwyższego z góry zaplanowane? To zdaje się nam sugerować Gnomologia Ojców Synagogi, wyliczając rzeczy stworzone o zmierzchu poprzedzającym pierwszy szabat Adama i Ewy. Spis otwierają trzy „usta”: „usta ziemi” – czyli czeluść, która pochłonęła popleczników buntującego się przeciw Mojżeszowi i Aaronowi Koracha (zob. Lb 16, 32); „usta źródła” – czyli otwór, z którego wydobywała się pitna woda w pustynnej tułaczce Izraelitów (por. Lb 21, 17); oraz „usta oślicy” – czyli dar wymowy przeznaczony dla wiernego Balaamowego czworonoga.

Midrasz, komentując wers „I otworzył Wiekuisty usta oślicy” (Lb 22, 28; Cylkow), utrzymuje, że zwierzę to umiało mówić od zawsze, jednak wcześniej nie miało przyzwolenia, by z tej umiejętności skorzystać. Trudno nie zestawić tego wersu z „I włożył Wiekuisty słowo w usta Bileama” (Lb 23, 5). Kto tu jest naprawdę osłem? Zwierzę widzi zagrażającego drogę anioła, nie dostrzega go natomiast prorok. Nie daje to zbyt wielkich nadziei na obejrzenie przezeń obozujących Izraelitów, a następnie sformułowanie efektywnego przekleństwa.

Oślina ośmiesza swojego pana, który został wszak uznany przez midrasz za równego w prorocztwie Naszemu Nauczycielowi: „I nie powstał więcej prorok w Izraelu jako Mojżesz” (Pwt 34, 10) – w Izraelu nie powstał, ale wśród narodów świata już tak. Kto mianowicie? Balaam, syn Beora. Jego pasja równa jest Abrahamowej, gdy ten – posłuszny Najwyższemu – idzie złożyć w ofierze Izaaka. Obaj tak samo łamią konwenanse mimo bycia ludźmi majątynymi, posiadającymi liczną służbę: „I wstał Abraham rano, i osiodłał osła swojego” (Rdz 22, 3), a także „I wstał Bileam z rana, i osiodłał oślicę swoją” (Lb 22, 21). Wyruszają w krańcowo różnych celach, lecz z równą gorliwością. Balaam jest tak sławny, że aż doczekał się pamiątkowej kananejsko-aramejskiej inskrypcji, odkrytej w latach 60. XX w. w jordańskim Dajr Alla.

Dzielna oślica oddała życie za swojego pana – rabini wnioskują to na podstawie słów anioła skierowanych do proroka: „gdyby nie ustąpiła przede mną, już bym cię był zabił, a ją zostawił przy życiu!” (Lb 22, 33). Uzasadnienie jej zejścia ze sceny jest dwojakie. Najwyższy dba o ludzką reputację nawet w przypadku złoczyńców, więc nie powinno wyjść na jaw, że zwierzę widziało anioła, a jego pan – nie. Istniała również obawa, że ludzie otoczą mówiącą ludzkim głosem bałwochwalczą czcią.

Oślica Balaama miała swoje pięć minut. Prorok Zachariasz przewiduje rolę dla przedstawiciela tego gatunku: „Wykrzykuj, córko Jerozolimy! Oto król twój przyjdzie do ciebie – sprawiedliwy a zwycięzki on; skromny, na ośleciu przyjedzie” (Za 9, 9). Nie lekceważmy zatem osiołków. ©

O. WACŁAW

Oszajca:

Nowe smaki starego wina



AUTOR LISTU DO HEBRAJCZYKÓW, wyjaśniając, na czym zasadza się wiara w Boga, mówi: „Przez wiarę Abraham, wystawiony na próbę, zdecydował się złożyć w ofierze Izaaka. On, który otrzymał obietnice, poświęcił na ofiarę jedynego syna. A przecież Bóg mu powiedział: za twoje potomstwo zostanie uznane potomstwo Izaaka. Był jednak przekonany, że Bóg może nawet wskrzesić umarłego, i dlatego odzyskał go jakby na pouczenie”. Nasi uczeni w Piśmie zauważają, że przecież wiara w zmartwychwstanie pojawia się w Biblii dopiero w najmłodszych księgach. Widocznie autor Listu do Hebrajczyków za przejaw wiary wziął słowa Abrahama: „I rzekł Abraham do pacholków swoich: »Zostańcie wy tu przy osle; a ja i chłopię pójdziemy do onąd, i pokłonim się, i powrócimy do was«” (przeł. Izaak Cylkow). Może i tak, ale w opowiadaniu o Abrahamie i Izaaku nie tylko to jedno zdanie nastęrcza trudności, całe ono jest mocno logicznie zamiatwane.

Zwykle przytacza się je jako przykład mocnej wiary, absolutnego zaufania i bezwzględnej poddania człowieka woli Boga. Jeśli jednak czytać ten tekst, zapominając o jego egzegetycznych i kaznodziejskich interpretacjach, to, nie ujmując niczego Abrahamowi, wygląda na to, że Ojciec wszystkich wierzących pomylił się w odczytywaniu woli Bożej. Wygląda bowiem na to, że choć już uwierzył Bogu Jedynemu, to chce Go czcić, „pokłonić się” Mu po staremu. Chce zabić syna, złożyć go w ofierze, gdyż w tamtych czasach taki sposób oddawania czci bogom uważano za najwłaściwszy. Owszem, już uwierzył Bogu, który wysłał go w nieznane, ale wciąż jeszcze odzywają się w jego duszy stare nawyki. Mentalnie Abraham wciąż jeszcze myśli o Bogu, jak myślał dawniej w Ur. Stąd Cylkow uważa, że „oprócz stwierdzenia nieograniczonego posłuszeństwa Abrahamowi idzie tu o potępienie ofiar ludzkich, będących w powszechnym zwyczaju u pierwotnych ludów Palestyny”. W takim przypadku jeśli nawet przyjąć, że Bóg zażądał od Abrahama ofiary jego jedynaka, to w warunkach religijnych tamtych czasów nie byłoby to niczym nadzwyczajnym. Abraham więc w dobrej wierze spełnia wolę Boga, ale Bóg zamiast przyjąć ofiarę, wytrąca mu nóż i mówi: „Nie podnoś ręki na tego chłopca i nie czyn mu nic złego”.

Takie nakładanie starego na nowe w opisach biblijnych nie jest czymś wyjątkowym, a to dlatego, że Biblia jest zapisem mocowania się – mówiąc za papieżem Franciszkiem – logiki ofiary z logiką daru. Dzisiaj również tak się dzieje. Stare wino jest lepsze od nowego, mówią nam „strażnicy popiołów”. Tyle tylko, że stare za chwilę zgorzknieje, natomiast nowe przeniesie jego smak w przyszłość, wzbogacając jego bukiet o nowe nuty. Wszystko na weselną ucztę Syna Człowieczego. ©

ABP GRZEGORZ

Ryś: Bezsilność Wszechmocnego



*Jeśli serce jest wolne
od wszelkich myśli,
działa w nim Duch
Święty i staje się ono
prawdziwą świątynią.*

GRZEGORZ Z SYNAJU



*Wszystko, co istnieje,
jest tylko znakiem
Jego majestatu.*

ABŪ MADYAN SHU'AYB



LITURGIA W MINIONY piątek przyniosła nam czytania o niezwykle spójnym przekazie. W pierwszym z nich Jeremiasz, głoszący w świątyni w Jerozolimie nawrócenie swoim ziomkom, zostaje aresztowany; ci, którzy go pochwycili, grożą mu: „Musisz umrzeć! Dlaczego prorokowałeś w imię Pana, że z tym domem stanie się to, co w Szilo, a to miasto ulegnie zniszczeniu i pozostanie niezamieszkałe?” (Jer 26, 1-9). Drugie – wyjęte z Ewangelii wg św. Mateusza (Mt 13, 54-58) – pokazywało Jezusa, który zderza się z niewiarą w swoim rodzinnym mieście, Nazarecie.

Obydwa teksty mówią o Bogu, który okazuje się bezsilny we własnym „domu”: nie potrafi nawrócić do siebie ludzi wypełniających na co dzień Jego świątynię w Świętym Mieście – ludzi tworzących wybrany przez Niego odwieczny Lud. I nie jest również w stanie zdziałać żadnego cudu wśród swoich, w synagodze pełnej ludzi, wśród których wyrósł, zna ich wszystkich po imieniu i sam nie ma przed nimi wielu tajemnic – wiedzą o Nim znacznie więcej niż inni.

Jak to jest, że właśnie wśród „swoich” Bóg okazuje się bezradny? Właśnie do nich nie potrafi dotrzeć – ani ze swoim słowem, ani ze swoim czynem? Tu akurat czytania udzielają różnych, ale komplementarnych odpowiedzi.

Jeremiasz (Bóg w Jeremiaszu) zderza się z pychą swoich adresatów. Są niepokuczalni, gdyż są „wybrani”! „Wiedzą do-

brze” (kto, jak nie oni?!), co Bóg „myśli” i co nakazuje. Są ludem Boga, więc są bezpieczni – nic im nie grozi. Wezwanie do nawrócenia traktują jako atak na siebie i „święte” instytucje, w których czują się „ubezpieczeni”.

Ziomkowie Jezusa odrzucają Go z innego powodu – są zgorszeni Jego „pospolitością”, zwyczajnością, przeciętnością, małością, znikomością i szarością, jaka jest wpisana w Nazaret: „Czy nie jest On synem cieśli?”. Znamy wszystkich Jego bliskich. „Skąd ta mądrość i cuda?”. Nie kończył przecież żadnej szkoły – bo jej tu nie ma! Nie ma też kogokolwiek wyjątkowego w Jego rodzinie – są jak my; niczym się nie wyróżniają! Skąd więc w Nim taka ambicja i pretensja?!

Obie postawy są ostatecznie formą pychy – choć w drugim przypadku zawołanej. Jedna i druga jest też postawą obronną – przed zmianą, jakiej chciałby wśród „swoich” dokonać Bóg. Obydwe są nam dobrze znane. Przybieramy je często – raz jedną, raz drugą – w zależności od kontekstów. Jednym razem stawiamy opór Słowu Boga swoją „pychą w Jego Imię” – odrzucamy każde pouczenie i odpowiedź, odwołując się do własnego wybrania. Każda krytyka jest dla nas agresją wobec „tego, co Boże”. Innym razem zasłaniamy się naszą małością i przeciętnością. No, może nawet trzeba by było coś zmienić – ale my jesteśmy na to za mali, za prości – od nas nic nie zależy, po prostu „nie da się...”.

I nic się nie zmienia; nadchodzi klęska; Pan płacze z bezsilności. ©

CZYTANIA LITURGICZNE (7 – 14 VIII)

19. niedziela zwykła: Mdr 18, 6-9; Ps 33;

Hbr 11, 1-2. 8-19; Łk 12, 32-48;

Poniedziałek: Ez 1, 2-5. 24-28c; Ps 148; Mt 17, 22-27;

Wtorek: Oz 2, 16b. 17b. 21-22; Ps 45; Mt 25, 1-13;

Środa: Mdr 3, 1-9 lub 2 Kor 9, 6-10;

Ps 112; J 12, 24-26;

Czwartek: Ez 12, 1-12; Ps 78; Mt 18, 21 – 19, 1;

Piątek: Ez 16, 1-15. 60. 63 lub Ez 16, 59-63;

Ps: Iz 12, 2-6; Mt 19, 3-12;

Sobota: Ez 18, 1-10. 13b. 30-32; Ps 51; Mt 19, 13-15;

20. niedziela zwykła: Jr 38, 4-6. 8-10;

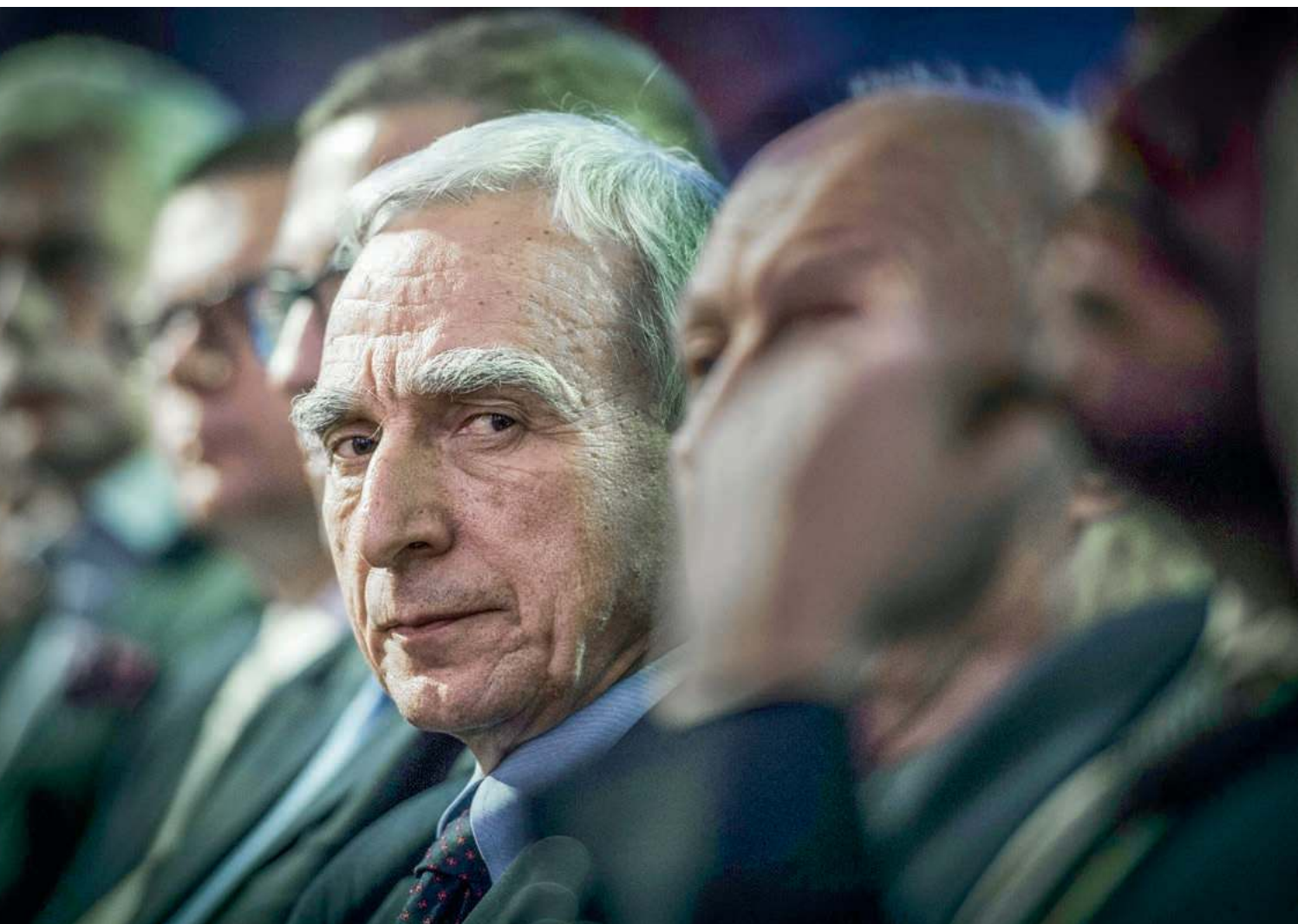
Ps 40; Hbr 12, 1-4; Łk 12, 49-53.

Wybrał PIOTR SIKORA

URZĘDNIK OCHRONY PAŃSTWA

Znajomi Piotra Naimskiego uważają,
że jako pełnomocnik do spraw energetyki przez siedem ostatnich lat
w gruncie rzeczy robił to samo, co 30 lat wcześniej w UOP
– wypłatywał Polskę z sieci wschodnich wpływów.

MAREK RABIJ



KRZYSZTOF PAWŁOWSKI, TWÓRCA i wieloletni rektor Wyższej Szkoły Biznesu – National Louis University w Nowym Sączu, z Piotrem Naimskim jest nadal per pan, choć przepracowali wspólnie wiele lat. – Nie pamiętam już, dlaczego nie przeszliśmy na ty, choć okazji było wiele. Ale w ogóle mnie to nie dziwi – zaznacza Pawłowski. – To ten typ osobowości, który nie skraca szybko dystansu. Woli też pozostawać w drugim szeregu i stamtąd wpływać na rzeczywistość.

Z politycznego półcienia wydobyła jednak Naimskiego (nie odpowiedział na nasze prośby o spotkanie) nieoczekiwana dymisja z funkcji pełnomocnika rządu ds. strategicznej infrastruktury energetycznej, którą otrzymał 20 lipca. Decyzje musiały zapaść nagle, skoro strony nie zdołały nawet uzgodnić kolejnych kroków. Gdy premier Mateusz Morawiecki w mediach społecznościowych dziękował za ciężką pracę „jednemu z najlepszych w Polsce specjalistów od energetyki”, sam Naimski załżył się publicznie na polityczny cios w plecy, jaki wymierzyło mu własne środowisko.

– Porównanie bieżącej dymisji z tą, którą otrzymał 30 lat wcześniej, kiedy po aferze z listą agentów zaprezentowaną w Sejmie przez Macierewicza Wałęsa odwołał go z funkcji szefa UOP, to oczywiście wystrzał z grubej rury – uważa politolog prof. Antoni Dudek. – Trudno mi jednak uwierzyć, że Naimski mógłby naprawdę zaatakować swoją partię. Cała jego aktywność niejako skazuje go na bycie w orbicie PiS, jeśli chce być blisko ośrodków władzy. Prezes Kaczyński też to wie, dlatego doszedł do wniosku, że pozostawienie Naimskiego na tak ważnym stanowisku może kosztować obóz władzy więcej, niż może on stracić na pozbyciu się jednej ze swych ikon.

Jeśli tak faktycznie było, oznacza to jedno: politycy PiS wiedzą już, że sytuacja energetyczna Polski w najbliższych miesiącach będzie o wiele gorsza, niż na razie gotowi są przyznać. I rozpaczliwie próbują rozwiązań odmiennych od tych, które akceptował pryncypialny pełnomocnik.

Piotr Naimski na gali finałowej plebiscytu Człowiek Wolności tygodnika „wSieci”, Warszawa, styczeń 2016 r.

– Moim zdaniem cechuje go taka staroświecka uczciwość merytoryczna. Nie mam z pierwszej ręki informacji o powodach jego dymisji, ale mogę sobie wyobrazić, że na pewne polityczne ustępstwa po prostu nie był gotów pójść – dzieli się przemyśleniami dobry znajomy Naimskiego.

Przez blisko siedem lat, od chwili, kiedy na stanowisko pełnomocnika powołała go ówczesna premier Beata Szydło, przetrwał jako superurzędnik od energetyki aż pięć rządowych przekształceń. Najpierw był resort energii i skarbu państwa. Potem został sam resort energii. Po 2019 r. powstało Ministerstwo Klimatu, następnie połączone z resortem środowiska. Po pewnym czasie znów rozdzielono nadzór nad energetyką i górnictwem, tworząc Ministerstwo Aktywów Państwowych. Przy każdej zmianie Naimski, jako zaufany prezesa Kaczyńskiego, był nie do ruszenia, choć dla pełnego obrazu trzeba podkreślić, że jego pozycja systematycznie słabła. W 2019 r. nie dostał się do Sejmu, a pod koniec 2020 stracił ważne wpływy w PGNiG, gdy prezesem spółki przestał być Piotr Woźniak, jego bliski współpracownik.

Dymisja spotkała go dokładnie w momencie, kiedy polska polityka obiera kierunek, który on od dawna uważał za jedyny słuszny: oto Rosja sama odcina nas od swoich surowców energetycznych, co zmusza Polskę do postawienia wszystkiego na zachodnią kartę. Ukoronowaniem tego procesu jest gazociąg Baltic Pipe z Norwegii, który otworzymy na przełomie roku.

– Na pewno czuje rozgoryczenie – kiwa głową współpracownik Naimskiego, który także prosi o zachowanie anonimowości. – Wszystko, czego się o nim dowiedziałem przez ponad dekadę współpracy, podpowiada mi jednak, że akceptuje własną dymisję. Jak mawiali w „Ojcu chrzestnym”, to nic osobistego. Tylko biznes.

Drużynowy

Były prezydent Bronisław Komorowski poznał Naimskiego w 1971 r. – W nietypowych okolicznościach, bo w trakcie mojego pierwszego aresztowania, w domu prof. Witolda Doroszewskiego. Byłem wtedy w harcerstwie, mieliśmy spotkanie, bezpieka zrobiła kocioł – wspomina. – Piotr dał się wtedy poznać jako ktoś, kogo najlepiej nazwać drużynowym. Energiczny, serdeczny, odważny.

Potem nasze ścieżki życiowe i polityczne przecinały się jeszcze wiele razy, aż rozeszły się definitywnie, bo Piotr uznał, że wiążąc się z obozem PO, zdradziłem sprawę niepodległości. Już jako prezydent spotkałem się z nim przypadkowo. Udawał, że mnie nie widzi. Mojej żonie nie odpowiedział nawet na „dzień dobry”.

Pryncypialności miało nauczyć Naimskiego harcerstwo. Jako nastolatek należał do słynnej Czarnej Jedyńki, która wśród wychowanków ma wiele znanych twarzy polskiej opozycji lat 70. i 80., w tym Przemysława Gintrowskiego, Janusza Korwiną-Mikkego, Andrzeja Celińskiego, Antoniego Macierewicza i Janusza Onyszkiewicza.

– Tamten harcerz siedzi w nim do dzisiaj – ocenia znajomy Naimskiego. – Pamiętam, jak irytowały go słowa Władysława Bartoszewskiego, który krytykował powstanie warszawskie z perspektywy militarnej. Dla Piotra, wychowanego na harcerskich apelach poległych, organizowanych 1 sierpnia, powstanie było i jest świętością, zwłaszcza gdy mowa o walczących harcerzach. Nawet w pracy zdarzało mu się stawiać drużynę harcerską za wzór idealnej organizacji.

Jednocześnie – zauważa były współpracownik – jak na człowieka przywiązanego do idei kolegalności i braterstwa wykazywał często zaskakującą nieufność w stosunku do nowo poznawanych osób. – Nagle stwierdzał, że ktoś jest „służbowo miły”, i od razu usuwał go na drugi plan, choć u mnie to zachowanie nie budziło żadnych zastrzeżeń – ciągnie znajomy Naimskiego. – Miał też problemy z delegowaniem zadań. Zwłaszcza gdy ktoś prosił o więcej samodzielności. Wszystko to oczywiście zniknęło po jakimś czasie, kiedy już nabrał zaufania. Wtedy wręcz zrzucił nam na barki część swoich obowiązków. Piotr, co tu kryć, jest pracowity, ale systematyczność i porządek nie należą do jego największych cnót. Tego harcerstwo go ewidentnie nie nauczyło.

Zawdzięcza mu za to znajomość z kimś, kto odcisnął największe piętno na jego politycznej karierze. Bronisław Komorowski: – Pomimo wszystkiego, co nas od siebie oddaliło, chcę powiedzieć, że nadal uważam Piotra Naimskiego za szczerego patriotę i osobę krytycznie uczciwą. Kiedy pod koniec lat 80. w opozycji zaczęły się targi o obsadę przyszłych stanowisk, Piotra nie było ani wśród tych, →

→ którzy uważali, że są najlepszymi kandydatami, ani tych, którzy oczekiwali, że Polska powinna się im teraz odwdziżyć. On chciał po prostu służyć ojczyźnie.

Problem w tym, że – jak zauważa były prezydent – z biegiem lat ojczyzna zaczęła się Naimskiemu utożsamiać niebezpiecznie z Antonim Macierewiczem.

Ucho prezesa

Do Prawa i Sprawiedliwości wstąpił oficjalnie dopiero w 2013 r. Jak sam mówił w jednym z wywiadów, głównie pod presją lokalnych działaczy, którzy nie rozumieli, dlaczego tak bliski współpracownik prezesa formalnie pozostaje poza strukturami PiS. W menu polskiego życia politycznego partia Kaczyńskiego była oczywiście produktem pierwszego wyboru dla Naimskiego. Przed pełnym zaangażowaniem powstrzymywało go coś innego niż różnice ideowe. Rosnąc w siłę, PiS przyciągało też oportunistów i politycznych rozbitek, nierzadko o poglądach nie do zaakceptowania. Na listach samorządowych PiS odnalazł się np. Ryszard Majdzik, działacz Solidarności 80, a kiedyś także Ruchu Odbudowy Polski, który w 1997 r. zasłynął stwierdzeniem, że politycy o żydowskich korzeniach powinni startować „z list mniejszości żydowskiej”. W ten sposób Majdzik skomentował wówczas fakt, że Naimski, wywodzący się z rodziny spolonizowanych Żydów, dostał pierwsze miejsce na krakowskiej liście ROP w wyborach do Sejmu.

– Nie chcę robić z niego Joanny d’Arc, ale Piotr nie nadaje się na pałkarza, a jednocześnie wie, że inaczej polityki nie da się robić – ocenia jego znajomy. – Jest też zbyt lojalny wobec przyjaciół. Nigdy złego słowa nie powiedział o Macierewiczu, choć widział, jak ten wypada z łask Kaczyńskiego.

Bronisław Komorowski podejrzewa, że niechęć Naimskiego do zajmowania pierwszoplanowych miejsc w polityce to właśnie pokłosie czerwca 1992 r. – Piotr musi dostrzegać, że podczas nocy teczki Macierewicz najgorszą robotę odwalili właśnie jego rękami. Obaj wypadli przez to na polityczny margines, ale to do Naimskiego wielu poszkodowanych miało potem największe pretensje.

Znajomość Naimskiego z Macierewiczem sięga lat 60. W 1976 r. obaj zaangażowali się w prace Komitetu Obrony Robotników, przy czym – jak zaznacza

Zasługą Naimskiego jest Baltic Pipe, ale na razie mamy tylko gazociąg.

Rząd nadal nie zawarł umowy na dostawy norweskiego gazu.

Nie wiadomo nawet, ile zdoła go kupić.

Bronisław Komorowski – obaj lokowali się na skrajnym skrzydle jego ówczesnych działaczy.

– Myśmy się wtedy w KOR różnili co do tego, czy PRL równa się brak demokracji czy także brak niepodległości – wspomina były prezydent. – Piotr i Antoni byli w tej drugiej frakcji, ale taktycznie podporządkowywali się pierwszej. Trafiały do nich argumenty starszych kolegów, że postulaty poprawy warunków bytowych robotników są do zrealizowania, w przeciwieństwie do pomysłu wycofania armii sowieckiej z Polski.

Stan wojenny zastał Naimskiego w USA, na stypendium. Do Polski wrócił trzy lata później.

Z doktoratem z biologii i głową napakowaną lekturami amerykańskich neokonserwatystów, którzy w centrum powojennego świata stawiali silną gospodarczo Amerykę z jej wartościami demokratycznymi i armią zdolną do ich obrony na całym globie.

– To z tamtych czasów wywodzi się przekonanie Piotra, że racją bytu niepodległej Polski jest polityczna i wojskowa symbioza ze Stanami – opowiada były kolega z pracy Naimskiego. – Każdy, kto to kwestionuje, zagraża polskiej racji stanu i może się o tym przekonać wprost.

– Kilka lat temu umówiłem się z nim na wywiad – wspomina Bartłomiej Mayer, dziennikarz „Pulsu Biznesu” zajmujący się m.in. tematyką paliwową. – Na początek poprosiłem go o dokładne zdefiniowanie bezpieczeństwa energetycznego Polski, o którym tak często mówi. Wyrzucił mnie za drzwi. Nie zdążyłem nawet zapytać, dlaczego go to tak zdenerwowało.

Paradoksalnie to właśnie radykalnej prozachodniości Naimski zawdzięcza drugą szansę w polityce, którą dali mu wcale nie tak zakochani w Zachodzie bra-

cia Kaczyńscy. Po upadku rządu Olszewskiego popadł na wiele lat w publiczny niebyt. W 1997 r. nie dostał się do Sejmu. Przystanią na ten trudny czas okazała się nowosądecka Wyższa Szkoła Biznesu – National Louis University, w której Naimski na zaproszenie rektora Pawłowskiego współtworzył wydział politologii oraz stosunków międzynarodowych i dyplomacji.

– Miała to być w zamyśle Naimskiego taka polska Ecole Nationale d’Administration, kuźnia elit państwowych. Oczywiście z neokonserwatywnym sznycem – uśmiecha się Antoni Dudek. – Szukali nawet współpracowników na UJ, zakładając, skądinąd słusznie, że w tym gronie nie zabraknie osób o podobnych poglądach.

Z nowosądeckiej uczelni Naimski odszedł w 2009 r. W międzyczasie, za pierwszych rządów PiS, dostał posadę wiceministra gospodarki odpowiedzialnego za dostawy surowców energetycznych, był też szefem Zespołu ds. Bezpieczeństwa Energetycznego w Kancelarii Prezydenta RP.

– Dla wielu znajomych ta jego niespodziewana wolta w stronę energetyki była zaskoczeniem – wspomina kolega z pracy. – Odpowiadał, że wciąż zajmuje się *de facto* tym samym, czyli pilnowaniem niepodległości Polski. Aktualnie na najbardziej zagrożonym jej odcinku, czyli w sferze suwerenności energetycznej. Pod tym względem byli z Jarosławem Kaczyńskim jednymi. **Bilans energetyczny**

Marek Kossowski, były prezes spółki PGNiG: – Moim zdaniem Piotr Naimski największe osiągnięcia ma w budowaniu własnego wizerunku, bo jego dokonania na stanowisku pełnomocnika rządu do spraw strategicznej infrastruktury energetycznej są dość skromne. Inwestycja w elektrownię w Ostrołęce, którą osobiście promował, okazała się kosztowną kląpą. Przez niemal siedem lat nie udało mu się również utworzyć ani jednego wysokoenergetycznego połączenia z systemami sąsiadów. Nie powstał nawet trzeci interkonekt, który łączyłby nas z Niemcami, mimo że ten kierunek sam Naimski wskazywał jako priorytetowy.

Lepiej Kossowski ocenia dokonania Naimskiego w sektorze gazowym.

– Jego zasługą bez wątpienia jest powstanie Baltic Pipe, ale na razie mamy jedynie gazociąg. Warto zresztą zauważyć,

że ta inwestycja nie otwiera Polsce dostępu do norweskiego gazu, bo od lat odbieramy go przez tzw. rewers na gazociągu jamalskim, którym płynie surowiec z Europy Zachodniej, zaopatrywanej także z Norwegii. Pełną ocenę znaczenia Baltic Pipe dla polskiej gospodarki przyniesie dopiero odpowiedź na pytanie, czy Norwegowie zdołają – albo zechcą – wykorzystać w pełni moce przesyłowe tego gazociągu, które sięgają 10 mld metrów sześciennych rocznie. To, że rura ma taką przepustowość, nie oznacza jeszcze, że właśnie tyle gazu sprowadzimy nią z Norwegii. Jak dotąd rząd nie pokazał umów, które by to gwarantowały Polsce. Słyszymy jedynie zapewnienia, że gazu nam nie zabraknie.

W wywiadzie dla Interii prezes Kaczyński przyznał, że osobiście pożegnał się z wieloletnim zaufanym współpracownikiem. „Wyłożył mi koncepcję, którą uznałem za zbyt anachroniczną. Nie było to tylko moje przekonanie, bo na sprawach energetycznych znam się tak, jak się znam, ale to było przekonanie wielu innych ludzi od długiego czasu. Doszedłem do wniosku, że w tej chwili ta współpraca się na dziś urywa” – zdradził szef PiS.

O co może chodzić? W ostatnim czasie najostrzejsze konflikty między Naimskim a otoczeniem premiera Morawieckiego dotyczyły się nie o połączenie Orlenu z Lotosem, któremu pełnomocnik był istotnie przeciwny. O twarde „nie” Naimskiego miała rozbijać się również reaktywacja starego połączenia energetycznego między Rzeszowem a elektrownią jądrową Chmielnicki w Ukrainie. W kwietniu Orlen i należący do Michała Sołowowa Synthos poinformowały, że chcą razem wyremontować to połączenie. Wcześniej taką gotowość zgłosił Zygmunt Solorz, właściciel ZE PAK i grupy Pol-sat. Naimski miał być temu jednak przeciwny, obawiając się, że tani prąd ze wschodu pozbawi polską energię rentowności, a prywatni inwestorzy w tym strategicznym sektorze to zawsze zbyt duże ryzyko.

– Mnie się to układa w logiczną całość, choć na energetyce się nie znam – kwituje znajomy Naimskiego. – Kierunek wschodni kojarzy mi się wyłącznie z zagrożeniem.

© P MAREK RABI

Powiedz mu wszystko

MAŁGORZATA NOCUŃ

Do Anny wciąż wraca pytanie: „A może mój syn mógł przeżyć?”. Zgodziła się na otoczenie go opieką paliatywną. Uważała, że oszczędza mu cierpienia. Teraz czuje, jakby zdecydowała o jego śmierci.

RODZICÓW, KTÓRZY TOWARZYSZYLI noworodkom i niemowlętom podczas umierania, szukam m.in. na specjalistycznych forach internetowych. Proszę o pośrednictwo pomagające im fundacje. Odpowiadają mi matki. Ich historie weryfikuję. Jedna z nich mówi podczas autoryzacji tekstu: „To jednak dla mnie za trudne. Nie pisz o mnie”.

Choć niektóre z tych historii wydarzyły się kilka lat temu, wielu rodzicom wciąż nie udało się wyjść z traumy. O tym, jak potoczyły się ich losy, zdecydowały m.in. przyjęte w szpitalu reguły. Anna pisemnie zgodziła się na paliatywne leczenie syna. Aleksandrę poproszono tylko o złożenie podpisu pod informacją o krytycznym stanie zdrowia dziecka i objęciu go opieką paliatywną. Anna czuje, że życie dziecka zależało poniekąd od niej. Aleksandra – że decyzję o terapii paliatywnej podjęli lekarze.

Pytam prof. Ryszarda Lauterbacha, kierownika Oddziału Neonatologii Szpitala Uniwersyteckiego w Krakowie, i prof. Iwonę Maruniak-Chudek, kierującą Oddziałem Neonatologii i Intensywnej Terapii Noworodka Górnośląskiego Centrum Zdrowia Dziecka w Katowicach: dlaczego w ich szpitalach nie prosi się rodziców o zgodę na leczenie paliatywne, a tylko się o nim informuje?

Prof. Iwona Maruniak-Chudek: – Prośbienie rodziców o zgodę na leczenie paliatywne nie byłoby etycznie neutralne. Kiedy dochodzimy do wniosku, że medycyna jest już bezsilna, zapraszamy rodziców na konsylium paliatywne. Rozmawiamy długo. Wielokrotnie odpowiadamy na jedno i to samo pytanie. W karcie informacyjnej odnotowujemy: „Zważając na szacunek wobec dziecka i kwestie etyczne – czyli nieprzedłużanie bólu – proponujemy zastosowanie terapii pa-

liatywnej”. Rodzice tylko tę informację przyjmują.

Prof. Ryszard Lauterbach: – Proszę sobie wyobrazić cierpiącą kobietę – bo to z matkami najczęściej rozmawiamy – która jest pod wpływem stresu poporodowego. Często towarzyszy jej olbrzymie poczucie winy z powodu przedwczesnego rozwiązania ciąży. Teraz patrzy na swoje umierające dziecko i ma na piśmie oświadczyć, że się poniekąd na tę śmierć zgadza.

Boże, jeśli jesteś...

Prof. Lauterbach i prof. Maruniak-Chudek podkreślają: „Każdy przypadek jest inny”. Stąd powiedzenie, że leczy się pacjenta, a nie wyniki badań.

Inne jest też podejście dyrekcji szpitali i lekarzy do kwestii formalnych. Zgodnie z prawem w każdej placówce medycznej rodzice wyrażają pisemną zgodę na leczenie dziecka poniżej 16. roku życia. W nielicznych szpitalach dyrekcja zabezpiecza się przed ewentualnymi roszczeniami i prosi rodziców o wyrażenie pisemnej zgody na zastosowanie terapii paliatywnej.

Prof. Maruniak-Chudek uważa, że specjalizacja neonatologiczna uczy pokory. A stosowanie terapii paliatywnej jest wielką sztuką. Umierający dorosły może powiedzieć: „Chcę już odejść”. Umierający noworodek milczy.

Lekarze nie mogą go zapytać ani o wolę, ani o odczucia. Poza tym na noworodkowym OIOM-ie niekiedy umierają pacjenci, którzy dobrze rokowali, a przeżywają ci, których – jak sądzono – nie uda się już uratować. Jedna z matek usłyszała: „Pani syn przeszedł wylew do mózgu czwartego, najwyższego stopnia. Uszkodzona została tkanka mózgowa. Umiera”. Kobieta zapytała, co będzie, jeśli syn przeżyje. „Będzie dzieckiem →

→ leżącym. Głęboko niepełnosprawnym fizycznie i intelektualnie” – usłyszała. Wobec dziecka zastosowano terapię minimalną: otrzymywał tlen, pokarm, leki. Nie przetaczano mu krwi. Wprowadzono go w stan sedacji – czyli lekkiego uśpienia. Głowa chłopca była duża i sina (wodobieg krwi). Wprowadzono go w stan sedacji – czyli lekkiego uśpienia. Głowa chłopca była duża i sina (wodobieg krwi).

Po wielu dniach lekarz powiedział: „Pani syn chyba zdecydował się żyć”. I tak się stało. Choć cierpi na mózgowie porażenie dziecięce, uczęszcza do zwykłej szkoły.

Prof. Ryszard Lauterbach chwilę się zastanawia, zanim przypomni sobie szczególnie przypadek umierającego noworodka. – To była urodzona przedwcześnie dziewczynka. Ważyła kilkaset gramów – mówi. – Długo walczyliśmy o jej życie i kiedy wydawało się, że wszystko zmierza ku dobremu, jej stan nagle się pogorszył. Znalazła się na granicy życia i śmierci. Poczuję zupełną bezsilność. Pomyślałem: „Boże, jeśli jesteś, zrób coś! Ja już niczego więcej zrobić nie mogę”. Przeżyła.

Lauterbach podkreśla, że afirmacja życia to zasada naczelną. Ale zadaniem lekarza jest również rozpoznanie sytuacji, w której dłuższe jego podtrzymywanie jest daremne. Przynosi cierpienie umierającemu i prowadzi do terapii uporczywej. Dla dobra pacjenta należy je ograniczać. I jeszcze jedna kwestia – rozmawiając o śmierci, należy wytłumaczyć różnicę pomiędzy eutanazją a terapią minimalną.

Prof. Lauterbach: – Eutanazja prowadzi do przerywania życia. Zakłada świadome działanie, np. odłączenie respiratora. Terapię minimalną to niepodjęcie reanimacji pacjenta, którego życia nie uda się uratować.

Dwie kostki masła

Rozmowy rodziców umierających dzieci z personelem medycznym mogą przesądzić o tym, jak w przyszłości będą sobie radzić z traumą. Empatia, odpowiedni dobór słów pomogą zniwelować poczucie winy. Bo wiele matek mówi: „To ja doprowadziłam do śmierci mojego dziecka”.

Zofia wiele lat po śmierci córki nie może wyzbyć się poczucia sprawczości. Urodziła w 23. tygodniu ciąży. Lekarz zapytał: „Co robimy?”. Odpowiedziała: „Ratujmy ją”. Usłyszała: „Takich dzieci się nie ratuje”. Lekarz wyszedł z sali.

Zofia zadaje mi retoryczne pytania: – Dlaczego lekarz w ogóle zapytał o moją wolę? Dlaczego nie wytłumaczył mi, że

sprzęt medyczny nie zastąpi pracy tak niedojrzałych narządów wewnętrznych? Dlaczego nie porozmawiał ze mną psycholog?

Córka Zofii odeszła po kilku godzinach. Matka przeszukała internet. Znalazła przypadki dzieci urodzonych na progu przeżywalności (22.–23. tydzień ciąży), które przeżyły. Zaczęła się zastanawiać: więc może i dla jej córki był ratunek? Choć lekarze mówią, że uratowanie tak niedojrzałego płodu to „kazuistyka”. Inaczej jest, kiedy dziecko jest bodaj tydzień starsze.

Tak było w przypadku Karoliny. Zaczęła rodzić w 24. tygodniu ciąży.

– Położna zapytała: „I jak?”. Odpowiedziałam, że czuję silne bóle – opowiada. – Odparła: „Niech się pani modli, żeby to dziecko urodziło się martwe. Ile ono waży? Tyle co dwie kostki masła. Jeśli przeżyje, będzie roślinką. I po co to pani?”. Karolina urodziła nad ranem. Mieszczącą się na dłoni dziewczynkę umieszczono w worku termicznym. Trafiła na intensywną terapię. Lekarze codziennie udzielali matce informacji o stanie zdrowia córki, za którą oddychał respirator. Pomagała psycholog. Przez wiele miesięcy przygotowywała na możliwą niepełnosprawność dziecka albo – w skrajnej sytuacji – jego śmierć. Karolina zaczęła racjonalizować lęki.

Dziewczynka przeżyła. Jest głęboko niepełnosprawna fizycznie i intelektualnie. Opiece nad nią Karolina poświęciła swoje życie.

Aleksandra, choć jej syn zmarł, do dziś wspomina personel szpitala jako czuły. Nie rozumiała, dlaczego jej syn odchodzi. Zdjęcia z tomografii komputerowej mózgu wydawały się rozmazanymi plamami, więc lekarze rozrysowali na kartce struktury mózgu. Cierpliwie tłumaczyli. „Proszę spojrzeć, tu powstały przetoki, a tu takie jeziora, gromadzi się w nich płyn mózgowo-rdzeniowy. Nie możemy go odprowadzić”. Kobieta chciała, żeby dziecko umarło przy niej. Mówiła: „Jeśli nie masz już sił, odejdz, synku”. Czuła psychiczne wyczerpanie. Ogarnęło ją „graniczne zmęczenie”: ból głowy, nóg, rąk. Z trudem chodziła. Przy dziecku nigdy nie uroniła łzy. Po wyjściu ze szpitala siadała na ławce.

– I wtedy już nie płakałam. Wylałam – wspomina. – Wsiadłam do auta, kiedy udało mi się wyciszyć.

Chłopczyk odszedł po tygodniu.



Stan syna Ewy (hospitalizowanego w innym szpitalu) również był krytyczny. Podczas konsylium wytłumaczono matce, że medycyna jest już bezsilna. Można zastosować jedynie terapię minimalną. Poproszono ją, by pisemnie wyraziła na nią zgodę. Ewa uznała, że składa swój podpis dla dobra syna. Teraz wszystko w rękach Boga. Jeśli ma umrzeć, umrze. Jeśli ma żyć, będzie żył. Żyje.

Podobne oświadczenie chciała podpisać Angelika. I nią kierowało dobro dziecka, „zminimalizowanie” jego cierpienia. Ale mąż wykrzyczał: „Przecież on wciąż walczy! A jeśli może przeżyć? Chcesz podpisać na niego wyrok?”. W małżeństwie rozpoczął się konflikt.

Do Anny wraca uporczywe pytanie: „A może mój syn mógł przeżyć?”. Wyrzuciła pisemną zgodę na otoczenie umierającego dziecka opieką paliatywną uważając, że oszczędza mu cierpienia. A czuje,



PIOTR HUKALO / EAST NEWS

Oddział porodowy Uniwersyteckiego Centrum Klinicznego w Gdańsku, listopad 2020 r.

jakby to ona zadecydowała o jego odejściu.

Emocjonalna karuzela

Pytam prof. Lauterbacha, czy był świadkiem takiej sytuacji: dziecko umiera; wielonarządowa niewydolność; respirator dostarcza mu sto procent tlenu, a matka trzyma je za rękę i powtarza: „Nie odchodź, błagam cię, nie odchodź. Nie dam sobie bez ciebie rady”. – Wielokrotnie – odpowiada.

– Jak więc wytłumaczyć matce, że śmierci nic już nie powstrzyma? – pytam dalej. – Że reanimacja, jeśli nawet okaże się skuteczna, przedłuży życie tylko na pewien czas. Że pogodzenie się ze śmiercią jest okazaniem dziecku największej miłości.

– Na odejście dziecka przygotowujemy rodziców stopniowo. Nigdy podczas jednej rozmowy. W trakcie pierwszego konsylium najczęściej słyszymy z ust matek

i ojców: „Chcemy walczyć do końca”, „Proszę robić, co w państwa mocy”. Rozumiemy te emocje. Nie staramy się na siłę uświadamiać rodzicom, że ta walka jest daremna. W trakcie kolejnych spotkań widzimy, że są bardziej świadomi sytuacji i w większym stopniu pogodzeni z losem. Odbyli rozmowy z rodzicami, którzy znaleźli się w podobnej sytuacji. Zasięgnęli informacji w internecie albo u innych lekarzy.

Katarzyna – matka zmarłego kilka lat temu Łukasza – uważa, że w terapii jej syna zbyt późno podjęto decyzję o leczeniu paliatywnym. Chłopiec urodził się jako skrajny wcześniak. I chociaż przyszedł na świat w głębokiej zamartwicy (otrzymał dwa punkty w skali Apgar, jeden za pojedyncze uderzenia serca, drugi za kolor skóry), reanimacja przyniosła skutek. Trafił na oddział intensywnej terapii. Po pięciu dobach lekarze określili jego stan jako krytyczny. Żył jeszcze

cztery miesiące. Przez ten czas przeszedł m.in. wstrząs septyczny i wylew krwi do mózgu czwartego stopnia.

Katarzyna: – Byłam na emocjonalnej karuzeli. To stan nie do wytrzymania. Nadzieja przeplata się z rozpaczą. Łukasz przez kilkanaście tygodni znajdował się krok od śmierci. Reanimowano go wiele razy. To była uporczywa terapia. Kiedy brałam go na ręce, czułam, że się boi i chce, bym natychmiast go odłożyła. Dotyk kojarzył z bólem.

Katarzynie nikt nie pomógł zrozumieć doświadczanych przez nią stanów emocjonalnych. Na oddziale nie było psychologa. Za wszelką cenę chciała, żeby dziecko żyło. I za wszelką cenę chciała, żeby już nie cierpiało. To był konflikt tragiczny. – Kiedy Łukasz umarł, miałam nadzieję, że ktoś zacznie go reanimować, jak wielokrotnie to się działo podczas tych czterech miesięcy. Nie mogłam uwierzyć, że jego serce nie bije. Że umarł naprawdę.

Rozmawiam z młodą lekarką pracującą na oddziale neonatologicznym, która prosi mnie o zachowanie anonimowości. Przyznaje, że zdarza jej się płakać w pracy (podczas nocnego dyżuru gdzieś w kacie, w dzień najczęściej w toalecie). I prosi oddziałową psycholożkę o rozmowę. Przeżywa trudne emocje. Była pewna, że dziecko, którym się ostatnio opiekowała i które dobrze rokowało, przeżyje, w przyszłości będzie cieszyć się zdrowiem. Ale nastąpił wstrząs septyczny. Umarło. Podejmując pracę na OIOM-ie, lekarka była świadoma, że to miejsce, gdzie granica pomiędzy śmiercią i życiem jest bardzo cienka, ale wciąż zadaje sobie pytanie: „Dlaczego nam się nie udaje?”. I czy nie lepiej by było, gdyby umarł pacjent leżący kilka łóżeczek dalej? Wyczerpany, wyglądający na cierpiącego. O jego leczeniu rozmawiała ostatnio z koleżanką. Padły słowa: „Ocieramy się o terapię daremną”.

Niekiedy matki same czują, że dziecko poddawane jest terapii uporczywej. Lekarzom trudno jest podjąć decyzję o odstąpieniu od reanimacji. Na przykład noworodek podłączony jest od dłuższego czasu do respiratora oscylacyjnego (stosowanego w ciężkiej niewydolności oddechowowej). Otrzymuje sto procent tlenu, leki reanimacyjne. Matka prosi: „Chcę go przytulić”. By było to możliwe, lekarze muszą zmienić respirator oscylacyjny (z twardą końcówką) na tradycyjny. Matka dostaje

→ dziecko na ręce, a ono po piętnastu minutach umiera.

Łączniczka

Być może Joanna Piątek-Perlak nie podjęłaby pracy na oddziale intensywnej terapii noworodka, gdyby sama nie doświadczyła straty córki.

Piątek-Perlak trafiła na oddział patologii ciąży w 24. tygodniu ciąży. Ginekolog-położnik zdiagnozował hipotrofię płodu, czyli zbyt małą wagę w stosunku do wieku ciążowego. W skrajnych przypadkach hipotrofia może doprowadzić do śmierci płodu (braku dopływu tlenu i pokarmu). Podczas kilkutygodniowej hospitalizacji z pacjentką ani razu nie rozmawiał psycholog. Ginekolodzy-położnicy po każdym badaniu mówili: „Dziecko jest bardzo małe. Proszę przygotować się na najgorsze”.

Piątek-Perlak: – Nie czułam do nich żalu, wiedziałam, że są przeciążeni pracą. Ale kiedy wychodzili z sali, czułam się bezradna, zostawałam sama ze skrajnymi emocjami. Płakałam w poduszkę, ogarniał mnie paniczny lęk.

Zuzia, córka Piątek-Perlak, umarła po kilku tygodniach walki o życie. Piątek-Perlak przeszła przez żałobę. Doświadczyła uczucia, które w psychologii nazywane jest „potraumatycznym wzrostem”. Złożyła wizytę w szpitalu, w którym hospitalizowane było jej dziecko. Powiedziała, że chciałaby dołączyć do personelu medycznego. Została łączniczką między światem medycyny (reprezentowanym przez lekarzy) i emocji (towarzyszącym rodzicom). Bo rodzice – ona wiedziała o tym najlepiej – także potrzebują opieki.

Piątek-Perlak, wraz z lekarzami i położnymi, uczestniczyła w konsyliach paliatywnych. Rodzice, których poinformowano o krytycznym stanie ich dziecka, trafiali do jej gabinetu mieszczącego się na oddziale. W nim nie tylko się rozmawiało. Czasem tylko się siedziało i płakało. Kwadrans, pół godziny albo nawet godzinę. Niekiedy – z ust matek – padały pytania: „Czy to moja wina?”, „Czy gorzej od innych matek o swoje dziecko walczyłam?”, „A może niewystarczająco w nie wierzyłam?”.

Piątek-Perlak uczyła rodziców wykorzystywać czas, krótki – kilka dni, niekiedy godzin – który mogli z dzieckiem spędzić. Mówiła: „Nadszedł moment, w którym mogą państwo powiedzieć

Katarzyna za wszelką cenę chciała, żeby dziecko żyło.

I za wszelką cenę chciała, żeby już nie cierpiało.

To był konflikt tragiczny.

dziecku wszystko to, co chcielibyście, by usłyszało od was przez całe życie. Ono umiera”.

Kobiety wierzą, że gdyby „postarały się bardziej”, mogłyby ocalić dziecko. Piątek-Perlak zwraca uwagę, że niekiedy podobne uczucia charakterystyczne są dla matek po poronieniu. Psycholożki słyszą od nich: „To moje ciało je zabiło” albo „Mam gen morderczyni”. Uczucie sprawczości bliskie jest nawet matkom, które zdecydowały się na terminację ciąży ze względu na wadę genetyczną płodu, ale nie zdążyły poddać się zabiegowi, bo organizm sam rozpoznał wadliwy materiał genetyczny i doprowadził do poronienia. Zanim – w toku terapii – zrozumieją, że na śmierć dziecka nie miały wpływu, upłynie długi czas.

Personel medyczny, z którym rozmawiałam, podkreśla: odpowiednia opieka lekarska nad umierającymi dziećmi i ich rodzicami jest dziś szczególnie potrzebna. Zaostrożenie ustawy aborcyjnej sprawiło, że dzieci z wadami letalnymi (umrą pomimo zastosowanego leczenia) rodzi się o wiele więcej. Nie wszystkie kobiety decydują się na terminację ciąży za granicą.

Piątek-Perlak, choć od kilku miesięcy prowadzi prywatną praktykę (praca na noworodkowym OIOM-ie wypała), wciąż udziela wsparcia rodzicom umierających dzieci (wcześniaków, dzieci obciążonych wadami letalnymi). Do jej gabinetu trafiają rodzice, którym niewydolny system opieki zdrowotnej nie może pomóc. Na oddziale jest jeden psycholog, a rodziców (bo wsparcia potrzebują przecież także ojcowie) wielu. Niekiedy psychologa nie ma wcale. Matki i ojcowie borykają się z syndromem stresu potraumatycznego. Prawo stanowi, że dzieci z wadami letalnymi mają rodzic się bez względu na wszystko. Więc niektórzy pediatrzy bez względu na wszystko je ratują.

Na przykład: na świat przychodzi noworodek, który ze względu na zespół towarzyszących mu wad genetycznych nie ma szans na przeżycie. W tej sytuacji nie powinno się podejmować resuscytacji, tylko pozwolić mu umrzeć w ramionach matki. Niekiedy jednak dziecko zostaje zaintubowane i podłączone do respiratora. Zaczyna się uporczywa terapia, która może trwać kilka miesięcy.

■ ■ ■
Zapytałam prof. Maruniak-Chudek, czy ktoś z konsyliów paliatywnych szczególnie utkwiło jej w pamięci. – Pamiętam każde – odpowiedziała i spostrzegła moje zaskoczenie. Po chwili dodała: – Personelowi medycznemu także towarzyszą ogromne emocje. Po kilku latach można zapomnieć twarze rodziców, a nawet twarz dziecka. Ale pamięta się każdy przypadek.

Pracy neonatologów towarzyszą nie tylko emocje i stres. Jest to (obok ginekologii) część medycyny obciążona ogromnym odsetkiem roszczeń ze strony pacjentów. Liczba pozwów i godziny spędzone na salach rozpraw sprawiają, że neonatologia stała się jedną z najrzadziej wybieranych specjalizacji. Kiedy okazuje się, że dziecko przeżyło, ale jest niepełnosprawne, rozpoczyna się bowiem szukanie winnego. Dzieje się tak, nawet kiedy dziecko dobrze się rozwija, ale ma np. zastawkę w mózgu, której wszczęcie było konieczne, by odprowadzać nadmierną ilość płynu mózgowo-rdzeniowego. Kiedy dziecko walczyło o życie, wielu lekarzy słyszało z ust rodziców błagania: „Róbcie wszystko, by przeżyło”. Po dwóch latach ci sami rodzice przychodzą na oddział i pytają: „No i po co je ratowaliśmy?”.

Oddział, którym kieruje prof. Maruniak-Chudek, mieści się na ósmym piętrze szpitala. To tu lekarze robią wszystko, by ocalić najmniejszych pacjentów. Jeśli czują, że nie wygrają ze śmiercią, podejmują decyzję o leczeniu paliatywnym. Ale o życiu i śmierci nie decydują ani oni, ani tym bardziej rodzice dziecka: – Mówimy, że ta decyzja zapada na dziewiątym piętrze. Bo nasz oddział mieści się na ostatniej kondygnacji. Nad nami jest już tylko niebo.

© MAŁGORZATA NOCUN

Imiona bohaterów tekstu zostały zmienione na ich prośbę.



DARIUSZ KAŁAN

Zamknięte przejście graniczne pomiędzy Polską a Rosją w Gronowie, lipiec 2022 r.

Z Ruskimi było lepiej

DARIUSZ KAŁAN

Jeszcze nie tak dawno wagony wypełnione po brzegi węglem formowały długie kolejki, czekając na rozładowanie w terminalach przeładunkowych Braniewa. Dziś te złote czasy minęły. Wiele uważa, że bezpowrotnie.

ZA CHWILĘ KLIENCI ODBIORĄ WĘGIEL z ostatniej hałdy. Maszyny, w tym linia do sortowania kupiona w zeszłym roku i jeszcze nieużywana, stoją samotnie na wyludnionym placu albo w hali, w której rzadko było tak cicho jak teraz. Ledwie kilku pracowników ubranych w jasnozieloną odzież roboczą rozładuje kontenery.

– Można powiedzieć, że to śmieszne... Jakieś przeładunki, kontenery, towary z Ameryki... Byłe przetrwać – mówi Dariusz Lewko, dyrektor zarządzający Polfrostu, jednego z sześciu terminali przeładunkowych w Braniewie, siedem kilometrów od granicy z obwodem kaliningradzkim. – Były spowolnienia w historii firmy. Tak źle – nigdy.

Terminale zajmowały się transportem i spedycją różnych produktów, ale

w większości był to węgiel sprowadzany z Rosji. Według raportu Polskiego Instytutu Ekonomicznego tamtejszy surowiec w 2020 r. stanowił ok. 72 proc. węgla importowanego przez Polskę, co odpowiadało 15 proc. krajowej konsumpcji. W większości trafiał na opał do gospodarstw domowych.

Kiedy rząd w odpowiedzi na inwazję Rosji na Ukrainę wprowadził sankcje na rosyjskie surowce, Polfrost i inne braniewskie terminale z dnia na dzień znalazły się na lodzie. Zakaz działalności w Polsce objął także największych lokalnych dystrybutorów węgla z rosyjskim kapitałem: KTK Polska i SUEK.

– My jesteśmy polską firmą, lecz od rządu nie dostaliśmy ani informacji o sankcjach, ani pomocy. Pod ustawę pomocową nie podchodzimy, bo obej-

muje klientów, a nie firmy logistyczne. Nam wystarczyłoby zwolnienie ze składki ZUS – zapewnia Lewko. W ostatnich latach Polfrost zainwestował blisko 5 mln zł w nowoczesną technologię i opracował pięcioletnią strategię zmniejszania zależności od importu węgla. Teraz stracił trzy kontrakty, które miały pomóc w zmianie portfolio, i został z kredytami za nowe inwestycje.

Terminale zatrudniały łącznie ponad tysiąc mieszkańców Braniewa i okolic, z czego 300-400 już zostało zwolnionych, jak twierdzi Lewko. Polfrost rozstał się z kilkoma z pięćdziesięciu pracowników; obniżył też pensje o 30 proc. i zrezygnował z zewnętrznej ochrony. – Oczywiście, trzeba pomagać Ukrainie... – żali się Lewko. – Ale czemu nie pomyślimy o sobie i ludziach, którzy zostają bez pracy?

Złote czasy Braniewa

Według raportu amerykańskiego think tanku Pew Research, pod koniec czerwca 94 proc. Polaków uważało Rosję za „poważne zagrożenie”. Ale tutaj – na końcu Polski – Rosja przez dekady kojarzyła się z przewidywalnością i zyskiem. Wielu chętnie wspomina złote czasy, kiedy wyskakiwało się do Kaliningradu po tanie paliwo, praca na terminalach oznaczała prestiż i solidne zarobki, a Rosjanie zostawiali gotówkę w dyskontach oraz u lokalnych sprzedawców owoców i warzyw. Niejeden majątek został też zbudowany na przemyśle papierosów, wódki i samochodów.

– O, tam stały kolejki na 2-3 kilometry – wspomina Wojciech Pietrzak, 45-letni pracownik obsługi przejścia granicznego, wskazując na pustą drogę przy swoim dwupiętrowym domu w Gronowie. Dalej za domem Pietrzaków jest tylko granica. – Tętniło życie. Dwa kantory były, trzy bary, parking dla Ruskich. Nie było takiej rzeczy jak „rusofobia”.

Pierwszym sygnałem, że złote czasy mijają, było zawieszenie w 2016 r. istniejącego od niespełna pięciu lat małego ruchu granicznego. Pretekstem był szczyt NATO w Warszawie i Światowe Dni Młodzieży w Krakowie. Od tamtej pory trzeba było wyrabiać wizy, co i tak wielu mieszkańcom obu stron się opłacało. Rosjanie zniknęli dopiero po wybuchu pandemii, gdy w marcu 2020 r. Polska zamknęła przejścia graniczne z obwodem.

Proszący o anonimowość przedsiębiorca prowadzący różne biznesy w Braniewie oraz kilku jego pracowników, →

→ często używając ostrego języka, wyrażają frustrację z powodu bezczynności rządu, drastycznego wzrostu kosztów życia, rat kredytów i cen węgla oraz masowych zwolnień z terminali. – Nie stać mnie na opał – skarży się przedsiębiorca, twierdząc, że roczne przychody spadły mu z 20-30 milionów w 2019 r. do kilkuset tysięcy w 2021 r. – Mam piec na olej opałowy, który kosztuje 7,6 zł za litr. Potrzebuję co najmniej 2-3 tys. litrów. A taka emerytka, która musi kupić minimum 3 tony węgla?! Masakra, nie wyobrażam sobie zimy. Kiedy granica była otwarta, wszystko hulało, każdy był zadowolony. Braniewo żyło, ludzie się budowali, miały powstawać nowe sklepy...

– Jak Rosjanie robili zakupy, to wydawali tyle pieniędzy, że się w głowie nie mieści – dodaje jeden z pracowników. – Parówki tonami wynosili, chowali nawet w opony.

Czarny śnieg

W Braniewie, mieście liczącym 17 tys. mieszkańców, nie ma większych atrakcji turystycznych. Prawdopodobnie największym pracodawcą jest jednostka wojskowa; wysoko na liście znajduje się też sieć piekarni, browar, producent mebli Okmed i kilka innych prywatnych firm. No i terminale. Młodzież wyjeżdża do większych miast na studia lub do pracy za lepsze pieniądze. I rzadko wraca.

– Jak świat światem, tam, gdzie była granica, zawsze był handel – mówi mi burmistrz Tomasz Sielicki. – Terminale przyczyniły się do rozwoju miasta, co można było dostrzec w dużym popycie na nowe mieszkania. Pozwoliły też wypłynąć na szersze wody mieszkańcom, którzy prowadzili drobną działalność, jak sprzątanie wagonów, usługi transportowe czy gastronomia. Teraz cały ten łańcuch został zerwany.

Jednak Sielicki dziwi się, kiedy słyszy o zwolnieniach w terminalach. Bo według powiatowego urzędu pracy bezrobocie od 2019 r. stale spada. Na koniec czerwca w rejestrze osób szukających zatrudnienia widniały 23 osoby. Agnieszka Zdanowicz, dyrektorka urzędu, pisze mi w mailu: „Nie wpłynęła do nas informacja o zwolnieniach grupowych z uwagi na wprowadzone sankcje na Rosję”.

W Braniewie nie wszyscy tęsknią za starymi czasami. – Dla mnie to wstyd, gdy się narzeka, że Rosjan tu nie ma, kiedy tak niszczą Ukraińców – mówi mi Dariusz,

Wielu mieszkańców ma świadomość, że zależność od Rosji była zbyt duża.

Kilka ostatnich lat zostało zmarnowanych.

55-letni właściciel sklepu wędkarskiego na braniewskim targu. Prosi, by nie podawać jego nazwiska.

Ma osobisty powód, żeby nie użalać się nad losem terminali. Mieszka w sąsiedztwie dwu z nich. – Latem nie można okien otworzyć. Przeciera się ścierką i ścierka zaraz jest czarna. A zimą białego śniegu w Braniewie nie zobaczysz – mówi z goryczą, odnosząc się do pyłu z hałd węgla, który powstaje w czasie przeładunku i obróbki surowca.

Dariusz przekonuje, że granica nie tylko nie powinna zostać otwarta, ale że trzeba ją „pod prąd podłączyć”. – Mówi się, że zostawiali u nas pieniądze, a przecież wszystko trafiało do zagranicznych dyskontów... A terminale? Kiedyś ich nie było i jakoś żyliśmy, nie?

W tych emocjach kryje się zarzut wielu mieszkańców: że zależność od Rosji była zbyt duża, a kilka ostatnich lat zostało pod wieloma względami zmarnowane.

Granica rozleniwia

– Jedna rzecz, że było wystarczająco czasu od zamknięcia małego ruchu, żeby przygotować się do życia bez Rosji – mówi Wojciech Andrearczyk, były dziennikarz i twórca Portalu Braniewo, strony z informacjami o mieście. – A druga, że jest dużym ryzykiem opieranie biznesu na takim kraju jak Rosja.

Andrearczyk należy do niedużej grupy przedsiębiorców urodzonych w Braniewie, którzy po studiach w innych częściach kraju wrócili do rodzinnego miasta. Ale nawet on przyznaje, że nie ma pomysłu, co robić bez granicy. – Mówi się, że brakuje u nas dużego zakładu. Ale nawet jak powstanie, czy znajdą się pracownicy?

Los regionu – tak jak dziesiątków innych oddalonych od dużych miast – został naznaczony przez transformację lat 90. Wiele zakładów pracy powstałych w czasach PRL, jak garbarnia, mleczarnia, stadnina koni i przedsiębiorstwo budowlane, zostało zamkniętych, a ludzie z dnia na dzień znaleźli się na bruku. – To

spotkało moich rodziców, którzy całe życie pracowali w garbarni. Region został zapomniany i skazany sam na siebie. Nic dziwnego, że kiedy otworzyła się granica, wielu zobaczyło w tym szansę.

– Tyle że od tego czasu niewiele się zmieniło. Bo nie ma atrakcyjnej alternatywy, bo granica rozleniwiała ludzi – wzdycha Andrearczyk. Dodaje, że jest pogodzony z tym, iż jego piętnastoletni syn Mikołaj wyjedzie z Braniewa i już nie wróci.

Andrzej Demko, 52-letni Ukrainiec urodzony w Braniewie (jego dziadkowie i rodzice zostali przesiedleni tu po akcji „Wisła”), uciął większość kontaktów biznesowych z obwodem kaliningradzkim na początku lat dwutysięcznych. Dla swojej firmy meblarskiej Okmed znalazł nowe kierunki sprzedaży: Bałkany i Europę Zachodnią.

– Inny popyt, inny klient, inna potrzeba rynku, inny poziom bezpieczeństwa – tłumaczy. – W Rosji trzeba było korzystać z pośredników, w pewnym momencie wprowadzili też cło. To zniechęcało. Gdyby mi się układało biznesowo z Rosjanami tak jak terminalom, to pewnie bym inaczej mówił. Ale znałem tamtejszą politykę, więc wiedziałem, że to nieprzewidywalny partner.

Zderzenie ze ścianą

Tak jak w latach 90., w regionie jest dziś silne poczucie lekceważenia ze strony polityków ze stolicy. Właściciele terminali wpadli np. na pomysł, żeby przekształcić Braniewo w „suchy port”: docierający do Trójmiasta węgiel (dostarczany drogą morską z Australii oraz Ameryki Południowej) odbieraliby samochodami i obrabiali na swoim specjalistycznym sprzęcie. A jeśli nie węgiel, to inne produkty; cokolwiek, żeby przetrwać trudny czas.

– Zderzyliśmy się ze ścianą – mówi burmistrz Sielicki, który pojechał do Warszawy, żeby przedstawić projekt na sejmowej komisji energetyki, klimatu i aktywów państwowych. Przewodniczy jej Marek Suski, bliski współpracownik Jarosława Kaczyńskiego. – Na początku powstał konflikt między posłami i musieliśmy patrzeć, jak się kłócą. Kiedy zostaliśmy dopuszczeni do głosu, przewodniczący wchodził i wychodził, pstrykał telefonem, a po trzech wystąpieniach powiedział, że kończy komisję. Wróciliśmy z niczym.

DOROTA

Masłowska:

Niewinni czarodzieje



WYJEŹDŻAM. A GDY WRACAM, ZASTAJĘ Warszawę opuszczoną, cichą, z nagle wykoślawioną socjologią. Teraz, w środku wakacji, można myśleć, że to miasto staruszków, ukraińskich rodzin w modelu „2 kobiety plus 1 dziecko”, rozwożących jedzenie ciemnoskórych uberrzystów i rozmaitych „ludzi luźnych”, którzy jak zombies łądają się w kadry robiącym instastories turystom. Kręci się też sporo osób, których dress code'ów nie rozumiem. Wojna wtłoczyła z powrotem w przestrzeń publiczną masy zalegających pawlacze i piwnice ciuchów; raz po raz widzę człowieka, którego twarz, skóra, mina, fryzura mówi co innego niż ubranie. Czas niepokoju odbija się w ulicznym krajobrazie, dochodzi do przemieszania się rekwizytów, atrybutów, insygniów. Ubrania wróciły do swoich pierwotnych funkcji: rozszczelniły się hermetyczne kody i ciągle widzę kogoś, kogo nie potrafię rozczytać.

I gdy tak jadę tramwajem jak akwarium i w okolicach Stadionu Narodowego widzę przez szybę wielkiego jak niedźwiedź człowieka na małym rowerze składanym, a potem chłopaka pchającego przez most swój dobytek na fotelu biurowym na kółkach, ogarnia mnie nagły dreszcz. Ludzie jak karty do gry w Dixit. Nierozpłątne kłbowiska żyć, kołtuny losu, mrowiska historii. Mózg klasyfikuje to wszystko jako „tłum”, by nie oszaleć. Jednak każda z tych twarzy jest centrum jakiegoś świata, jest dla siebie stawką większą niż życie. Moje miasto wypełniło się historiami, których nie potrafię oszacować, dopowiedzieć. Myślę o tym, gdy w TK Maxxie na dziale z obuwem męskim,

w niekończących się rzędach modeli skórzanych i tekstylnych, szarych albo pstrokatych, przybranych kutasikami i odłamkami lusterek, czekających dopiero na właścicieli; butów mających dopiero ożyć, trafić do jakichś szaf, jeździć jakimiś samochodami, wdepnąć w jakieś gówna, teraz jednak wciąż czystych, nietkniętych zębem rzeczywistości, abstrakcyjnych, nowych – zauważam parę znoszonych mokasynów.

Zajechane czarodzieje, zarazem bardzo eleganckie, z długim czubem i obcasikiem, ale i wyraźnie noszone przez kogoś na co dzień, to nie są żadne „wielkie marki taniej”. Niezgrabne, tandetne, baśniowe, na wesela i pogrzeby, do tańca i różańca, odprawiania mszy, oczyszczania piwnicy i zbierania wiśni w sadzie, wydają się własnością mężczyzny tradycyjnego: grabarza lub czarnoksiężnika, pracownika kebaba lub plebana. Dlaczego je tu porzucił? I w jakich butach stąd wyszedł? Ręcznie szyte adidasy z małej berlińskiej firmy? Kamelowe cichobiegi z frędzlą? W TK Maxxie, tej globalnej kopalni tożsamości, jest z czego wybierać. Można dokonać ekspresowych ubraniowych awansów; ich cena 789, nasza cena 78,99. Usunąwszy dyskretnie zabezpieczenia, mężczyzna uszedł stąd w nowych butach, podrzucając na półkę tych dwóch wiernych, Bogu ducha winnych przyjaciół.

(Od razu wyobrażam sobie, jak nocą, gdy produkty w TK Maxxie przestają udawać martwe, stojące obok adidasy otwierają liczne oczka. „E, nowe?” „Tak?” – podnoszą długie noski mokasyny wybudzone z płytkiego snu. Może śniła im się jeszcze wojna, wybuchy, zbieganie do schronów. A może deszcz drobinek tłuszczu spadających z beli kebaba, gdy ich właściciel szatkował go nożem do bułki, nakładał surówkę. „Nie jesteście stąd!” – rzuca zaczepnie para funkcyjnych „górali” z goretexu. „Dlaczego?” – bronią się słabo mokasyny. „Bo nie macie metki”. „Urwała się” – kłamią nieumiejętnie, jak to ci, co nie kłamią. „Tak? To czemu śmierzdzicie?” – mówią adidasy. Rzędy pozostałych butów obelżywie rechoczą. Następnego dnia pracownica z obrzydzeniem wynosi je na śmietnik. Kurtyna.) ©

OGŁOSZENIA

W Sądzie Rejonowym dla m.st. Warszawy w II Wydziale Cywilnym pod sygn. akt II Ns 1899/16 toczy się postępowanie z wniosku Miasta Stołecznego Warszawy o stwierdzenie nabycia spadku po Alicji Dorocie Szkólnej z domu Piwnickiej, c. Henryka i Józefy, zm. 19 grudnia 2010 r., ostatnio stale zamieszkałej w Warszawie przy ul. Asnyka 4/24.

Sąd wzywa wszystkich spadkobierców, aby w terminie trzech miesięcy od opublikowania tego ogłoszenia zgłosili się do Sądu Rejonowego dla m.st. Warszawy w Warszawie i udowodnili nabycie spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą być pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

W Sądzie Rejonowym w Przysusze pod sygn. akt I Ns 304/21 toczy się postępowanie z wniosku PROTEGAT 1 NS FIZ w Krakowie i SKOK „Centrum” w Bytomiu o stwierdzenie nabycia spadku po Henryku Zielińskim, s. Stanisława i Rozalii, zm. 2 sierpnia 2020 r., mającym ostatnie miejsce zwykłego pobytu w m. Goździków, gm. Gielniów, woj. mazowieckie.

Wzywa się spadkobierców ww. zmarłego, aby w ciągu trzech miesięcy od dnia ukazania się niniejszego ogłoszenia zgłosili się do Sądu Rejonowego w Przysusze i udowodnili nabycie spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą być pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

I ŁZY, I GNIEW

„Pokornie proszę o przebaczenie za zło popełnione przez tak wielu chrześcijan wobec rdzennej ludności” – od tych obiecujących słów zaczęła się oficjalna część papieskiej pielgrzymki pokutnej do Kanady.

Potem było już tylko gorzej.

JOANNA GIERAK-ONOSZKO

DZIEŃ WCZEŚNIEJ SAMOŁOT PAPIEŻA wylądował na płycie lotniska w Edmonton w prowincji Alberta. W hangarze przywitała go muzyka tradycyjnych bębnow i skromna, ale życzliwa delegacja. Nad korzystającym z wózka inwalidzkiego Franciszkiem pochylił się z dobrotnym uśmiechem premier Justin Trudeau. Z większą powściągliwością zachowała się gubernatorka generalna Mary Simon, która szybko i bez zbędnego afektu uściśliła rękę papieża (Simon, Inuitka, jest pierwszą rdzenną mieszkanką Kanady piastującą ten najwyższy urząd w państwie). Inaczej było, gdy podeszła Alma Desjarlais z narodu Frog Lake: Franciszek ujął i ucałował jej dłoń. Wiedział, że Alma jest jedną z ocalałych.

Nieprzypadkowo to właśnie w Albercie rozpoczęła się pierwsza od 20 lat wizyta głowy Kościoła w Kanadzie. Na tutejszych prerii powstało najwięcej szkół z internatem przeznaczonych wyłącznie dla dzieci rdzennych mieszkańców. Tworzyły one sieć blisko 140 placówek obejmujących Kanadę właściwie od oceanu do oceanu. Wymyślone i zorganizowane przez ojców kanadyjskiej państwowości, były zarządzane głównie przez duchow-

nych, w większości przez księży i zakonników katolickich.

Do 1997 r. ok. 150 tys. takich dzieci, mocą obowiązującego prawa, odebrano rodzinom i umieszczono w internatach, najczęściej setki kilometrów od domu, na całe lata. Chodziło o przerwanie więzi – wymazanie języka, tradycji i tożsamości. Dzieci były poddawane przemocy fizycznej, psychicznej i seksualnej. Dziś uważa się, że ofiarami tego okrutnego systemu są nie tylko ci, którzy trafili do tych szkół, ale także ich bliscy, w tym kolejne pokolenia.

Dlatego to przede wszystkim dla takich jak Alma Desjarlais Franciszek wybrał się w tę pielgrzymkę, o której sam mówi: pokutna. Ale choć na lotnisku wymieniano uprzejmości, potem sprawy szybko się skomplikowały.

Nie Kościół, lecz chrześcijanie

Kolejnego dnia papież odwiedził miejscowość Maskwacis niedaleko Edmonton, gdzie funkcjonowała jedna z największych w kraju szkół z internatem. Zawieziono go na przyszkolny cmentarz. Fotografowie byli przygotowani i w serwisach szybko pojawiły się zdjęcia: zasępiony papież na wózku modli się pośród małych,



białych krzyży. Następnie rozpoczęły się właściwe uroczystości.

Z tej okazji władze niedawno naprawiły drogę, którą goście dotarli pod niewielką arenę, gdzie na co dzień urządzone są tradycyjne uroczystości *pow-wow*. Na dachach okolicznych budynków położyli się snajperzy, a nieopodal stacjonowały gotowe do startu śmigłowce. Na spotkanie zaproszono głównie ocalałych ze szkół, przedstawicieli starszyny i ich bliskich. Niektórzy mieli na sobie tradycyjne stroje i regalia. Inni – pomarańczowe koszulki z hasłem „Every Child Matters” („Każde dziecko jest ważne”), które są symbolem solidarności z ofiarami.

W środku areny dla około dwóch tysięcy osób przygotowano krzesła, ale też



VATICAN PRESS OFFICE / AFP / EAST NEWS

Spotkanie papieża Franciszka z rdzenną społecznością w Maskwacis. Kanada, 25 lipca 2022 r.

specjalne przekąski i napoje dla diabetyków. Wielu ocalańców to dziś osoby starsze i schorowane, często z cukrzycą. Organizatorzy (za wszystko płaciło państwo) zapewnili wsparcie nie tylko techniczne, ale też psychologiczne. Papieską pielgrzymkę obsługiwały zastępy psychologów i przewodników duchowych, doświadczonych w pracy z osobami po traumie. Towarzyszyli nie tylko obecnym na spotkaniach z papieżem, lecz także tym, którzy oglądali transmisję w swoich miejscowościach, często daleko od głównych ośrodków. W takich przypadkach lokalne centra kultury, szkoły czy urzędy organizowały wspólne oglądanie i przeżywanie pielgrzymki. Państwo uruchomiło też specjalną, czynną

całą dobę, linię kryzysową. Wiadomo było, że nawet jeśli słowa papieża mogą uleczyć, to na pewno przywołają wspomnienia.

Papież też musiał o tym wiedzieć. Przemawiał po hiszpańsku, ale najpierw tłumacz symultaniczny przekładał wszystko na angielski, a następnie – kilkanaście innych osób – na 12 języków rdzennych. Przemówienie było świetnie skonstruowane – z początku wyrażało pełnię szacunku dla tradycji gospodarzy, podkreślało wartość ich kultury i brzemień trudnego doświadczenia. Franciszek mówił: „Błagam Boga o przebaczenie, uzdrowienie i pojednanie”. Przywołał słowa Elie Wiesela, że przeciwieństwem miłości nie jest nienawiść,

lecz obojętność. Następnie powiedział wprost, dlaczego podjął pielgrzymkę. Powodem była „ponowna prośba o przebaczenie i powiedzenia wam z serca, że głęboko ubolewam: proszę o przebaczenie za to, w jaki sposób wielu chrześcijan wspierało, niestety, kolonizacyjną mentalność mocarstw, uciskających rdzenne narody”.

Chwilę wcześniej papież ucałował długi czerwony transparent, na którym wypisano ponad cztery tysiące imion i nazwisk dzieci, które nigdy nie wróciły do domu ze szkół z internatem.

Najważniejsze zdanie tego historycznego przemówienia brzmiało: „W obliczu tego oburzającego zła Kościół klęka przed Bogiem i błaga o przebaczenie za

→ grzechy swoich dzieci. Chciałbym to podkreślić ze wstydem i jasnością: pokornie proszę o przebaczenie za zło popełnione przez tak wielu chrześcijan wobec rdzennej ludności”.

Wielu uczestników spotkania płakało. Za każdym razem, kiedy ze sceny padało słowo „przepraszam”, słychać było oklaski. Kiedy papież skończył, też rozległy się brawa – ale entuzjazmu nie było. Z każdą chwilą stawało się coraz bardziej oczywiste, że dobrze rozpoczęta przemowa pozostanie bez puenty. Franciszek przeprasza bowiem za „wielu chrześcijan”, lecz nie za Kościół katolicki. Dlatego to nie słowa, które padły, lecz te, których zabrakło, odwróciły bieg wydarzeń.

Pióropusz

Znaków, że pojednanie nie będzie ani proste, ani oczywiste, było tego dnia więcej. Nadszedł czas na oficjalne uroczystości i wymianę kurtuazji. Do siedzącego na scenie Franciszka zaczęły podchodzić delegacje wodzów i ocalałych. I wtedy telewizyjne kamery wychwyciły w tłumie coś, czego nie było w oficjalnym scenariuszu. Kobieta w tradycyjnym stroju zbliżała się do sceny, wołając w stronę papieża. A potem stanęła wyprostowana i zaczęła przejmująco śpiewać. Po jej polickach ciekły łzy.

Komentatorzy zauważyli, że kobieta śpiewa w jednym z rdzennych języków, na melodię hymnu narodowego „O Canada!”. Ale kamery nie pokazały kontekstu.

A było tak: chwilę wcześniej przedstawiciel starszyny włożył nieco zaskoczonymu papieżowi na głowę orli pióropusz – tradycyjne nakrycie głowy oznaczające władzę i godność. Kiedy SiPihKo, kobieta z narodu Kri, to zobaczyła, zaczęła krzyczeć: „Zdejmijcie mu to, zdejmijcie!”, a ludzie się rozstąpili. SiPihKo podniosła głos i rozległa się przejmująca pieśń – to właśnie ten *protest song* pokazali kamerzyści. Ale to nie był hymn – kobieta zamiast „O, Canada!” zaśpiewała „Ka ka na tak”, czyli „Nasza wieś”, ludowy utwór starszy niż kanadyjskie państwo.

Obrazki ze śpiewającą SiPihKo poszły w świat: oto przed papieżem staje kobieta, która wypłakuje bolesną pieśń w swoim ojczystym języku, do niedawna zakazanym i metodycznie niszczone w systemie szkół z internatem. W języku, którego nie wolno było używać, uczyć i pamiętać. Kobieta z miej-

Do roku 1997 około 150 tys. dzieci odebrano rodzinom

i przymusowo umieszczono
w internatach, najczęściej
setki kilometrów od domu,
na całe lata.

sca stała się symbolem godności, oporu i rdzennej dumy.

Pióropusz na głowie papieża przez kolejne dni rozpałał debatę publiczną. Czy wolno było podarować taką świętość człowiekowi, który stoi na czele organizacji oskarżanej o kulturowe ludobójstwo? Wielu rdzennych Kanadyjczyków mówi głośno, że nie. Na godność noszenia orlich piór trzeba sobie zasłużyć, to dla nas świętokradztwo – mówią otwarcie.

Inni studzą emocje i zauważają, że w języku dyplomacji taki podarunek to dowód szacunku, w historii było sporo precedensów. O symbolice gestu świadczy też ręka, która włożyła pióropusz na głowę Franciszka. Należała do znanego i szanowanego w Kanadzie przedstawiciela starszyny, wodza Wiltona Littlechilda, jednego z sędziów Komisji Prawdy i Pojednania. To właśnie ta komisja opublikowała w 2015 r. raport dokumentujący skalę przemocy i okrucieństwa, jakim poddawano dzieci w szkołach z internatem. Skoro Littlechild, który sam wysłuchał zeznań tysięcy ocalałych, chce wyróżnić papieża, trzeba to uszanować.

Wódz długo wydawał się zaskoczony oburzeniem, z jakim spotkał się jego gest. Tłumaczył (przez wnuka): to jeden z pióropuszy z mojej prywatnej kolekcji, mogę nim swobodnie dysponować. Jednak rdzenni Kanadyjczycy w większości uważają, że Littlechild brał udział nie w prywatnej audycji, ale występował w imieniu swego narodu.

Luki w przemówieniu

To nie pióropusz jest jednak największym problemem pielgrzymki. Przede wszystkim: słowa papieża odebrano co najmniej ambiwalentnie. Opinie są wy-

rażnie podzielone, a z każdym dniem oceny stają się coraz bardziej gorzkie.

Z jednej strony docenia się gest papieża, podjęty trud i obecność wśród ocalałych, na ich ziemi i na ich warunkach. Żaden dostojnik kościelny nie uczynił – także w sferze symbolu – tak wiele dla pojednania. Z drugiej strony wyczuwalne jest rozżalenie, rozczarowanie i gniew. Słowa papieża – choć odbierane jako szczerze – nie potwierdziły gotowości Kościoła do wzięcia na siebie odpowiedzialności. Zabrakło zapewnienia, że ci, którzy dopuścili się przestępstw na dzieciach lub takich sprawców ukrywali, zostaną osądzeni. Zabrakło też deklaracji udostępnienia archiwów. Co prawda niektórzy duchowni zgadzają się na ich odtajnienie, ale większość dokumentów ze szkół jest chroniona przed śledczymi i opinią publiczną. A mogłyby potwierdzić zeznania ocalałych, uwiarygodnić tworzone z pamięci mapy, inwentarze, a także listy uczniów i personelu – ofiar, świadków i sprawców przemocy.

Evelyn Korkmaz, dziewczynka z sosnowej polany z mojej książki „27 śmierci Toby’ego Obeda”, która ocalała ze Szkoły św. Anny, powiedziała po spotkaniu z papieżem: „Czekałam 50 lat na te przeprosiny i wreszcie dziś je usłyszałam. Ale miałam nadzieję, że zostanie też przedstawiony plan naprawczy. A papież nie powiedział nic o ujawnieniu dokumentów, na które wręcz desperacko w Kanadzie czekamy”.

Słowa papieża spotkały się z reakcją władz państwowych. Tego samego dnia premier Trudeau wydał lakoniczne oświadczenie, w którym przypomniał o raporcie Komisji Prawdy i Pojednania, zawierającym także 94 wezwania zmierzające do naprawienia krzywd. „Punkt nr 58 w szczególności wzywa papieża do wystosowania przeprosin wobec Ocalałych, ich rodzin i społeczności, za rolę Kościoła rzymskokatolickiego w duchowym, kulturowym, emocjonalnym, fizycznym i seksualnym wykorzystywaniu dzieci Pierwszych Narodów, Inuitów i Métisów w katolickich szkołach z internatem”.

Marc Miller, kanadyjski minister ds. stosunków z rdenną ludnością, powiedział wprost, że nie wolno ignorować luk w papieskich przeprosinach. Zauważył, że w przemowie Franciszka nie padło ani słowo o wykorzystywaniu seksualnym dzieci, do którego dochodziło

w szkołach. Ogromne nadzieje związane z przełomowym charakterem pielgrzymki należało zweryfikować.

Łacina

Następnego dnia papież przewodniczył mszy na stadionie w Edmonton, przewidzianej na ponad 65 tysięcy uczestników. Widać było wiele pustych krzeseł, co piąty zaproszony nie przyszedł. Na trasie pojawiły się transparenty: „Odwołaj doktrynę odkryć!”. Doktryna ta zbudowała ramy systemu, który pozwolił chrześcijanom z Europy na podporządkowywanie sobie zamorskich terytoriów. Nazywano je *terra nullius* – ziemia niczyja. W Kanadzie doktryna stała się *ratio legis* dla ustawy o Indianach, która była narzędziem sankcjonującym opresję wobec rdzennych mieszkańców. I która – choć ze zmianami – obowiązuje do dziś, regulując status prawny rdzennych Kanadyjczyków. Doktryna odkryć nasyciła swoim duchem liczne systemy prawne – jej potępienie zaburzyłoby porządek prawny w wielu krajach półkuli zachodniej. I chociaż Kościół deklaruje, że papież nie popiera już XV-wiecznych bulli, to jednoznacznie ich nie potępi – także dlatego, że zakłóciłoby to i tak często napięte relacje pomiędzy rdzennymi mieszkańcami a władzami federalnymi w Kanadzie.

W czasie nabożeństwa w Edmonton nie było już odniesień do roli przedstawicieli Kościoła w systemie szkół z internatem. Ani nawiązywania do rdzennych tradycji. Papież skupił się na ogólnym wymiarze dziedzictwa kulturowego – do tego stopnia, że część liturgii poprowadzono po łacinie. Nie zostało to dobrze odebrane. Łacina była przecież językiem, który pobrzmiwał w internatach, kojarzy się z opresją. Komentatorzy ocenili, że nabożeństwo było zmarnowaną okazją na drodze do pojednania.

Tego samego dnia papież udał się na brzeg jeziora, do Lac Ste. Anne, miejsca słynącego z cudów, by wziąć udział w tradycyjnej pielgrzymce w grupie kilkuset wiernych. Papież włożył metyskie ozdoby i przywitał się ze zgromadzonymi w trzech rdzennych językach – nakota, kri i blackfoot – mówiąc gromko: „*Aba-wash-did! Tansi! Oki!*”, za co zebrał brawa.

Różne lokalne instytucje

Trzeciego dnia pielgrzymki papież polecił na wschód kontynentu, do Quebec

Zabrakło zapewnienia, że dopuszczający się przestępstw na dzieciach,

zostaną osądzeni.

Zabrakło też deklaracji
udostępnienia kościelnych
archiwów.

City, na spotkanie z gubernator generalną. Ale po tym, co powiedział w Edmonton, atmosfera była co najmniej chłodna.

Mary Simon publicznie zaprzeczyła, jakoby wizyta papieża i jego przeprosiny były aktem pokutnym i gestem dobrej woli ze strony Watykanu. Stwierdziła, że to sukces rdzennych Kanadyjczyków, którzy „pracowali, czekali i modlili się o przeprosiny na rdzennych ziemiach Kanady. Nigdy się nie poddali. Musimy pamiętać, że to dzięki ich odwadze i uporowi jesteśmy dziś w tym miejscu”. Odniosła się też do słów papieża, który przekonywał, że pojednanie jest łaską, o którą należy zabiegać. „Pojednanie jest łaską, na którą należy zapracować nieustannym, ciężkim wysiłkiem i zrozumieniem. Czekamy na kolejne informacje o przyszłych działaniach Kościoła, mających na celu kontynuowanie tych wysiłków” – oświadczyła.

W spotkaniu wziął też udział premier Trudeau i wymieniał konkretne działania, których Kanada oczekuje. Jest to m.in. zwrot cennych artefaktów, dostęp do dokumentacji, określenie stosunku do doktryny odkryć, a także postawienie przed sądem księdza Johannes Rivoire’a. Duchowny, oskarżony o ciężkie przestępstwa seksualne na dzieciach, ukrywa się przed kanadyjskim wymiarem sprawiedliwości wśród duchownych we Francji.

Tego dnia przekaz papieski zmienił się o pół tonu. W środowym przemówieniu Franciszek odniósł się ponownie do systemu szkół z internatem: „W tym godnym ubolewania systemie, promowanym przez ówczesne władze państwowe, który oddziaływał wiele dzieci od ich rodzin, miały swój udział różne lokalne instytucje katolickie”. I choć znów nie komentował kierowniczej i sprawczej roli Ko-

ścioła, podkreślił aktywne zaangażowanie lokalnego duchowieństwa w niszczenie rdzennych kultur. Ale nie zmieniło już to wymowy pielgrzymki.

Czternaście stopni

W czwartek papież odprawił mszę w bazylice Sainte-Anne-de-Beaupré w Quebec City. Na początku do ołtarza przeszły dwie osoby i w milczeniu rozwinęły transparent z napisem: „Odwołaj doktrynę”. Papieska homilia nie odnosiła się już do szkół z internatem, choć wśród zgromadzonych w świątyni było wielu ocalańców. Franciszek oświadczył, że Kościół katolicki w Kanadzie jest na nowej drodze „po tym, jak został zraniony i zniszczony przez zło popełnione przez niektórych jego synów i córki”. I wyjaśnił: „Myślę w szczególności o nadużyciach seksualnych wobec nieletnich i osób bezbronnych, skandalach, które wymagają zdecydowanych działań i zaangażowania, od którego nie ma odwrotu”. Był to pierwszy (i jak dotąd – jedyny) raz, kiedy papież odniósł się do przestępstw seksualnych.

W chwili, gdy zamykany jest ten numer „Tygodnika”, papież leci z krótką wizytą do Iqaluit, niewielkiej miejscowości na rządzonej przez Inuitów terytorium Nunavut, na podbiegunowe tereny północnej Kanady. To okolica dostępna tylko z wody i powietrza, nie łączą jej ze światem żadne drogi. Ale nawet tutaj do lat 70. istniały szkoły z internatem.

Pogoda ma być przyjemna, ok. 14 stopni Celsjusza. To niepokojący znak. W ostatnich latach katastrofa klimatyczna przyspiesza, a mieszkańcy Nunavut widzą to szczególnie wyraźnie. To także dlatego papież chce się tam zatrzymać – by zwrócić uwagę świata na zagrożenia dla planety. Ale Kanadyjczycy mają nadzieję, że wątek klimatyczny nie będzie jedynym: Franciszek zaplanował prywatne spotkania z ocalałymi. Czy wypowie to, czego nie udało mu się w pełni wyśłowić podczas ostatnich kilku dni?

Pielgrzymka otworzyła na nowo wiele ran, prowadziła przez najciemniejsze ścieżki. Ustawia na wiele kolejnych lat dyskusję o roli Kościoła; jej implikacje będą w Kanadzie jeszcze długo odczuwalne. A ci, którzy z uwagą wysłuchali papieża, zostają na kolejne lata z jego słowami – zarówno tymi, które wypowiedział, jak i tymi, których poskąpił.

© JOANNA GIERAK-ONOSZKO

Tiara, pióropusz i boski Oddech

PIOTR SIKORA

Po papieskiej pielgrzymce do Kanady pozostał problem doktrynalnej odpowiedzialności za stosowaną w imię religii przemoc i pytanie o stosunek Kościoła do innych religii.

KWESTIA UDZIAŁU KOŚCIOŁA W SYSTEMOWYM niszczeniu rdzennych kultur Kanady, jakim była sieć szkół rezydencjalnych, nie jest tylko wstydlivym epizodem z historii naszej wspólnoty, za który trzeba pokutować i przepraszać osoby oraz wspólnoty przez nas skrzywdzone. Owszem, jest to konieczne i dlatego konieczna była pokutna pielgrzymka Franciszka do Kanady [zarówno szczegółły kanadyjskiej historii, jak i przebieg papieskiej podróży relacjonowaliśmy w „Tygodniku” – wszystkie artykuły dostępne są na naszej stronie: powszech.net/kanada/]. Uwikłanie Kościoła w ten proces, w którym krzywdy doznały całe wspólnoty, dotyka także fundamentów katolickiej wiary.

Przemoc wobec niechrześcijan

Kanadyjska historia jest wyzwaniem, po pierwsze, dla rozumienia świętości i nieomyłności Kościoła. Warto bowiem zauważyć, że jednym z postulatów wysuwanych przez przedstawicieli Pierwszych Narodów jest to, by papież potępił tzw. doktrynę odkryć. Upraszczając, była to ideologiczno-religijna podbudowa kolonizacji ludów przez europejskich odkrywców. Jej ważnym aspektem było odwołanie do konieczności szerzenia wiary chrześcijańskiej także mieczem. Za podstawę „doktryny odkryć” uznaje się bullę papieża Mikołaja V „Dum diversas”, skierowaną w 1452 r. do króla Portugalii Alfonsa V. Papież nadał królowi prawo „najeżdżania, zdobywania, podbijania i podporządkowywania sobie Saracenów, pogan i innych wrogów Chrystusa”, a także przejmowania ich wszelkich majątkowości.

Niestety, Franciszek nie zdobył się na potępienie wprost dokumentu Mikołaja V i doktryny odkryć. Z drugiej strony w swoich przemówieniach do rdzennych

mieszkańców ziem kanadyjskich wypowiedział sporo stwierdzeń, które wskazują, że treść bulli i cała teologia z nią związana są sprzeczne z ewangeliczną wersją chrześcijaństwa. Mówił np.: „Wygodniejsze wydaje się wpojenie w ludzi Boga niż pozwolenie im, by zbliżyli się do Niego. Ale to się nigdy nie udaje, ponieważ Pan nie przychodzi w ten sposób: nie przymusza, nie tłum i nie uciska; natomiast zawsze miłuje, wyzwala i pozostawia wolnymi. Nie wspiera swoim Duchem tych, którzy podporządkowują sobie innych, tych, którzy myślą Ewangelię pojednania z prozelityzmem. Nie można bowiem głosić Boga w sposób, który jest sprzeczny z Bogiem. A jednak ileż razy działo się tak w historii! Podczas gdy Bóg zwyczajnie i pokornie proponuje siebie, my zawsze mamy pokusę, by narzucać Go i w Jego imię narzucać siebie. Jest to pokusa światowa, by sprawić, że zejdzie On z krzyża, by objawić Go poprzez władzę i pozory”.

Ważne, że Franciszek nie przypisywał opisanej przez siebie postawy jedynie przeszłości, lecz zauważał, że narzucanie siebie i swoich wzorców kulturowych pod pozorem ewangelizacji „także dzisiaj zanika z trudem” – również z religijnych przyczyn. Innymi słowy – wciąż żywa i silna jest pokusa, by pojmować wiarę religijną w taki sposób, który zachęca do przemocowego „wpajania ludziom Boga”. Warto zaś dopowiedzieć, że ów wpajany Bóg jest tylko tym, za co/kogo uważają go wpajający – nie jest prawdziwym Bogiem „napełniającym wszystko na wszelki sposób” i pozostającym zawsze większym od wszystkiego, co „serce człowieka zdołało pojąć”. Jest to raczej uwarunkowana przez daną kulturę i tradycję religijną koncepcja – ograniczona, bo „uszyta na miarę” jakiejś konkretnej tradycji religijnej.



Święty Kościół grzesznych ludzi

Papieskie przemówienia z Kanady sugerują, że prawdziwa wiara – ta, która nie ulega światowej pokusie „zejścia z Krzyża”, lecz bierze przykład z Jezusa – pozbawiona jest wszelkich znamion przemocowości. Zarazem autentyczna chrześcijańska wspólnota „to dom dla wszystkich, otwarty i inkluzywny, taki, jakim powinien być Kościół, rodzina dzieci Bożych, w którym gościnność i przyjęcie, typowe wartości kultury rdzennej, mają fundamentalne znaczenie: gdzie każdy winien czuć się mile widziany, niezależnie od tego, co przeżył, i od swych indywidualnych okoliczności życiowych”.

Franciszek mówi tak, jakby odkrywał prawdziwą istotę Kościoła, która jedynie przygodnie mogła być w pewnych okresach przyszyta „upadkiem” jego członków. „Boli mnie – przyznaje papież – myśl, że katolicy byli zaangażowani w politykę asymilacji i emancypacji, która umacniała poczucie niższości, ograbiając wspólnoty i pojedyncze osoby z ich tożsamości kulturowej i duchowej, odcinając ich korzenie i podsycając postawy uprzedzenia i dyskryminacji, a także, że odbywało się to również w imię edukacji rzekomo chrześcijańskiej”. To nie Kościół popełnia(ł) zło, Kościół „został zraniony i wstrząśnięty złem popełnionym przez niektóre swoje dzieci”. To nie Kościół, ale



PATRICK T. FALLON / AFP / EAST NEWS

Baner pamięci z wypisanymi imionami i nazwiskami dzieci, które nigdy nie wróciły do domu ze szkół z internatem. Muskwa Park w Maskwacis, Kanada, 25 lipca 2022 r.

katolicy mogli ulec pokusie i krzywdzić Pierwsze Narody.

Z drugiej strony – zdaniem Franciszka – jasna jest prawda nie tylko o tym, jak być powinno, lecz także, jak w (katolickim) gruncie rzeczy jest: „To jest droga: nie decydować za innych, nie szufladkować wszystkich w ustalonych schematach, ale stanąć przed Ukrzyżowanym i przed bratem, aby nauczyć się podążać razem. Taki jest Kościół i niech takim będzie: miejscem, gdzie rzeczywistość zawsze przewyższa ideę. Taki jest Kościół i niech takim będzie: nie zbiorem idei i nakazów do wpojenia ludziom, ale domem gościnnym dla wszystkich! Taki jest Kościół i niech takim będzie: świątynią o zawsze otwartych drzwiach, w której my wszyscy, żywe świątynie Ducha, spotykamy się, służymy sobie nawzajem i jednamy się ze sobą”.

Skomplikowana rzeczywistość

Sposób, w jaki Franciszek interpretuje przeszłość, za którą przybył przeprosić rdzennych mieszkańców Kanady, jest problematyczny. Papież odwołuje się do postawy Jezusa – w której nie było żadnej przemocy. Jest to mocny argument za taką właśnie – bezprzemocową – wizją chrześcijaństwa. Ale z drugiej strony w księgach biblijnych uznanych przez chrześcijaństwo za kanoniczne można odnaleźć wiele miejsc, które dopuszczają,

a nawet zalecają lub gloryfikują stosowanie przemocy w kontekście religijnym: przykładem choćby historia zdobycia Kanaanu przez plemiona izraelskie pod wodzą Jozuego.

Można oczywiście powiedzieć, że teksty „przemocowe” należą do wcześniejszych etapów rozwoju objawienia biblijnego i jako takie powinny być oceniane oraz reinterpretowane w świetle tekstów późniejszych, a zwłaszcza w perspektywie tego, czego nauczał i co robił Jezus. Taki sposób traktowania objawienia biblijnego jest na pewno bliski Franciszkowi. Z drugiej strony, jak pokazuje historia, np. bulla „Dum Diversas”, zupełnie odmiennie nauczali inni papieże.

Okazuje się zatem, że tradycja judeo-chrześcijańska nie jest monolitem, jeśli chodzi o kwestię stosowania przemocy z przyczyn religijnych. Nie można też istniejących wewnątrz niej sprzeczności wyjaśnić liniowym rozwojem. Sprawa jest bardziej skomplikowana, a nauczanie biblijne czy kościelne okazuje się nie tylko zmienne, lecz także silnie uwarunkowane okolicznościami socjologicznymi i historycznymi.

Kanadyjska historia – dawniejszego uwikłania Kościoła w przemocowy system szkół rezydencjalnych i współczesny proces rozpoznawania zła tego uwikłania, kulminujący w papieskiej pokutnej pielgrzymce – stawia i przed katolikami

pytanie: czy nasza tradycja jest jakoś wyróżniona, czy też jest jedną z wielu ograniczonych i ułomnych religijnych tradycji ludzkości?

Boskość powszechnie dostępna

Powyższe pytanie prowadzi do następnego – dotyczącego kwestii równie znaczącej dla uwikłania Kościoła w Kanadzie w zło systemu szkół rezydencjalnych – tj. katolickiej oceny niechrześcijańskich form religijności i duchowości. Bez wątpienia zaangażowanie w niszczenie rdzennych kultur uzasadnione było w świadomości ówczesnych katolików tym, że uznawali religię i duchowość Pierwszych Narodów za nie tylko niższą od chrześcijaństwa, ale wprost złą – całkowicie błędną, a nawet demoniczną. A można się było wówczas powołać na sporą liczbę biblijnych fragmentów oraz kościelnych dokumentów, które taki pogląd uzasadniały.

Kanadyjskie spotkania Franciszka z rdzennymi mieszkańcami tamtych ziem są przejawem radykalnej zmiany w Kościele w tej kwestii. Prowadzącym dawne szkoły rezydencjalne jawiłyby się jako obrazoburcze a nawet bluźniercze – wszak ich gospodarze wykonywali swoje niechrześcijańskie, rytualne tańce i śpiewy. Trudne do przyjęcia byłyby też dla nich słowa wspólnej deklaracji Franciszka i imama Al-Tajiba, iż „pluralizm i różnorodność religii, koloru skóry, płci, rasy i języka są wyrazem mądrej woli Boga, z jaką Bóg stworzył istoty ludzkie. Ta boska Mądrość jest źródłem, z którego wywodzi się prawo do wolności wiary i wolności do bycia różnymi”. A przecież właśnie uznanie powyższego jest najgłębszą racją, by odrzucić „wszelkie próby zmuszania ludzi do przyjmowania określonej religii oraz kultury, podobnie jak narzucenie jednego modelu cywilizacji, którego inni nie akceptują”.

Zmiana w ocenie religii niechrześcijańskich jest i dziś dla wielu katolików nie do przyjęcia – w internecie można znaleźć wiele komentarzy bardzo krytycznych wobec uczestnictwa papieża w spotkaniu, w którym rdzenni mieszkańcy Kanady rytualnie jednoczą się w tańcu z pulsem Matki Ziemi. Jak – pytają – możemy zachować swoją wiarę, uznając jednocześnie, że Bóg jest równie dostępny dla innych poza naszą wspólnotą? Musimy szukać odpowiedzi na to pytanie.



Kościelna sauna

TOMASZ P. TERLIKOWSKI

Skandale seksualne w archidiecezji białostockiej i diecezji drohiczyńskiej, a także reakcje na nie pozwalają zrozumieć, na czym polega „system klerykalny”, przed którym przestrzega Franciszek.

SPRAWY DWÓCH WYSOKO POSTAWIONYCH kurialistów, jednego z archidiecezji białostockiej, a drugiego z drohiczyńskiej, łączy wiele. W obu przypadkach mamy do czynienia z osobami ważnymi w strukturach diecezji. Ks. dr Andrzej Dębski był prefektem seminarium, osobistym sekretarzem biskupa, rzecznikiem białostockiej kurii, kapelanem piłkarzy Jagiellonii i gwiazdą programów telewizyjnych. Ks. Łukasz Gołębiewski był sekretarzem, kapelanem emerytowanego już biskupa drohiczyńskiego Antoniego Pacyfika Dydycza, a obecnie jest dyrektorem diecezjalnej Caritas. Oba przypadki dotyczą zapisów internetowych kontaktów. Choć różni je płeć osób, z którymi kontaktowali się księża, to w istocie można je traktować podobnie.

Oczywiście są także liczne różnice. Ks. Dębski się przyznał (nie miał za bardzo wyjścia, bo w jego przypadku mamy do czynienia z nagraniami wideo), a ks. Gołębiewski przekonuje, że jest wrabiany i „ktoś chce mu zaszkodzić”. Odmienne jest także reakcja biskupów. Abp Józef Guzek błyskawicznie zawiesił ks. Dębskiego, później go suspendował, podziękował mediom za ujawnienie sprawy, a na koniec zapowiedział dogłębne jej wyjaśnienie. Bp Piotr Sawczuk, ordynariusz drohiczyński, księdza nie zawiesił (choć od zgłoszenia sprawy minęło ponad półtora miesiąca, od publikacji medialnej już ponad tydzień), a kanclerz kurii ks. Zbigniew Rostkowski uważa, że istotą problemu nie jest brak działania biskupa, ale media. „Też medialną o rzekomej zwłoce władzy diecezjalnej w reakcji wobec opi-

sanego kapłana studzi kan. 196 § 1 Kodeksu Prawa Kanonicznego, który mówi, że »pozbawienie urzędu, stanowiące karę za przestępstwo, może być dokonane tylko zgodnie z przepisami prawa«. Ubolewamy nad tym, że sprawa opisana w artykule daje okazję do mówienia źle o Kościele, i zapewniamy o woli rzetelnego jej wyjaśnienia” – napisał w oświadczeniu kanclerz.

Zostawiając już na boku fakt, że urząd dyrektora Caritas nie jest dożywotni, a zawieszenie do wyjaśnienia sprawy nie jest równoznaczne z pozbawieniem urzędu, to ta reakcja pokazuje zdecydowanie różnicę w reakcjach w sytuacjach kryzysowych. Z jednej strony mamy sprawne działanie, przeprosiny i zawieszenie księdza, a z drugiej udawanie, że nic się nie stało, pozorne oburzenie i krycie duchownego.

W obronie systemu

Ta różnica – uświadamiająca, jak bardzo Kościół w Polsce jest Kościołem różnych prędkości – nie powinna przesłaniać tego, że na pewnym poziomie działania są podobne. Proponuję, by głębiej przeanalizować wypowiedzi abp. Józefa Guzka. Są w nich oczywiście słowa bardzo potrzebne, ale jest też zastanawiający brak pytania o to, jak możliwe było to, że tego rodzaju osobowość tak długo miała idealne pole do działania. Dlaczego, choć – co wiemy już z doniesień medialnych – informacje o nieobyczajnych zachowaniach księdza docierały do kurii i do poprzednich metropolitów, kariera ks. Dębskiego nigdy się nie zatrzymała (raz odwołano go ze stanowiska prefekta seminarium)? Nigdzie nie pojawiają się także w oświadczeniu metropolity odpowiedzi na pytanie, czym jest owa słynna „sauna”, do której nie udał się pewnego dnia ks. Dębski, gdyż, jak sam pisał, „oszczędza nasienie”?

To nie są kwestie, które można zlekceważyć, stawiają one bowiem w istocie pytanie o system, który przez lata umożliwiał działanie ks. Dębskiemu. Nie widać też w wypowiedziach równie zdecydowanej, co w przypadku załatwienia sprawy ks. Dębskiego, determinacji do zbadania własnej kurii, wyciągnięcia wniosków z informacji medialnych na jej temat, a także postawienia pytań poprzednim metropolitom.

Abp Tadeusz Wojda zaprzeczył już wprawdzie, by miał jakiegokolwiek informacje na temat nadużyć, ale to przecież

on pozbawił ks. Dębskiego stanowiska prefekta w seminarium, co zdaniem informatorów mediów z archidiecezji białostockiej miało być właśnie karą za wysyłanie obscenicznych esemesów do innej młodej kobiety. To także musi zostać wyjaśnione, ponieważ w tej sprawie nie ma żadnych powodów, by wierzyć na słowo byłemu metropolicie. Skala ujawnianych nadużyć ks. Dębskiego jest na tyle duża, a stopień jego niedojrzałości na tyle rzucający się w oczy, że trudno uwierzyć, by przez wiele lat jego kurialnej kariery i seksualnych „podbojów” nikt niczego nie zauważył. Trudno też uznać, że wszystkie osoby opowiadające o zgłaszaniu sprawy do kurii kłamią. Sprawa wymaga więc zbadania nie tylko w odniesieniu do samego ks. Dębskiego, ale także wysokich urzędników kurii i poprzednich metropolitów. „Biała księga”, szczegółowe wyjaśnienie sprawy, ukaranie winnych ukrywania i tuszowania pozwoli powiedzieć, że sprawa została załatwiona. Wcześniej można mówić jedynie o sprawnej reakcji w sytuacji kryzysowej.

Zbywane pytania

To właśnie umiejętność reakcji w takiej sytuacji różni zachowania obu biskupów. Na głębszym poziomie pozostają zaś one podobne. I abp Guzdek, i bp Sawczuk (tyle że stawiając granice w innym miejscu, pierwszy na poziomie struktur, a drugi już na poziomie osoby oskarżonej) odmawiają w istocie dyskusji na temat systemowych przyczyn tego, co się wydarzyło. Gdy Tomasz Królak z Katolickiej Agencji Informacyjnej pyta o to, „czy ten przypadek wskazuje na wadliwość systemu kształcenia seminaryjnego, czy może luki w formacji księży o dłuższym już stażu?”, abp Guzdek jak ognia unika jakiegokolwiek zmierzania się z pytaniem. „Nie wyciągałbym wniosków zbyt szybko. Taka teza wymaga analizy. Przecież po formacji seminaryjnej i późniejszej mamy wielu wspańiałych, zaangażowanych, żyjących Ewangelią kapłanów” – mówi.

Gdy pada pytanie o weryfikowanie powołań, odpowiedź jest równie nieprecyzyjna. „Należy zrobić wszystko, co jest możliwe... Należy przede wszystkim dbać o harmonijny rozwój całej osoby, obejmujący wymiar duchowy, fizyczny, psychiczny, intelektualny oraz apostołski. Jednak każdy człowiek jest tajemnicą. Każdy nosi w sobie pewne predyspozycje, wpływy środowiska, otoczenia, ma swoje

mocne i słabe strony. Nie ma szablonu na wychowanie człowieka powołanego do kapłaństwa lub życia konsekrowanego, zresztą tak samo, jak nie ma szablonu na przygotowanie kandydata do małżeństwa” – mówi abp Guzdek. I tak samo jest zbywane każde pytanie o systemowe przyczyny tego, co się wydarzyło.

A to w istocie one są kluczowe. Seksholicy, ludzie zaburzeni, znajdują się w każdej organizacji. Istotnym pytaniem jest jednak, jak to możliwe, że mimo sześćdziesięcioletniej formacji seminaryjnej nikt nie dostrzegł głębokiej niedojrzałości alumna. Jak to możliwe, że przez lata nie dostrzegano albo udawano, że się nie dostrzega takich, a nie innych jego zachowań? Te dwie kwestie prowadzą zaś do pytania o to, czy rzeczywiście ks. Andrzej Dębski jest wyjątkiem na tle świętych i pobożnych białostockich kapłanów, czy też jest po prostu owocem pewnego systemu ukrywania i tuszowania, a także klerykalnego ostrzegania rzeczywistości.

Co z tym seminarium

Zacznijmy od kwestii seminarium. Z doniesień medialnych wynika jednoznacznie, że już w okresie seminaryjnym kleryk Dębski zachowywał się jak idealny produkt systemu klerykalnego. W czasie studiów zaczął wynosić się nad innych, a później – także w czasie kontaktów z kobietami – nieustannie podkreślał, że jest księdzem. Treści wysyłanych do kobiet wiadomości wskazują zaś, że był osobowością skrajnie niedojrzałą, i to na poziomie trudnym do przeoczenia. A jednak nie tylko został wyświęcony, ale też później był mocno promowany. Dlaczego?

Odpowiedzi mogą być różne, ale trudno nie postawić problemu formacji seminaryjnej w ogóle. Abp Guzdek przekonuje, że nie ma do tego powodów, bo przecież system formacyjny wydaje wielu świętych kapłanów. Odwracając jednak rozumowanie metropolity białostockiego, trzeba zapytać, czy owi święci kapłani są „owocem systemu”, czy może ich świętość dokonuje się „pomimo niego”, a niekiedy „wbrew niemu”? To poważne pytanie, bo gdy rozmawia się z duchownymi diecezjalnymi w Polsce, to wielu z nich (jest faktem, że nie wszyscy, bo seminaria w Polsce są różne) wspomina studia jako okres przyuczania do hipokryzji, układów i świadomego ukrywania własnych poglądów, byle tylko dotrzeć

do święceń. I nawet jeśli są to nadużycia, które nie wypływają z natury systemu, to tak właśnie on wygląda.

Nie mniej istotne jest pytanie o to, jaki jest prawdziwy cel seminariów duchownych. Nie jest nim nauka, bo tę – na lepszym poziomie – gwarantują wydziały teologiczne przy renomowanych uniwersytetach. One też pozwalają na nieustanny kontakt z innymi świećnikami (w tym z kobietami), co nie tylko weryfikuje powołanie do celibatu, ale i pozwala na poznanie odmiennych perspektyw teologicznych. Nie jest nim także przystosowanie do modelu życia, jakim będą żyli duchowni diecezjalni, bo tak się składa, że system seminaryjny oparty jest na formacji zakonnej, życiu wspólnotowym, określonym planie dnia, podczas gdy ogromna większość duchownych będzie żyła samotnie, bez wspólnoty i bez tego rodzaju życia duchowego, jaki poznała w seminarium. Seminarium formuje więc ludzi do życia, którym nigdy nie będą żyli.

Jeśli nie model życia i nie wiedza, to co stoi za takim modelem formacji do kapłaństwa? Jak się zdaje, odpowiedź jest prosta. Chodzi o to, by „sklerykalizować” (niekiedy określa się to mianem „ukościelnienia”) kandydata do kapłaństwa. Przez sześć (a niekiedy więcej) lat ma on nabrać nawyków, zwyczajów, sposobów komunikowania właściwych jego wspólnotcie, nabrać przekonania o „szczególnym wybraniu” i swoistym „oddzieleniu” od innych. To wszystko skutkuje „lojalnością” nie wobec ludu Bożego, ale wobec wąsko pojętej instytucji kościelnej, a konkretniej: kasty, której jest się członkiem (nazywanej w feudalnym języku „stanem duchownym”). „Brewiarzowy ton” czy „brewiarzowa twarz”, a także głęboka korporacyjna solidarność – o której w żartach mówią niekiedy sami księża – nie wynika przecież z powołania, ale właśnie z pewnego modelu formacji seminaryjnej. Potrzebna jest więc jego zmiana.

Jaka? Może zrezygnować z modelu trydenckiego? Luterkańscy czy reformowani pastory studiują na uniwersytetach, mają czas, by zdecydować, czy chcą formacji duchownej, czy jedynie studiują teologię, potem wysyła się ich na realne placówki duszpasterskie (co oczywiście dzieje się też w przypadku kleryków, ale tam jest to tylko niewielki czasowo element ich formacji), a dopiero później →

→ podejmują decyzję. Konieczność zmagania się z trudnościami łączenia studiów i pracy zawodowej, codziennych czynności domowych z życiem duchowym sprawia, że mają o wiele większe doświadczenie zwyczajnego życia i o wiele lepiej znają problemy późniejszych parafian. Nikt nie oddziela ich od świata, nikt nie formuje w osobności.

Nie widać powodów, by podobnie nie mieli żyć przyszli księża katoliccy. Jeśli zaś mają odbierać także formację duchową, to wystarczy na czas wakacji wysłać ich na miesięczne rekolekcje ignacjańskie albo na szkoły życia duchowego w klasztorach benedyktyńskich. W roku akademickim doświadczenia duszpasterskiego mogliby zaś nabywać w parafiach, na terenie których by mieszkali, a formację kapłańską odbieraliby w czasie kierownictwa duchowego czy spotkań z doświadczonymi pasterzami.

Czy to rewolucja? Może, ale seminaria to późny wynalazek, który także był rewolucyjny, a do tego potrzebujemy modelu rozbijającego korporacyjną solidarność duchownych i klerykalny system. To ich skutkiem jest tuszowanie jednostkowych sytuacji nadużyć i niezdolność do mierzenia się z klerykalizmem w ogóle.

Niedojrzałość i spowiedź

Jest w sprawie ks. Dębskiego coś jeszcze, na co warto zwrócić uwagę. Otóż z jego korespondencji wynika szczególne upodobanie do pewnych form przemocy. I zоста-

Głęboka korporacyjna solidarność księży

wynika nie z powołania, ale z modelu formacji seminaryjnej. Potrzebna jest jego zmiana.

wiając już na boku, czy jest to normalne, czy nie (wiele z tych spraw pozostaje do rozeznania w zdrowej relacji między dwojgiem partnerów), stawia to pytanie, czy rzeczywiście w seksualnych działaniach ks. Dębskiego chodziło o erotykę, czy o dominację i kontrolę. Wbrew pozorom to bardzo istotne pytanie, wyznacza ono bowiem granicę między erotyzmem a groźnymi patologiami. Granica ta jest szczególnie istotna w przypadku osób, którym powierzona zostaje głęboka władza nad psychiką czy życiem wewnętrznym innych. Spowiedź i kierownictwo duchowe dają księżom szczególną władzę nad innymi – możliwość oddziaływać, które mogą łamać komuś życie. I mówię nie tylko o nadużyciach seksualnych, ale i innych formach przemocy, których osobowości niedojrzałe albo psychopatyczne mogą się dopuszczać, niekiedy w imię religijności.

Świadomość tego wymusza niezwykle ostrożność w dopuszczaniu duchownych do spowiadania. To ona jest intymnym,

wymagającym ogromnej dojrzałości momentem spotkania. Niewielkie nawet odchylenia od normy psychicznej, niewielkie osobiste problemy mogą rodzić dramatyczne skutki. I właśnie dlatego warto zadać pytanie, czy rzeczywiście każdy ksiądz powinien spowiadać. Czy misja kanoniczna do spowiadania, jak to było kiedyś, nie powinna być wydawana po pewnym czasie od święceń. I czy nie powinniśmy szukać modeli kontroli dojrzałości spowiedników, a także zaferować im superwizję.

Dlaczego piszę o tym przy okazji afery z Drohiczyną i Białegostoku? Choćby dlatego, że obaj kapłani byli także spowiednikami i trudno nie zadać pytania, czy i na ile ich własne zachowania wpływały na spowiedź. Czy ktoś zwracający się do kobiety w takich słowach, jak ks. Dębski, może być odpowiednim spowiednikiem dla sióstr zakonnych czy matek? Jeśli uświadomimy sobie, jak wielkie spustoszenie może poczynić nieodpowiedzialny, niedojrzały spowiednik (a mnie uświadomiła to sprawa dominikanina Pawła M.), o wiele radykalniej podchodzić będziemy do kontroli w tej sprawie.

Na razie ani o reformie seminariów, ani o formacji, ani o spowiedzi się nie rozmawia. Debata dotyczy wyłącznie tego, czy poszczególne diecezje potrafią reagować na sytuacje kryzysowe, a nie tego, czy i w jakim stopniu za takie skandale odpowiadają kościelne struktury.

© TOMASZ P. TERLIKOWSKI

„Okulary ks. Kaczkowskiego”

to nagroda dla osób, które tak jak ks. Jan nie widzą przeszkód, a dostrzegają drugiego człowieka i jego potrzeby.

Walczą o równość i godność, działając bezinteresownie i bez blasku fleszy.

Znasz kogoś, kto potrafi „zadziwić swoją szlachetnością”?

Zgłoś swojego kandydata do **12 SIERPNIA**

Więcej informacji na: fundajakaczkowskiego.org/nagroda



**NAGRODA OKULARY
KS. KACZKOWSKIEGO
NIE WIDZĘ PRZESZKÓD**

PARTNER NAGRODY

**TYGODNIK
POWSZECHNY**

ZUZANNA

Radzik: Na to uczucie jest nowe słowo



GDY OTWIERAM DRZWI, ULICA UDERZA WE mnie ciepłem niczym otwarty piekarnik. Niechętnie ruszam w kierunku sklepu spożywczego przez tunel rozpraznionych budynków, bruku, asfaltu, chodnika... Zwykle centrum europejskiego,

betonowego miasta stało się nieprzyjawnym krajobrazem. Nie pomoże chodzenie cienistą stroną ulicy, niewielką ulgę przynosi mijany park. Widzę, jak schnie, muskam nisko wiszącą gałąź, której liście w dotyku są suche, szeleszczą smutno, a to dopiero ostatnie dni lipca. Młode platany już się poddały i synęły liśćmi na bruk. Trawa spłowiła tak bardzo chyba w ostatnim tygodniu, wcześniej nie zwracała mojej uwagi. Teraz jest tak sucha, że leżący na niej ludzie wyglądają dziwnie. I tylko pobliskie afrykańskie sklepiki, pełne tamtejszych korzeni, okry, plantanów, o dusznym w upale zapachu wszystkiego naraz, wyglądają, jakby wróciły do siebie.

Słowem, klimat w kryzysie, ocieplenie, susza. Poranny biuletyn o europejskiej polityce wymienia, co i w której części rozpraznionej Europy płonie oraz ile upał pochłonął ofiar. O ile bardziej wolę dni, gdy biuletyn donosi, że dawna minister, a dziś europosłanka Anna Zalewska ma urodziny, oraz że prośby parlamentu o zwiększenie zatrudnienia wzbudziły wszystkich. Jeszcze gorzej jest w biuletynie klimatycznym poważnego dziennika. Przychodzi rzadziej, ale niewiele w nim dobrych wieści. Są za to tłuste, dobrze udokumentowane, długie teksty reporterów donoszących o kryzysach w różnych częściach świata. W Indiach w maju z powodu przegrzania upałem z nieba spadały ptaki! Apokaliptycznie. Biedni rolnicy nie są w stanie pracować w polu między godziną 11 a 15, bo mdleją. Klimatyzacje w szpitalach i samochodach nie dawały rady. Lekarze mówią, że tak źle jeszcze nie było. Ile to jest 120 stopni Fahrenheita?

Same przykre wieści, a jak sukces, to też gorzki. W kategorii „sukcesy” opowieść o naukowczyni, która wraz z zespołem umie przewidzieć, gdzie będą pożary w Amazonii. Zwykle tam, gdzie ostatnio ranczerzy wycinali las, te miejsca to pożarowe bomby z opóźnionym zapłonem. Wystarczy czekać. Oto zawody i kompetencje przyszłości. Odciągnijcie swoje dzieci od marzeń o byciu youtuberem i influencerem, siły intelektualne potrzebne są w ochronie klimatu. Pytanie tylko, czy my też się mamy przebrnąć, czy czterdziestolatkom wypada pozostać w dziedzinie pisania kroniki apokalipsy? I wtedy dzwoni z prośbą o przysługę kolega, przy okazji wspominając, że rzucił poprzednią pracę w biznesie i teraz jest w fundacji zajmującej się klimatem, bo co jest ważniejszego? Przebrnął się też inny mój rówieśnik, z jeżozimskiego artysty stał się działaczem społecznym, którego organizacja – wciąż w artystycznej aurze – przygotowuje miasto i jego mieszkańców na zmianę klimatu. Podglą-

dam jego działania nad zazielenianiem każdego dostępnego skrawka miasta, chłodzeniem go roślinami. To nowe miejskie osadnictwo – tłumaczy, nawiązując do tradycji pierwszych kibucników i osadników.

Od upału komputer zwolnił i prosi, żeby go wyłączyć. Mam czas na myślenie. Chłodzić dom starą, dobrą metodą zamykania okiennic na dzień, wietrzenia nocą. Kto by pomyślał, że bliskowschodnie nawyki przydadzą się w ponoć deszczowej w lipcu Belgii? To tylko dwa dni, lepiej niż w innych miejscach Europy. Tylko raz słupek rtęci wspina się blisko 40 stopni. Ale czuję na sobie wpływ upału, zmęczenie nocą, gdy temperatura jednak nie spada radykalnie. Irytację w dzień. Ponoć w tych Indiach ludzie gotowi byli się ze sobą bić, gdy w źle wentylowanych samochodach zatrzymało ich czerwone światło. Gdzie ja widziałam zdjęcie rikszy, której kierowca zasadził na dachu ogródek w ramach izolacji?

Nieswojo. Tak się czuję w tym upale. Ale gdy przechodzi, czuje się tak dalej z powodu świadomości, że będzie on wracał, i to coraz częściej. Podobno jest na to słowo. Nowe słowo, ukute po to, by opisać to uczucie obcości w miejscu, które jest twoje, ale zmienia się w oczach. Gdy krajobraz zostaje zrujnowany wycinką, pożarem, kopalnią odkrywkową. Gdy wymierają znajome rośliny, lato jest zupełnie inne, pogoda ekstremalna. Tęsknota za swojskością, choć nigdzie się nie wyjechało. Wymyślił to słowo australijski filozof Glenn Albrecht, który, wróciwszy po latach do rodzinnego Perth, zauważył masowe wymieranie eukaliptusa z powodu suszy. W 2005 r. opublikował artykuł naukowy proponując połączenie sufiksu -algia, jak w nostalgii (oznacza po łacinie „ból”) z solacium oznaczającym komfort. Słowo solastalgia dał nam na określenie czucia się nieswojo we własnym domu, utratę komfortu. To, co sam poczuł. Bierzmy i korzystajmy. ©

OGŁOSZENIE

Przed Sądem Rejonowym w Brzesku pod sygn. akt I Ns 570/21 toczy się postępowanie z wniosku Moniki Żychowskiej o stwierdzenie nabycia przez zasiedzenie na jej rzecz własności działki ewid. nr 251, pow. 0,85 ha, położonej w Zdoni gm. Zakliczyn, powstałej z p.grt. 177/3, 178/1, 180/2, 181/1, 182/2 i 183/3 z lwh 145 gm. kat. Zdonia, w którym jako właścicielka wymienionych parcel figuruje Zofia z Kalwarów Sternal (wpis z 1963 r.).

Sąd wzywa wszystkie osoby zainteresowane, aby w terminie trzech miesięcy od ukazania się niniejszego ogłoszenia zgłosiły się w siedzibie Sądu i udowodniły swoją własność, gdyż w przeciwnym razie Sąd stwierdzi zasiedzenie zgodnie z wnioskiem, o ile zostanie udowodnione.



IHOR ZOSTAŁ NA STRAŻY

Mieszkańcy najbardziej zniszczonego osiedla w Charkowie próbują na nowo tchnąć w nie życie.

TEKST I ZDJĘCIA **PAWEŁ PIENIAŻEK** Z CHARKOWA



INNA, żona Ihora, wraz z mężem spędziła najtrudniejsze chwile, gdy na Sałtiwkę Północną ciągle spadały pociski i rakiety. Charków, lipiec 2022 r.

chać. Wyglądasz na podwórko, a tam nikogo nie ma – mówi 57-letni Ihor.

Ihor z Inną, swoją młodszą o trzy lata żoną, jako jedyni wrócili do ośmiopiętrowego bloku z wielkiej płyty, gdzie wcześniej mieszkało kilkaset osób. Trudno się dziwić, że prócz nich nikt się nie spieszy z powrotem. W budynek trafiła rakietą. Oprócz wielkiej dziury, wyglądającej tak, jakby ktoś wybebeszył cały blok, widać czarną sadzę po pożarze – ogień zrujnował te mieszkania, których nie dosięgnął wybuch. Paliło się przez przynajmniej dwie doby, spłonął pozostawiony dorobek życia wielu rodzin. Nikt nie przyjechał gasić pożaru, bo w tamtych dniach pojawienie się w Sałtwce Północnej groziło śmiercią.

Kilka miesięcy zmasowanych rosyjskich ostrzałów artyleryjskich pozostawiło to osiedle w oplakany stan. Porozrywane lub częściowo zawalone budynki nie nadają się do zamieszkania. Rzadko które mieszkanie ma okno, a w części z nich nie zostały się nawet cztery ściany. Na osiedlu nie ma wody, prądu ani gazu. Jedynie sieć komórkowa działa dobrze.

Przyroda zaczęła walczyć już o dominację nad człowiekiem: rośliny stopniowo porastają opuszczone tereny. Gęste trawy pochłaniają place zabaw, na których dawno nie stanęła stopa dziecka, a alejki odcinają rozrastające się drzewa i krzaki.

Jednak Ihor postanowił się nie poddawać. Pilnuje mieszkań sąsiadów i dba o porządek, aby za jakiś czas życie w jego budynku zatętniło jak dawniej.

Żebyśmy się nie wyluzowali

Ihor posprzątał podwórko. Usunął także pozostawione śmieci, które zaczęły się już rozkładać. Wraz z żoną doprowadzają do porządku klatkę schodową. Starają się uprzątnąć gruz, szkło, pozostałości po mieszkańcach i żołnierzach, którzy przez jakiś czas stacjonowali w tej okolicy.

Ostatnio Ihor przycinał krzaki przed domem. Tylko w jednym miejscu się nie odważył, bo z góry wciąż spadają kawałki betonu, ram okiennych, balkonów i szkło. Gdy przycinał, porządnie łupnęła artyleria, ale on nawet się nie przygarbił. Już dobrze wie, kiedy strzelać – jak mówi – „nasi” i „nie nasi”. Nie ma też siły, by ciągle myśleć o niebezpieczeństwie.

– Jak spadnie obok, to nic nie poradzę – stwierdza Ihor.

Sytuacja i tak uspokoiła się znacząco w porównaniu z pierwszymi miesiącami wojny na pełną skalę. Wówczas rakiety spadały dziesiątkami, teraz tylko pojedyncze. W ostatnich dniach zniszczyły kiosk i trafiły w kilka budynków. Ihor zupełnie nie rozumie, jaki jest cel ostrzeliwania i tak wyniszczonego osiedla.

– To pewnie po to, żebyśmy się za bardzo nie wyluzowali – żartuje.

Mimo wszystko docenia, że sytuacja trochę się uspokoiła. Po nieudanej ofensywie na Charków, przed 24 lutego liczący półtora miliona mieszkańców, rosyjska armia stopniowo oddalała się od miasta, wycofując swoje siły, będąc zmuszona do tego przez nacierających ukraińskich żołnierzy. Walki przeniosły się na północ od Charkowa, a ich odgłosy regularnie roznoszą się po Sałtwce Północnej.

– W porównaniu do tego, jak przylatywało do nas wcześniej, teraz czujemy się jak w raju. Po ulicy idziesz spokojnie i nawet się nie wzdrygasz – mówi.

„Nie nasi”, czyli rosyjska armia, odpowiadają za zniszczenia Sałtówki Północnej, jak i innych części Charkowa. Odkąd 24 lutego Kreml rozpoczął ofensywę na pełną skalę, Charków, znajdujący się niecałe 40 km od granicy z Rosją, stał się jednym z głównych celów. Już pierwszego dnia rosyjskie czołgi pojawiły się na obwodnicy miasta. Na drogach dojazdowych toczyły się zacięte walki, a Sałtówka Północna znalazła się na linii frontu. Jest ona częścią Sałtówki – największego osiedla na całej Ukrainie. Mieszkało na nim ponad 400 tys. ludzi – więcej niż w wielu stolicach obwodów, jak Cherson, Czernichów czy Połtawa.

W kolejnych dniach rosyjskie oddziały wdzierały się do miasta, ale za każdym razem były wypierane przez ukraińską armię. Artyleria coraz częściej dosięgała Charkowa, a rosyjskie samoloty zrzucały na miasto bomby. Nie tylko obrzeża, ale także jego centrum były stopniowo niszczone.

Czerwona puchówka

Najbardziej obrywała jednak właśnie Sałtówka Północna. Mieszkańcy szybko musieli uczyć się życia w wojennych warunkach.

Dzisiaj Ihor i Inna wspominają jeden z pierwszych ostrzałów ze śmiechem, ale wtedy nie było im wesoło. Bezskutecznie ➔

WSAŁTIWCE PÓŁNOCNEJ WCIĄŻ panuje przeraźliwa cisza. Zdarzy się, że przerwie ją gruchanie gołębi, szum gałęzi, skrzypiące drzwi, sunący samochód rozjeżdżający szkło i gruz; częściej łomot artylerii, rzadziej kroki lub rozmowa.

Wśród opustoszałego blokowiska najmniejszy szmer wkrada się do uszu tych, którzy wrócili lub bez przerwy pozostawali w tej okolicy.

– Ktoś coś gdzieś z oddali mówi, a tobie się wydaje, jakby był w twoim mieszkaniu. Okien nie ma, więc wszystko sły-

→ szukali sklepu, w którym można by dostać chleb. Szli jedną z szerokich ulic przecinających osiedle, Inna coś opowiadała mężowi. To właśnie wtedy syknęła rakietą – syknęła, tak to pamiętają – a po chwili wybuchła z przeraźliwym hukiem. Inna mówiła dalej, jak gdyby nic się nie stało. Ihor gdzieś zniknął. Odwróciła się i chwilę jej zajęło, aby zobaczyć, że mąż leży na ziemi.

– Kładź się! – krzyknął.

Inna ukucnęła.

– Czemu siedzisz?! – wykrzykiwał dalej, rozplaszczony na chodniku.

– Mam nową kurtkę – odpowiedziała Inna w czerwonej puchówce.

Wtedy jeszcze do końca nie docierało do nich, co się dzieje wokół. Każda minuta przynosiła coś nowego. Spadające rakiety zaskoczyły ich tak samo, jak nagle agresja ze strony Rosji. Nie wierzyli, że to wszystko dzieje się na ich osiedlu.

Ihor określa je jako wzorcowe. Wprowadził się do tego budynku od razu po tym, jak został oddany do użytku, czyli w grudniu 1989 r. Choć często w blokach sąsiedzi się nie znają, to w jego klatce większość trzymała się razem i to nie tylko przez jedno pokolenie. Dorastał tutaj syn Ihora, który zresztą zamieszkał potem obok – tak, że wnuk Ihora mógł do niego zachodzić. Z kolei 72-letnia ciocia Tania, mieszkająca w tej samej klatce, zawsze uraczyła go żartem czy dobrym słowem. Zнали się od trzech dekad i po rozmowie robiło mu się przyjemniej na duszy.

– To było super osiedle. Ciche i spokojne jak sanatorium. Nigdzie nie musieliśmy jechać, wszystko było pod nosem – mówi Ihor.

Mieszkańcy chodzili nad pobliski staw. Jedni na ryby, inni popływać. Albo zbierali się rodzinami czy w kręgu znajomych i smażyli szaszłyki na grillu.

Inna mieszkała wcześniej przy skrzyżowaniu w pobliżu bazaru i stacji metra, gdzie – jak mówi – ruch był czasami jak w mrowisku. Gdy przeniosła się na Sałtiwkę Północną, długo nie mogła się nadziwić, że wśród tych wysokich bloków panuje taki spokój i osiedle niemal jest wolne od miejskiego zgiełku.

Serce nie wytrzymało

Nowe wojenne warunki wymusiły bezwzględne podporządkowanie. Inna już



IHOR pokazuje balkon, na którym spał z żoną po tym, jak spłonęło jego mieszkanie.

nie przejmowała się nową kurtką. Wraz z Ihorem nauczyli się reagować w mig. Gdy usłyszeli jakiś niepokojący dźwięk, od razu rzucali się na ziemię i zatykali uszy. Przylegali do powierzchni, dopóki zagrożenie nie minęło.

– Jak leci jedna rakietą, jak wybucha i trzęsie się ziemia, to już jest strasznie. A ich tutaj spadało po dwadzieścia, trzydzieści na dobę. Już nie wspominam o mniejszych pociskach – mówi Ihor.

Bywało, że rakiety wybuchały całkiem niedaleko od nich. Do dzisiaj Ihor dziwi się, że wyszli z tego bez szwanku.

Gdy nadeszły trudne czasy, sąsiedzi zbliżyli się jeszcze bardziej. Poznali się lepiej. Każdy pomagał tak, jak mógł. Ktoś miał nadmiar jedzenia, a ktoś koc. Ciocia Tania – jak ją nazywał Ihor – była schorowana i ledwie chodziła, więc sąsiedzi przynosili jej wodę ze źródła i pożywienie. Nie miała rodziny, dlatego dbali, by nie została sama na samą wojnę.

Jednak w końcu nastał ten moment. Wojskowi kazali opuścić mieszkańcom domy, bo była to strefa działań zbrojnych i musieli się tam ulokować. Przez kilka tygodni Ihor i Inna mieszkali w podziemiach jednej z sałtiwskich szkół. Ciocia Tania powiedziała, że nie opuści mieszkania, bo nie jest w stanie tego zrobić. Została.

To właśnie wtedy ostrzały były najintensywniejsze i zamieniały Sałtiwkę w gruzowisko. Także w budynek Ihora trafiła rakietą. Szybko zajął się ogniem, dym był straszny i duszący. Jeden z sąsiadów w desperacji wyskoczył z czwartego piętra, zginął na miejscu. Po ataku żołnierze opuścili budynek.

Zanim wrócili do niego mieszkańcy, pojawili się szabrownicy – wynieśli, co mogli, z mieszkań stojących otworem. Głównie metal na sprzedaż, bo po pożarze niewiele więcej ocalało.

Ciocię Tanię sąsiedzi znaleźli w toalecie. Stało jej serce – zapewne nie wytrzymało.

To dwie ofiary, o których wie Ihor. Nie wykłuczone, że nie o wszystkich słyszał. Niewykłuczone też, że ktoś wciąż znajduje się pod gruzami, których nikt dotąd nie ruszał. Ihor pociesza się jednak, że skoro w powietrzu nie unosi się odór rozkładających się zwłok, to prawdopodobnie nikogo tam nie ma.

Z łomem na remont

Mieszkanie Ihora spłonęło doszczętnie, a mimo to od razu chciał wrócić. Zostały osmolone ściany, mnóstwo popiołu i zwęglone szczątki rzeczy z nieodległej przeszłości. Na szczęście drogi rower z karbonową ramą przechowuje w magazynie w innej części miasta.

Przez lata Ihor był kolarzem, trafił do reprezentacji Ukraińskiej Socjalistycznej Republiki Sowieckiej. Potem zajął się sportem amatorskim i przez kolejne lata wraz ze znajomymi trenowali, brali udział w zawodach dla seniorów, odbudowali nawet jeden z torów. Dopiero trzy lata temu skończył z tą pasją. Zajął się działką, zaczął palić, a – jak mówi – jeśli nie przejedzie dwóch-trzech tysięcy kilometrów rocznie, to nie ma szans na formę.

Przez jakiś czas spał z Inną na balkonie, gdzie ułożyli materace. Przy klatce schodowej napisał „Tu mieszkają ludzie.



Zniszczone budynki w Saltiwce Północnej, części Charkowa, która najbardziej ucierpiała od początku rosyjskiej inwazji.

7.07.2022”. Pomylił się w dacie ich powrotu, bo wrócili w czerwcu, ale już tak zostawił.

Po telefonicznych konsultacjach z sąsiadami Ihor i Inna przenieśli się do mieszkania cioci Tani. Nic tam nie zmieniali. Zostawili nawet jej zdjęcia, bo nie chcą o niej zapomnieć.

Choć fala uderzeniowa powybiłała okna, mieszkania Tani nie tknęła ogień, a do tego jest dobrym punktem obserwacyjnym. Gdy tylko podjeżdża jakiś samochód, Ihor się wychyla, jeśli tylko jest w domu. Szabrownicy często się tu kręcą. Myślą, że nikogo nie ma w klatce schodowej, więc idą jak po swoje.

Raz przyłapał dwóch mężczyzn, którzy akurat wysiedli z samochodów z łomem i siekierą. Zdawał sobie sprawę, że jeśli dojdzie do przemocy, nie ma szans.

– Dokąd idziecie? – zapytał Ihor.

– Remont robić – odpowiedział jeden z nich.

Trudno było w to uwierzyć, bo ten zniszczony pion w ich budynku ma

zostać wyburzony. A zresztą, kto do takiej pracy idzie uzbrojony w siekierę i łom? Powiedział, że pójdzie po telefon, by skonsultować to z właścicielem mieszkania. W tym czasie mężczyźni wsiedli do samochodu i z piskiem odjechali.

W nocy co jakiś czas ktoś się dobija do drzwi klatki schodowej. Ihor przed pójściem spać je rygluje.

Jak skończy się wojna

Po tym, jak powrócili do swojego bloku, Ihor i Inna byli niemal sami. Tylko nieliczni mieszkańcy pozostali w okolicznych budynkach.

– Byliśmy sami jak na cmentarzu. Teraz jest już nieźle... – mówi Ihor i akurat rozlegają się dwa wystrzały – ...bo ludzie powoli wracają – kontynuuje. – W ciągu dwóch miesięcy do jednego domu wróciło dziesięć osób, a do innego siedemnaście.

Przynajmniej od miesiąca regularnie dostają pomoc humanitarną, więc mają

jedzenie i inne produkty pierwszej potrzeby. Po wodę chodzą do źródła.

Ihor jednak o nic nie prosi. Wolontariusze muszą ciągnąć go za język, by przyznał się, że coś mu jest potrzebne.

Ciągle coś robi. Wraz z Inną posprzątały budynek i podwórko. Choć skarży się, że ile by porządku robił, to i tak wieczorem, gdy myje się w misce, woda jest cała czarna.

Przed klatką ustawił cegły, zrobili paleńsko i tam gotują jedzenie. Marzy im się butla gazowa, żeby gotować w lepszych warunkach. Także w ich bloku nie ma prądu, wody ani gazu. Przedstawiciele władz miejskich, którzy przyjechali na oględziny budynku, powiedzieli, że do końca roku na pewno żadne media się nie pojawią.

Dlatego już teraz Ihor i Inna myślą o nadchodzącej zimie. On, na ile pozwalają mu materiały, wstawia szyby do okien, żeby budynek był izolowany, zanim pojawią się jesienna wilgoć i deszcz, a potem śnieg. Zbiera drewno, żeby mieli czym opalać. Przydałaby mu się latarka, bo noce stają się coraz dłuższe, a gdy zapada zmrok, mogą jedynie siedzieć w ciemnościach.

– Najważniejszy jest ruch. Nikt mi za tę pracę nie płaci, ale to lepsze niż patrzeć w sufit. Można tak tydzień czy dwa, potem bezruch wykańcza psychicznie – tłumaczy.

Dlatego, gdyby skończyła się wojna, i gdyby mieszkańcy chcieli wrócić, to skrzyknąłby ich i od razu zabraliby się do pracy. Nawet bez pieniędzy od miasta – własnym sumptem odbudowaliby swój blok.

Na razie te marzenia przerywa artyleria, która wciąż dosięga Saltivki Północnej.

© PAWEŁ PIENIAŻEK

SERWIS SPECJALNY ATAK NA UKRAINĘ

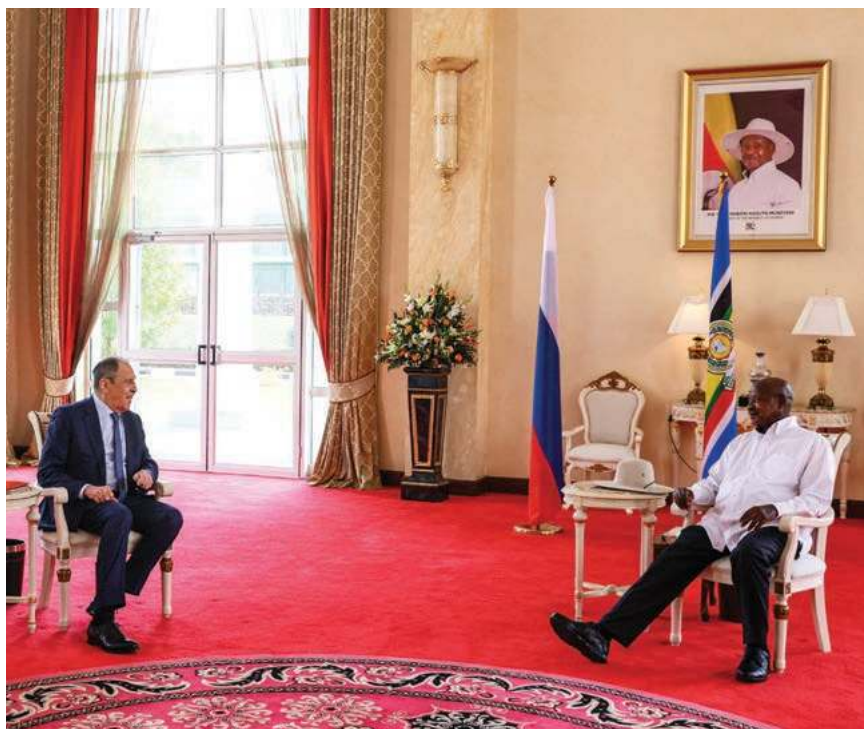
Korespondenci wojenni, analitycy ds. wschodnich, doświadczeni dziennikarze i reporterzy o sytuacji na froncie i poza nim.

Relacjonują: Paweł Pieniążek, Wojciech Pięciak, Anna Łabuszewska, Wojciech Konończuk, Wojciech Jagielski, Grażyna Makara i Marcin Żyła.

Teksty, zdjęcia, wideo i podcasty na

TygodnikPowszechny.pl/atak-na-ukraine

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY
FOT. PAWEŁ PIENIAŻEK



Jednym z krajów, które podczas swojej podróży po Afryce odwiedził szef rosyjskiego MSZ, była Uganda. Na zdjęciu: Siergiej Ławrow i prezydent Yoweri Museveni. Entebbe, 26 lipca 2022 r.

Po drugie, pole do „zastępczej” rywalizacji ze Stanami Zjednoczonymi. Na tę rywalizację ukuto nawet wyrażenie *proxy wars*, tłumaczone na język polski jako „wojny zastępcze”. Choć, gwoli ścisłości, należałoby je skorygować: to raczej „wojny toczone przez zastępców”.

Teraz, 33 lata po upadku muru berlińskiego, w Afryce na nowo zaczyna się taki konflikt między Zachodem a Rosją, dalekie echo wojny w Ukrainie. Zyskają na niej głównie autorytarne reżimy. Stawka jest wysoka: umocnienie się Rosji na tym kontynencie, a zwłaszcza w jego północnej części, może zagrozić bezpośrednio Europie.

Rok Afryki

Z pozoru chodzi głównie o międzynarodowy prestiż. Oprócz Białorusi, Syrii czy Korei Północnej tylko Afryka może zaoferować Rosji jakiegokolwiek poparcie – lub chociaż brak krytyki – w sprawie Ukrainy. W marcu podczas głosowania w Zgromadzeniu Ogólnym ONZ większość państw kontynentu potępiła ponowną rosyjską inwazję na Ukrainę (uczynili tak wszyscy regionalni członkowie Rady Bezpieczeństwa: Kenia, Ghana i Gabon). Jednak prawie połowa z wszystkich głosów wstrzymujących się (17 z 35) pochodziła właśnie z Afryki.

Z pragmatycznego punktu widzenia jest to częściowo zrozumiałe. Dla wielu państw opowiadanie się po stronie Rosji lub Zachodu oznacza, podobnie jak w czasach zimnej wojny, utratę ważnych sojuszników. Balansowanie między dwiema stronami ma tu długą tradycję, tym bardziej że Afryka nie ma zbyt wielu argumentów. Ma natomiast własny interes: zagrożone przez blokadę czarnomorskich portów dostawy ukraińskiego zboża. Paradoksalnie, sprzyja on Rosji, która od początku inwazji usiłuje obciążyć Kijów i zachodnie sankcje winą za to, że do Afryki dociera mniej żywności.

„To Ukraińcy sami zaminowali swoje porty” – powtarzał w minionym tygodniu Ławrow w Kairze, Addis Abebie, Kampali i Brazzaville, starając się zrealizować swoje doraźne zadanie: uspokoić

Geolodzy w służbie Kremla

MARCIN ŻYŁA

Czasem historia rzeczywiście lubi się powtarzać: w Afryce zaczyna się właśnie druga zimna wojna między Zachodem a Rosją.

KTO Z NICH DWÓCH WYGRA: SIERGIEJ Ławrow czy Emmanuel Macron? Szef rosyjskiej dyplomacji i francuski prezydent, niczym politycy walczący o głosy podczas kampanii wyborczej, ruszyli w ostatnich dniach do Afryki.

Choć odwiedzili różne państwa, ich marszrutę i czas podróży nie były przypadkowe. Pięć miesięcy po ponownej inwazji Rosji na Ukrainę chcieli nakłonić afrykańskich przywódców do opowiedzenia się po jednej ze stron tej wojny. A przede wszystkim: zabezpieczyć się na przyszłość. Na wypadek, gdyby rywalizacja Zachód–Rosja, tak jak kilka dekad temu, przeniosła się do Afryki na całego.

W zastępstwie

Gdyby trzymać się wyborczego porównania, należałoby powiedzieć, że w tamtej pierwszej turze najwięcej głosów zdo-

był tu Kreml. Było mu łatwiej – sprzyjała historia.

Kiedy w 1960 r. Ghana jako pierwsze postkolonialne państwo Afryki ogłosiła niepodległość, a jej śladem podążyli inni, kontynent od razu znalazł się w centrum uwagi Związku Sowieckiego. Młode i niedoświadczone rządy, niestabilne państwa wstrząsane rebeliami i nieufnie nastawione do niedawnych zachodnioeuropejskich metropolii, znajdowały w Moskwie sojusznika i protektora. Ta zaś, po pierwsze, zyskała przestrzeń do eksportu komunizmu, którego idee zdawały się współgrać z ruchami narodowo-wyzwoleńczymi. Od kongijskiego bohatera narodowego Patrice’a Lumumby po herosa walki z apartheidem Nelsona Mandelę – wielu z ikonicznych liderów Afryki sympatyzowało ze Związkiem Sowieckim.

obawy, że atak Rosji na Ukrainę grozi globalnym kryzysem żywnościowym.

Ale jego podróż to kolejny element planu Kremla, trwającego co najmniej od 2019 r., gdy w Soczi zorganizowano szczyt Rosja–Afryka: zbliżenia Afryki i umocnienia pozycji Rosji. Drugi taki szczyt ma się odbyć za kilka miesięcy. Rosyjscy przywódcy nazywają wręcz 2022 „Rokiem Afryki”.

Tajemnica sukcesu

Kreml już wiele w Afryce zdołał: w ostatnich latach wzmocnił antyzachodnią narrację, wspierał przyjaznych sobie przywódców, ułatwił swoim firmom dostęp do surowców i dostaw. To ostatnie jest dla Rosji, borykającej się ze skutkami zachodnich sankcji, szczególnie ważne.

Przykłady z ostatniego czasu to np. porozumienie z Zimbabwe o „pogłębieniu współpracy”, do którego Rosjanie dołączyli ofertę przygotowania dokładnej mapy geologicznej kraju. Albo podpisany w kwietniu układ o współpracy wojskowej z Kamerunem – teraz Moskwa ma dwustronne umowy militarne z ponad dwudziestoma krajami Afryki. Jest tu też największym eksporterem ceniowej (bo taniej i w warunkach afrykańskich stosunkowo niezawodnej) broni.

Wartość wymiany handlowej Rosji z wszystkimi państwami Afryki wynosi ok. 20 mld dolarów rocznie. To niedużo – handel afrykańsko-chiński jest wart dziesięć razy więcej. Inaczej niż kilkadziesiąt lat temu, Kreml już nie eksportuje komunizmu. Na czym więc polega sukces Moskwy w Afryce? W państwach, w których w ostatnich latach zyskiwała wpływy – Libii, Republice Środkowoafrykańskiej, Sudanie, Madagaskarze, Mozambiku czy Mali – Rosja używała zarówno siły wojskowej, jak i broni psychologicznej: dezinformacji.

Najemnicy z Grupy Wagnera – doskonale wyszkolonej, powiązanej z wywiadem wojskowym GRU formacji, która w praktyce jest rosyjskim korpusem ekspedycyjnym – walczyli (choć ze zmiennym szczęściem) m.in. w Libii, Sudanie i Mozambiku. W każdym z tych państw powtarzali strategię znaną z Syrii: wspierali przywódcę zagrożonego rebelią. Kraje te łączy jeszcze coś: są bogate w surowce naturalne. Podręcznikową kampanię dezinformacyjną Rosjanie przeprowadzili w pełnej pół nатовych Libii, gdzie w 2019 r. w mediach

społecznościowych zaczęła się pojawiać masowa krytyka Zachodu, ONZ i wspieranego przez tę organizację rządu libijskiego.

Bez niewygodnych pytań

Siergiej Ławrow odwiedził m.in. Ugandę – państwo od 1986 r. rządzone twardą ręką przez prezydenta Yoweriego Museveniego, w ostatnich latach coraz bardziej krytykowane przez Zachód za naruszenia praw człowieka, w tym prześladowania mniejszości seksualnych. Powiązanie zachodniej pomocy dla Afryki z przestrzeganiem praw człowieka jest dla takich reżimów kłopotliwe – i znów faworyzuje Rosję. W odróżnieniu od Zachodu, Rosja (oraz także aktywne, choć z innych powodów, Chiny) nie zadaje niewygodnych pytań.

Właśnie Uganda ma wkrótce przejąć przewodnictwo w Ruchu Państw Niezaangażowanych, nieformalnej koalicji państw niewiążących się z żadnym większym sojuszem międzynarodowym. Pomysłodawcą ruchu był Mahatma Gandhi, ale jego idee – choć formalnie szczytne – były kiedyś wykorzystywane przez Związek Sowiecki. Dziś do ruchu należą wszystkie kraje Afryki oprócz Sudanu Południowego.

Jednym z najważniejszych państw po cichu sprzyjających Rosji staje się Republika Południowej Afryki. Nie było zaskoczeniem, że w marcu kraj ten wstrzymał się od głosu w ONZ – tu wciąż pamięta się o wsparciu, jakie Moskwa udzielała ruchom antyapartheidowym. Naledi Pandor, minister spraw zagranicznych RPA, zrazu ostro potępiła wprowadzie rosyjską inwazję, ale szybko została ustawiona w szeregu przez członków rządzącego Afrykańskiego Kongresu Narodowego.

Oficjalnie neutralne, a w praktyce przyjazne Rosji stanowisko RPA jest tym bardziej widoczne, że rząd w Pretorii należał do najgłośniejszych potępiających izraelską okupację terytoriów palestyńskich czy interwencję NATO w Libii. RPA należy też do sojuszu BRICS, skupiającego jeszcze Brazylię, Rosję, Indie i Chiny. Wybierając neutralność w wojnie rosyjsko-ukraińskiej, Pretoria stara się zaprezentować jako kraj potępiający przemoc w stosunkach międzynarodowych i popierający prawo do samostanowienia (choć w przypadku Donbasu pojmowane przewrotnie).

Zamiast Francji

Być może najtrudniejsza dla Zachodu sytuacja dotyczy Sahelu: półpustynnego pasa rozciągającego się na południe od Sahary. Europa „straciła” tu właśnie kluczowy kraj – Mali.

W maju, po tym, gdy okazało się, że szkolone przez Europejczyków jednostki walczą tu ramię w ramię z Rosjanami z Grupy Wagnera, Unia zawiesiła współpracę z malijską armią i gwardią narodową („w celu zapobieżenia ryzyku wizerunkowemu”, jak napisano w poufnym memo, do którego dotarł portal „EU Observer”). Na północy i wschodzie kraju, gdzie bezpieczeństwo zapewniały dotąd dowodzone przez Francję europejskie operacje Barkhane i Task Force Takuba, w próżnię po ich zakończeniu mogą rychło wejść Rosjanie. MINUSMA, misja stabilizacyjna ONZ, nie wychodzi poza przedmieścia stołecznego Bamako. Wprawdzie możliwości tysięcznego kontyngentu rosyjskiego są ograniczone, ale sama jego obecność wpływa na politykę. Mali wycofało się z G5 Sahel, gospodarczego i wojskowego sojuszu pięciu państw regionu. Jego przyszłość jest teraz pod znakiem zapytania.

Maliżycy polegają głównie na radiu i wiadomościach przekazywanych z ust do ust. Władze wyrzuciły z kraju francuskie media i wzmacniają antyzachodnie sentymenty (podobnie dzieje się w sąsiedniej Burkina Faso). Nic więc dziwnego, że francuski prezydent ominął w czasie swojej podróży ten region. Emmanuel Macron odwiedza Gwineę Bissau, Benin i Kamerun. To właśnie Francja – największa z dawnych metropolii należąca do Unii Europejskiej – jest najbardziej zaniepokojona rosyjską aktywnością.

Powodem tego niepokoju nie jest bynajmniej jedynie troska o przyszłość Afryki. Europejczyków niepokoi zdolność Rosji do manipulowania szlakami masowych migracji. Z Mali wybiegają na północ aż trzy takie szlaki, dotąd kontrolowane przez lokalnych szmuglerów, świetnie znających teren i płacących hacracz zbrojnym oddziałom.

Rosja – niemal na pewno współpracująca z Białorusią podczas kryzysu na granicy z Polską – angażując się podobnie w Mali, mogłaby kontrolować migrantów trafiających na Wyspy Kanaryjskie, do Maroka i Hiszpanii oraz Libii i środkowej części Morza Śródziemnego. ©P

Włoski cud się skończył

PAWEŁ BRAVO

Stabilny rząd technokraty Mario Draghiego przeszedł ostatecznie do historii. W Rzymie wraca demokracja all'italiana.

JAK TU UPRAWIAĆ POLITYKĘ I SZYKOWAĆ się do (przedterminowych) wyborów w środku lata? Dla Włochów do niedawna było absolutnie wykluczone, by iść do urn jesienią – tak już się utarło w republikańskiej historii, że nowe parlamenty wybierano zazwyczaj wiosną, czasem zimą, w każdym razie nigdy tuż po wakacjach. Klasa polityczna nie ma w swoim DNA wzorców zachowań i rutyn właściwych tej porze roku – gdy miasta są puste i gdy w telewizyjnych ramówkach większość talk-show ma przerwę. A wzorce i rutyny to podstawa stabilnej, dojrzałej demokracji.

Po raz pierwszy walka o głosy przeniesie się więc co najmniej przez sierpień do mediów społecznościowych, które towarzyszą wyborcom nawet w najdalszym zakątku plaży. Ważni gracze, zwłaszcza na włoskiej prawicy, mają już jednak doświadczenie w uprawianiu propagandy i utwardzaniu elektoratu na Facebooku czy Instagramie.

POCZUCIE DEZORIENTACJI spadło na włoskich polityków tak, jakby to nie oni serią logicznych – choć dla zewnętrznych obserwatorów była to logika samobójcy – kroków doprowadzili w połowie lipca do dymisji ponadpartyjnego rządu, którym przez niespełna półtora roku kierował Mario Draghi.

Jeszcze na początku lipca wydawało się, że obie główne siły w parlamencie będą, owszem, systematycznie podgryzać Draghiego, ale zadbają, aby ten był prezes Europejskiego Banku Centralnego – nie pierwszy zresztą w dziejach kraju w roli technicznego premiera na czas politycznej smuty (był nim np. Carlo Azeglio Ciampi po roz-

padzie tzw. pierwszej republiki wskutek skandali „Czystych rąk” w 1993 r.) – utrzymał się aż do wyborów, planowanych na wiosnę przyszłego roku. Recesja, inflacja, katastrofalna susza, strach przed brakiem energii, a do tego pilnowanie, by realizować w terminie reformy, od których zależą transze unijnego popandemicznego planu odbudowy – lepiej było, aby to Draghi brał na siebie te problemy.

Ruch Pięciu Gwiazd i Liga – dwoje wielkich wygranych poprzednich wyborów, wrodzi sobie, ale podobni w charakterze, który z braku lepszego pojęcia określa słowo „populizm” – musiały „pozycjonować się” jako ci, którzy tylko z najwyższym trudem żyrują politykę Draghiego, naruszając wiele tabu i interesów własnych elektoratów. Tzw. kamienie milowe planu odbudowy zakładały np. reformę skostniałej i rozpolitykowanej prokuratury – co się udało. A także inwestycje w zieloną energię i rozbięcie układów monopolistycznych w paru dziedzinach, jak transport publiczny i koncesje na komercyjną eksploatację nadmorskich plaż (może się to wydać błahe, ale dla kraju o tak potężnym przemyśle turystycznym to rzecz tej rangi, co gdzie indziej koncesje na wydobycie gazu).

PRZECIĄGANIE LINY trwało więc od miesięcy, ale nikomu nie zależało, by ją zerwać. Aż w końcu pękła. Formalnie rzecz biorąc, rząd Draghiego upadł z powodu dekretu o budowie nowej spalarni śmieci w Rzymie – Ruch Pięciu Gwiazd jest programowo przeciwny jakimkolwiek spalarniom, nie zważając na to, że Rzym (podobnie jak wszystkie metropolie włoskiego południa) za ogromne pieniądze „eksportuje” część odpadów na północ, i że te odpady, które pozostają na miejscu, są bardzo nieefektywnie obsługiwane przez firmy powiązane z przestępczością zorganizowaną (śmieci to jedno z ważniejszych dominiów mafii). Zresztą w lipcu przez parę dni stolica była zasnuta gęstym czarnym dymem, bo kilka wysypisk na jej obrzeżach płonęło bynajmniej nie z przyczyn naturalnych – pożary miały być memento dla klasy politycznej, że komuś ważnemu nie podoba się gmeranie przy śmierdzącym *status quo*.

Liga z kolei, w trakcie trwającej tydzień przepychanki w parlamencie, cofnęła poparcie dla rządu, gdyż formalnie chodziło jej o obronę taksówkarzy, których rząd Draghiego chciał okroić z przywilejów.



Oczywiście fakt, że Draghi potknął się akurat o te kamienie milowe, to przypadek – kluczowa była strategia przetrwania obu populistycznych bloków. Liga nie chciała dalej biernie patrzeć, jak jej nowy konkurent na prawicy, czyli partia Bracia Włosi, rośnie w sondażach z czterech do dwudziestu czterech procent – bynajmniej nie z powodu pomysłów programowych, lecz tylko dlatego, że po prostu jako jedyna partia na prawicy jest w opozycji do rządu Draghiego.

Ruch Pięciu Gwiazd, zawdzięczający swoją wyborczą potęgę totalnej krytyce „systemu” i „kasty”, także tracił grunt pod nogami, uczestnicząc w technokratycznym gabinecie pod kierownictwem eksbankiera uosabiającego to, co dla Ruchu najgorsze: wielkie finanse i „Brukselę”. W dodatku doszło do rozłamu na tle wsparcia militarnego dla Ukrainy: połowa posłów i senatorów Ruchu była mu zdecydowanie przeciwna, deklarując otwarcie promoskiewskie pozycje. Kierownictwo partii potrzebowało więc wyrazistego sukcesu tożsamościowego.

OSOBLIWOŚĆ KAMPANII wyborczej, świeżo rozpoczętej, potęguje też fakt, że ogólny wynik jest przesądzony: żaden z ośrodków badawczych nie ma wątpliwości, że przy obecnym rozkładzie preferencji i zawiłych mechanizmach mieszanej ordynacji w wyborczą niedzielę 25 września bezpieczną większość w parlamencie zdoła będzie centroprawica. Na nowo sklejona,



Na czele przyszłego rządu Włoch zapewne stanie Giorgia Meloni, liderka partii Bracia Włosi. Tu w parlamencie, 28 lipca 2022 r.

dawnych wywiadach prezentowała się jako solidnie proatlantycka; krytykując rząd Draghiego właściwie we wszystkim, omijała starannie sprawę pomocy (inna sprawa, że wątlej) dla Kijowa.

HASŁO „POWROTU FASZYSTÓW” więcej zamazuje, niż tłumaczy, po pierwsze z powodu wspomnianych precedensów w wykonaniu Ligi. Zapotrzebowanie na jasne i proste przekazy o obronie suwerenności, tradycji, rodziny i „czyste” włoskości ani na chwilę nie wygasło. Można powiedzieć, że ciągoty interpretowane jako faszystowskie – bo faktycznie w państwie rządzone przez Mussoliniego znalazły one swój długotrwały i instytucjonalny wyraz – stanowią we włoskim elektoracie pewien istotny *constans*.

Tak jak jest nim zapewne pewien rodzaj kapryśności, zamięłowania do pustego spektaklu, który sprawia, że wyborcy regularnie wynoszą do władzy niespójne, nieraz wewnętrznie sprzeczne projekty postpolityczne – z perspektywy np. stabilnych Niemiec wyglądające wręcz cyrkowo – które korzystają z awangardowych w danym momencie środków wyrazu (telewizje Berlusconi, media społecznościowe w rękach Salviniego).

W OSTATNIM PRZEMÓWIENIU w Senacie Draghi apelował o ponowne scalenie szerokiego poparcia wszystkich partii, przypominając, ile już zrobiono, a ile pozostaje do zrobienia w tak trudnej sytuacji. Mówił o swoim rządzie jako „cudzie obywatelskim”. Może to osobiwa metafora jak na bankowca i technokratę (następnego dnia też wyszedł z roli: gdy dziękował za wyrazy wsparcia i wdzięczności, dodał, że nawet bankowcy centralni czasem używają serca). Ale ta metafora doskonale oddaje wyjątkową, tymczasową naturę stabilizacji i rzeczowej pracy nad państwem ostatnich kilkunastu miesięcy.

Cokolwiek dobrego by o Draghim mówić, nigdy nie przeszedł on weryfikacji wyborczej, a jego rząd bazował w parlamencie na większości, która z pewnością była wbrew woli i oczekiwaniom znacznej części wyborców konkretnych partii wchodzących w jej skład.

Cud się skończył, powraca demokracja *all'italiana*. ©P

bo znajdują się w niej zarówno kontestujący dotychczasowy rząd Bracia Włosi, jak i będąca dotąd w większości rządowej Liga, a także pełniąca już tylko rolę *junior partner* Forza Italia Silvia Berlusconi.

W ramach tego sojuszu najwięcej głosów zgarną Bracia. Ich szefowa Giorgia Meloni będzie premierką, co do tego sojusznicy już się dogadali. Podobnie jak w sprawie tego, że lider Ligi Matteo Salvini wróci po trzech latach na stanowisko ministra spraw wewnętrznych, by dalej odgrywać nieprzejednanego w „obrobie granic” i walce z bezprawiem.

Berlusconi, co prawda będący cieniem swej dawnej potęgi i wpływu, okazał się jednak niezbędny w manewrach, które doprowadziły do rządowego przesilenia – i za swoją zdradę dostał obietnicę stanowiska marszałka Senatu. To będzie nagroda pocieszenia za to, że nie został zesłany zimy prezydentem, choć bardzo się starał. A przede wszystkim rodzaj prestiżowej rehabilitacji na koniec jego długiej kariery, która regularnie była naznaczona skandalami i zarzutami prokuratorskimi o nadużycia władzy albo seks z nieletnią.

Choć karty wydają się więc rozdane, w środowiskach zawodowo zajmujących się prognozowaniem polityki panuje niepewność. Draghi zostawi za sobą wiele rozgrzebanych reform w bardzo niestabilnej sytuacji – tak gospodarczej, jak i międzynarodowej. Niektóre z nich nie idą wbrew programom przyszłych zwycięzców, ale nie jest jasne, czy starczy im woli

i konsekwencji. Tak zwane rynki tradycyjne zaczęły się znów obawiać powrotu Włoch na ścieżkę braku dyscypliny w finansach i festiwalu obietnic bez pokrycia – co widać po wzroście oprocentowania włoskich obligacji skarbowych.

ŚWIAT O TYCH WYBORACH wie tyle, co napisał w głośnym tekście „New York Times”: oto w Rzymie zaraz rządzić będzie partia otwarcie postfaszystowska. To znaczy nie tylko odwołująca się do mitu jedności wspólnoty narodowej i akcentująca potrzebę rządów silnej ręki – bo takie *de facto* faszystowskie wątki pojawiały się na szczytach włoskiej polityki co najmniej od kilkunastu lat, choćby dzięki karierze Salviniego, który nie miał nic przeciwko temu, aby akolici zwali go *Il Capitano* – oczywista aluzja do *Il Duce*. Różnica jest taka, że partia Bracia Włosi (jej nazwa to dwa pierwsze słowa hymnu; to tak, jakby u nas nazwać partię „Jeszcze Polska”) wywodzi się wprost ze środowisk i formacji, które kultywowały – w granicach ustanowionego po II wojnie światowej prawa – pamięć i hołd dla przedwojennego państwa i dla polityki faszyzmu.

Poza kwestią korzeni, Ligę od Braci różni obecnie właściwie tylko stosunek do Moskwy – służalczy w przypadku Ligi (jeszcze miesiąc temu Salvini organizował sobie, za plecami premiera, „pokoju” wyjazd do Moskwy za pieniądze rosyjskiej ambasady), a krytyczny w przypadku Braci. Giorgia Meloni w kilku nie-

FABIO CIMAGLIA / EPA / PAP



Marfa Rabkova na zdjęciu wykonanym przez męża, 2018 r.

Życie na pauzie

BARTOSZ RUMIEŃCZYK

Marfa Rabkova ma 27 lat. Białoruski dyktator Alaksandr Łukaszenka chce, aby niemal drugie tyle spędziła za kratami.

SPOGLĄDA W OBIEKTYW Z ŁAGODNYM uśmiechem, który podkreśla jej dziewczęcą urodę. Blond włosy, jasna cera, niebieskie oczy i dołeczki w policzkach. Stoi na tle fioletowych kwiatów w fioletowej bluzce. Z urokiem fotografii kontrastuje groźba wyroku, którego się spodziewa.

Marfa Rabkova, rocznik 1995, została aresztowana we wrześniu 2020 r. – miesiąc po tym, jak po sfalszowaniu przez Łukaszenkę wyborów prezydenckich w kraju wybuchły protesty. W areszcie śledczym spędziła już niemal dwa lata. Usłyszała trzynaście zarzutów, w tym udziału w zamieszkach oraz ich organizowania. Proces ruszył pod koniec kwietnia, a według nie-

oficjalnych informacji wyrok może zapaść we wrześniu. W tych dniach Marfa niemal codziennie jest w sądzie. W jej sprawie oskarżonych jest łącznie 10 osób.

TAMTEN WIECZÓR, we wrześniu dwa lata temu, był wyjątkowy. Marfa wyjęła z szafy oliwkową suknię, którą dotąd miała na sobie tylko raz – podczas ślubu.

Miesiąc wcześniej ogłoszono, że Białoruskie Centrum Praw Człowieka „Wiasna” zostało wyróżnione Nagrodą Orła Jana Karłowicza za, jak to ujęto w laudacji, długoletnią obronę praw ludzkich, godności i demokracji oraz budowanie świadomości społecznej, że żadna dyktatura nie jest wieczna. Nagroda nosi imię kuriera polskiego podziemia z czasu II wojny światowej, który na Zachód przekazał także informacje o losie europejskich Żydów pod niemiecką okupacją. Jej wręczenie miało odbyć się „w najbliższym możliwym terminie, na jaki pozwoli rozwój wydarzeń na Białorusi”.

Bo losy Białorusi ważyły się w tamtych dniach na ulicach Mińska, Grodna, Brześcia oraz innych miast i miasteczek. Po wyborczym fałszerstwie protestujący domagali się odejścia Łukaszenki.

Był to czas optymizmu, choć – jak wyliczał wówczas na łamach „Tygodnika” Wojciech Konończuk – już „w pierwszych trzech dniach do aresztów trafiło 7 tys. osób, co najmniej dwie zgi-

nęły, a kilkaset zostało rannych”. Potem, gdy zdawało się, że władze przetrącają kręgosłup ulicznej rewolucji, 12 sierpnia na ulice wyszły tysiące ubranych na biało kobiet. „To pozwoliło nie tylko podtrzymać, ale wręcz wzmocnić ruch protestu. A gniew Białorusinów na reżim wzrósł jeszcze, gdy internet obieżyły relacje kilkuset osób, które zwolniono z aresztów: opowiadały o torturach, o przepełnionych celach, o braku nawet wody. Dla społeczeństwa był to szok” – pisał Konończuk.

Marfa Rabkova pracowała wtedy w „Wiasnie” – niecały rok wcześniej została tam koordynatorką wolontariuszy. Ale w sierpniu i wrześniu 2020 r. zajmowała się właściwie wszystkim, co akurat było do zrobienia. Pracy – czyli aresztowanych – było coraz więcej.

„Wiasna” to jedna z najstarszych organizacji pozarządowych w Białorusi. Założył ją w 1996 r. Aleś Białacki, dziś 59-latek o włosach pokrytych szlachetną siwizną, opozycjonista starej daty w obowiązkowej wełnianej marynarce. W działalność społeczną angażował się od lat 80. XX w., jeszcze w czasach Związku Sowieckiego.

NATALIA SACZUNKIEWICZ była wówczas koleżanką Rabkovej, wspólnie pracowały w „Wiasnie”. Gdy rozmawiamy przez komunikator, Natalia w jednym oknie



Marfa na jednej z pierwszych rozpraw; kadr z białoruskiej telewizji. Mińsk, kwiecień 2022 r.

swojego ekranu ma otwarty obraz z kamery, a w drugim tabelę w programie Excel, w której Marfa skrupulatnie odnotowywała wówczas kolejne interwencje.

– Spodziewaliśmy się, że wybuchną protesty, natomiast nie sądziliśmy, że władze odpowiedzą represjami aż na taką skalę. No i nie wiedzieliśmy, że będą torturować ludzi – mówi Natalia. – Założyliśmy gorącą linię dla rodzin zatrzymanych: kanał na Telegramie i telefony w biurze. Marfa zbierała informacje o aresztowanych, tworzyła ich listy, prowadziła wywiady z tymi, którzy wychodzili z aresztów. Przy tym cały czas koordynowała działania wolontariuszy.

– Trochę wcześniej poważnie zachorował jej ojciec – dodaje Natalia. – Pamiętam, jak opowiadała mi w naszej biurowej kuchni, że musiała jeździć do rodzinnego domu pod Homel, by pomagać matce w opiece. A że była straszną kociarą, do tego wszystkiego cały czas ciągnęła wolontariat w schronisku dla zwierząt.

W tym schronisku poznała Wadzima Żaromskiego, przyszłego męża. Podczas ślubu miała na sobie tę samą oliwkową suknię, którą później 17 września 2020 r. wyjęła z szafy i w której wraz z innymi członkami „Wiasny” odbierała (zdalnie) Orła Karskiego. W tej samej sukni kilka godzin później została aresztowana.

W rozmowie telefonicznej Wadzim opowiada o tym dniu: – Nie byłem na wręczeniu nagrody, pracowałem do późna. Umówiliśmy się, że spotkamy się wieczorem na mieście. To był ciepły wieczór, szliśmy do domu spacerem. Już po wszystkim zdałem sobie sprawę, że musieli nas cały czas śledzić. Wtedy nie zwracałem na nic uwagi. Byli w komi-

niarkach. Podjechali we dwa auta. Mnie wrzucili do jednego, Marfę do drugiego.

PO RAZ PIERWSZY Rabkova została zatrzymana w 2015 r., podczas manifestacji w dniu ówczesnych wyborów. Kosztowało ją to studia.

– Papiery zabrała z uczelni sama, bo w przeciwnym razie oblaliby ją na egzaminach i wyrzucili bez możliwości powrotu. A tak mogła liczyć, że jak sprawa przycichnie, wznowi studia – tłumaczy mi Wadzim.

Mimo represji wielu ludzi z pokolenia Rabkowej wspomina tamte lata jako okres relatywnie spokojny. Wielu z jej rówieśników, którzy dziś są na uchodźstwie, w roku 2015 i 2016 angażowało się w istniejących już organizacjach pozarządowych lub zakładało własne. Pracowali na rzecz osób LGBT i innych mniejszości, szukali swojej drogi w organizacjach feministycznych i ekologicznych, w grupach artystycznych, lewicowych, anarchistycznych.

Rabkova, która sympatyzowała ze środowiskiem anarchistycznym, pomagała wtedy Czeczenom, którzy koczowali na dworcu w Brześciu z nadzieją, że uda im się wjechać do Polski i Unii Europejskiej. Lubiła też pracę z dziećmi – myślała, że zostanie nauczycielką.

Po przymusowym odejściu ze studiów w Mińsku zaczęła naukę na Europejskim Uniwersytecie Humanistycznym w Wilnie – uczelni białorusko-litewskiej, gdzie studiuje wielu ludzi, którym odmówiono tego w ojczyźnie. Władze w Mińsku pozwoliły jej na te studia, ale za każdym razem przypominały, że mają ją na oku. Ilekroć przekraczała granicę, by dojechać na zajęcia, była rewidowana. Innym ra-

zem chcieli ją oskarżyć o propagowanie terroryzmu, bo wrzuciła do sieci zdjęcie w czapce z anarchistycznym hasłem „Class War” (Walka klas).

– Wiedziałam, kim jest, gdy wysłała do nas CV, kojarzyliśmy się w gronie ludzi aktywnych społecznie – wspomina Natalia Saczunkiewicz. – Jej wcześniejsze zaangażowanie było dla nas pewnym problemem. Anarchiści to dla Łukaszenki wróg numer jeden, zatrudnienie Rabkowej mogło ściągnąć kłopoty na całą organizację. A przecież nie mogła pójść na policję i powiedzieć: „Już nie jestem anarchistką, możecie wykreślić mnie z listy ekstremistów?”.

ANARCHIŚCI BOJKOTOWALI wybory w 2020 r. Byli sceptyczni wobec kandydatów opozycji, którzy mieli rywalizować z Łukaszenką.

Wadzim opowiada: – Nie podobali mi się ani Wiktar Babaryka, ani Siarhiej Cichanouski. Myślałem, że z tej dużej chmury spadnie mały deszcz, że nic się nie zmieni. Ale gdy usłyszałem, jak ludzie w tramwaju rozprawiają o polityce, zrozumiałem, że dzieje się coś poważnego. No a potem był ten wiec w Mińsku...

Na kilka dni przed głosowaniem, 31 lipca, swój wiec w stolicy zorganizowały Maryja Kalesnikawa, Wieranika Cepkała i Swiatłana Cichanouska. Trzy liderki opozycji pociągnęły kampanię wyborczą po tym, jak reżim aresztował kontrkandydatów Łukaszenki – czyli męża Cichanouskiej oraz Babarykę. Maryja Kalesnikawa pracowała wcześniej w sztabie Babaryki. Natomiast mąż Wieraniki, Waleryj Cepkała, również chciał startować przeciw Łukaszence, ale władze odmówiły zarejestrowania jego kandydatury.

Twarzą opozycji stała się Cichanouska – stanęła w zastępstwie męża do wyborów. Łukaszenka dopuścił jej kandydaturę, sądząc chyba, że łatwo sobie poradzi z 37-letnią wtedy nauczycielką bez politycznego doświadczenia.

Kampanię wyborczą obserwowali wolontariusze „Wiasny”, a ich pracę koordynowała Marfa Rabkova. Gdy politycy, ilu ludzi przyszło na wiec trzech liderów, oberwało im się z obu stron barykady. – Według nas było tam 63 tys. osób. Rządowe media oskarżyły nas o kłamstwo, ich zdaniem było mniej. Ale również ze strony środowiska Cichanouskiej →

→ posypały się gromy, bo ich zdaniem ludzi było więcej – mówi Natalia Saczunkiewicz.

Nikt nie miał jednak wątpliwości, że był to największy wiec opozycyjny od co najmniej dekady.

NADZIEJA NA SUKCES Cichanouskiej była coraz większa. Łukaszenka początkowo jakby tego nie dostrzegał: mówił, że kraj nie dorósł, by głosować na kobietę, i drwił z Cichanouskiej, mówiąc o niej protekcyjnie „biedactwo”.

– To był wyjątkowy czas – mówi Natalia Saczunkiewicz. – Pamiętam, jak Marfa podawała swój adres domowy i godziny, w których wolontariusze mogli przychodzić do niej po identyfikatory. Później byłoby to nie do pomyślenia. Ale wtedy była w nas nadzieja na zmiany. I gdy poszliśmy do wyborów, wielu z nas zagłosowało nie tyle na Cichanouską, co przeciw Łukaszence.

Po wyborach z 9 sierpnia zaś – sfałszowanych, bo wedle dostępnych danych z części komisji wygrała je Cichanouska – Łukaszenka brutalnie odpowiedział na masowe protesty.

– Cały czas słychać było syreny radiowozów, a czasu nie było na nic – wspomina Wadzim. – W sierpniu wypadła nasza rocznica ślubu. Wybraliśmy się do jakiejś knajpki na kolację, aby uczcić ten dzień, ale przez cały wieczór odbieraliśmy telefony.

– A niedługo później musiałem wcisnąć pauzę – dodaje.

Wkrótce po tym, jak tamtego 17 września zostali zatrzymani, Wadzima zwolniono. Marfa trafiła „na Władarkę”: do aresztu śledczego numer 1 przy ul. Władarskiego w centrum Mińska. Ten zbudowany w XIX w. gmach, przypominający zamek, ma długą historię jako więzienie. W sierpniu 2020 r. jego cele zajęli polityczni.

– Większość zatrzymanych siedziała po 3-4 miesiące w areszcie, a potem mieli sprawy sądowe. Marfa siedzi już prawie dwa lata bez wyroku – mówi Wadzim.

„WCISNIĘCIE PAUZY”: tak rodziny białoruskich więźniów politycznych nazywają życie po aresztowaniu ich bliskich. Wszystkie sprawy idą na bok, cała uwaga skupia się na tym, kto jest za kratami.

Wadzim niemal codziennie chodził „na Władarkę”: zanosił Marfie rzeczy i listy, składał prośby o widzenie.

Według szacunków „Wiasny” na Białorusi jest dziś co najmniej **1259 więźniów politycznych.**

Wyznaczyli mu jedno, dopiero rok po zatrzymaniu. – To było jak w filmie: krata, gruba szyba, dwie słuchawki, strażnik – wspomina.

Marfa poprosiła, by on zaczął mówić, a sama się rozplakała. Opowiadał więc: co u rodziny i znajomych, co w domu, jak się ma ich kot Morfeusz. Zapewniał, że wszyscy na nią czekają i wspierają.

To ważne, aby więzień wiedział, że nie jest sam. Reżim izoluje osadzonych, odmawia widzeń, blokuje listy. Gdy człowiek czuje się osamotniony i porzucony, łatwiej go złamać.

Wadzim: – Gdy już przestała płakać, zaczęła mnie pocieszać. Opowiadała o wrażeniach z lektury książki „Człowiek w poszukiwaniu sensu”. Jej autor, Viktor Emil Frankl, austriacki psychiatra, opisywał swoje doświadczenia w obozie koncentracyjnym i to, jak radził sobie z nabytymi tam traumami.

– Prosiła też, żebym opiekował się jej rodzicami, no i dbał o kota – dodaje. – Im dłużej rozmawialiśmy, tym było trudniej, czas uciekał nieubłaganie. Ciężko mi było wychodzić ze świadomością, że ona wraca do zatłoczonej ciemnej celi, a ja mogę po prostu iść do domu.

Wadzim mówi, że Marfa wyglądała źle. Pokazywała mu, jak kruszą się jej zęby. Była blada i zmęczona.

– W celach w zasadzie nie ma światła – mówi Wadzim. – Okna nie tylko są zakratowane, ale dodatkowo zakryte skośnymi blachami, które działają jak zaciągnięte żaluzje. Godzina spacerniaka dziennie po podwórku-studni, prysznic raz w tygodniu i fatalne jedzenie. W celi Marfa przeszła dwa razy covid. Gdy zmarli jej babcia i ojciec, nie dostała przepustki na pogrzeb.

ZATRZYMANIE RABKOWEJ było pierwszym z fali aresztowań w „Wiasnie”. W kolejnych tygodniach i miesiącach władze dobrały się do następnych aktywistów i wolontariuszy. 14 lutego 2021 r. aresztowali szefa i założyciela organizacji Alesia

Białackiego. Dwa dni później weszli do biura w Mińsku.

– Widziałam nagranie z kipsiszu, jaki zrobili w naszej siedzibie. Moją uwagę przykuły różowe puchate kaptcie, w których Marfa chodziła po biurze – mówi Natalia Saczunkiewicz, która wkrótce po aresztowaniu Rabkowej opuściła Białoruś. – Gdybym została, pewnie spotkałybyśmy się na spacerniaku.

Natalia ostatni raz widziała Marfę na uroczystości wręczenia Orła Karskiego.

Gdy pytam, dlaczego padło na Rabkową jako pierwszą, mówi, że też się nad tym zastanawiała: – Przecież ona dopiero co dołączyła do naszej organizacji. Poza tym popatrz na jej zdjęcie, przecież nie widzisz na nich groźnego opozycjonisty!

– Na żadnym ze zdjęć dziesięciorga oskarżonych w jej sprawie nie widzę groźnego opozycjonisty – wtrącam.

– I myślę, że dlatego została aresztowana – mówi Natalia. – Władze chciały zastraszyć młodych ludzi. Bo to przecież była rewolucja naszego pokolenia.

NA PIERWSZEJ ROZPRAWIE w sądzie Wadzimowi udało się zobaczyć żonę przez szparę w drzwiach. Na salę go nie wpuścili, bo jest świadkiem. Zresztą tuż po rozpoczęciu rozprawy sąd ją utajnił. Wcześniej do sądu przyszło kilkadziesiąt osób, by wspierać zatrzymanych. Wielu miało na sobie koszulki i bluzy ze zdjęciem Marfy na tle fioletowych kwiatów. Autorem zdjęcia jest Wadzim.

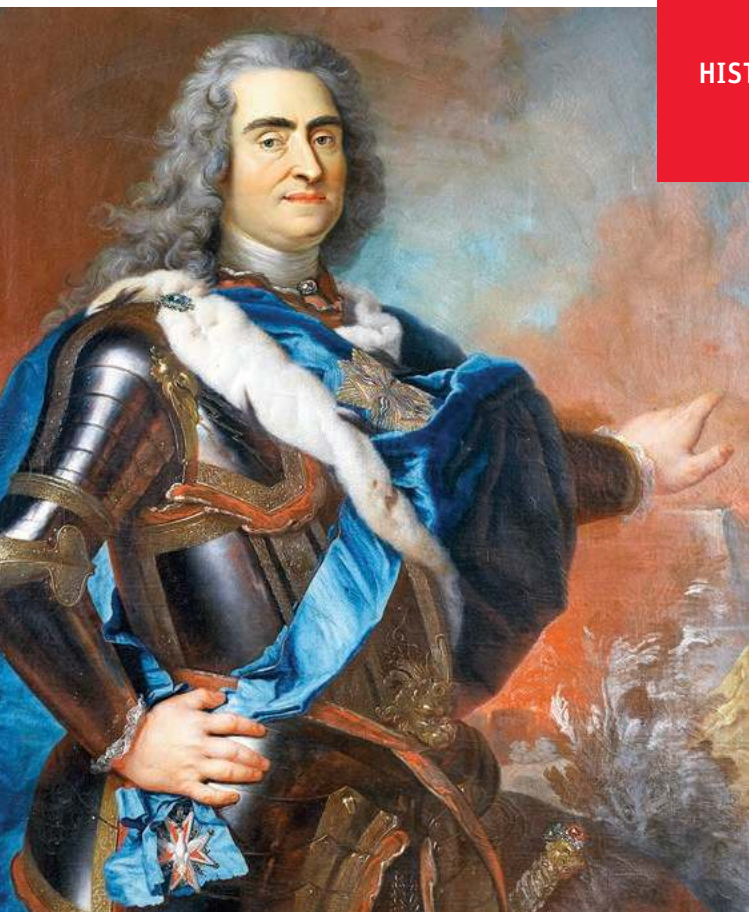
Pisze mi, że wczoraj znów udało mu się zobaczyć Marfę przez szparę w drzwiach. Dodaje, że rozprawy są codziennie, a wyrok może zapaść we wrześniu.

Według szacunków „Wiasny” na Białorusi jest dziś 1259 więźniów politycznych. Ta liczba może być niedoszacowana z uwagi na trudny dostęp do informacji i utajnianie procesów. Łącznie od sierpnia 2020 r. w dziewięciomilionowym kraju przez areszty przeszło ok. 35 tys. ludzi – większość dostała kary grzywny lub kilkunastodniowego aresztu.

Szacuje się też, że od sierpnia 2020 r. z kraju wyemigrowało co najmniej sto, a może nawet dwieście tysięcy Białorusinów.

„To nie ludzie wybierają czasy, a czasy ludzi. Skoro te czasy wybrały nas, musimy im sprostać” – przekazała przez prawniczkę w ubiegłym roku Marfa Rabkowa. Teraz grozi jej 20 lat więzienia.

© BARTOSZ RUMIŃCZYK



Król polski i elektor saski August II Wettyn oraz car rosyjski Piotr I Wielki. Z wielkiej wojny północnej, którą wznieśli, Rzeczpospolita wyszła jako kraj zniewolony przez wschodniego sąsiada.

BOŻE, STRZEŻ OD TAKICH PRZYJACIÓŁ

Będzie to opowieść o tym, jak na własne życzenie
przypieczętowaliśmy utratę suwerenności Rzeczypospolitej
i weszliśmy na drogę prowadzącą do rozbiorów.

MACIEJ MÜLLER

250 LAT TEMU, 5 SIERPNIA 1772 R.,
trzej sąsiedzi Rzeczypospolitej – Rosja, Prusy i Austria – uzgodnili, że
przywłaszczą sobie jedną trzecią jej tery-
torium. Stosowny traktat podpisano tego
dnia w Petersburgu, ówczesnej stolicy
państwa carów. Rok później zwołany na
polecenie zaborców Sejm zalegalizował
to bezprawie. Rzeczpospolita nie mogła
nic na to poradzić: nie miała ani porząd-
nego wojska, ani sojuszników.

Na drogę, która doprowadziła do takiej
sytuacji, państwo weszło nieodwołalnie
pół wieku wcześniej. Wtedy to inny Sejm
uniemożliwił królowi Augustowi II wy-
rywanie się spod kontroli rosyjskiej i wej-
ście w alians z mocarstwami zachodnimi.

Spotkanie w Rawie Ruskiej

Nieprzypadkowo Władimir Putin, żą-
dając dziś wycofania NATO z Europy
Środkowej i śniąc o uczynieniu z Polski,

Rumunii czy państw bałtyckich czegoś
w rodzaju strefy buforowej między Rosją
a Zachodem, odwołuje się do pierwszych
dziesięcioleci XVIII stulecia i do postaci
cara Piotra I. Wtedy to Rosja stawiała się
mocarstwem.

Wcześniejsze, wcale liczne wojny ca-
rów z Rzeczpospolitą nie budziły specjal-
nego zainteresowania na Zachodzie – i to
mimo że od dawna nie chodziło w nich
o realizację koncepcji określonej jako →

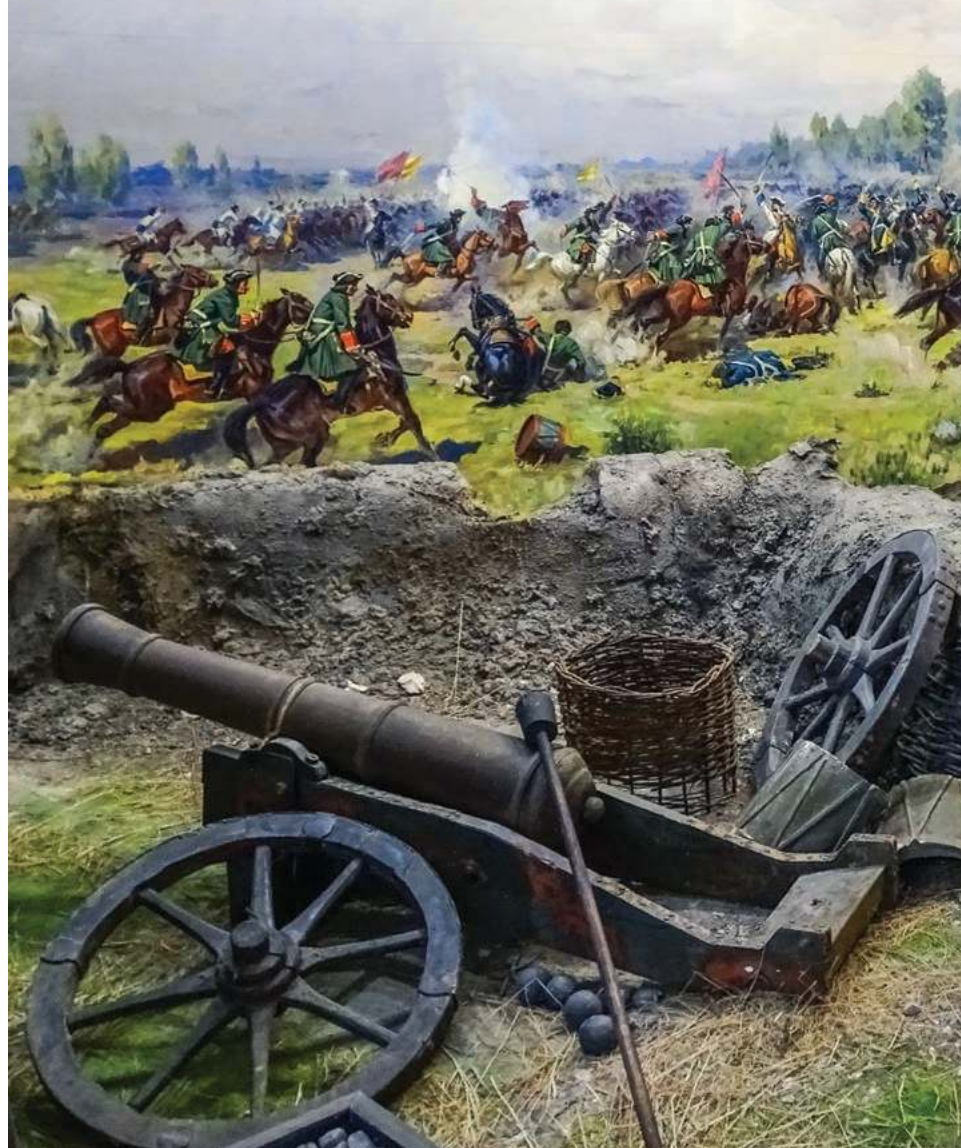
→ „zbieranie ziem ruskich”. Już w wieku XVI, w czasach cara Iwana Groźnego, Rosja chciała przebić się do wybrzeży Bałtyku i Morza Czarnego.

W ciągu XVII w. coraz bardziej absolutystyczne państwo carów krzepło, wzmacniało się gospodarczo i militarnie. Aż na jego tronie zasiadł Piotr I, nazwany potem Wielkim.

– Zainteresowanie Rosji posiadaniem wpływów w Europie Środkowo-Wschodniej wiąże się z początkiem samodzielnych rządów Piotra i jego powrotem w 1698 r. z Wielkiego Poselstwa na zachód – mówi prof. Urszula Kosińska, historyczka z Uniwersytetu Warszawskiego specjalizująca się w dziejach Polski w XVIII w. – Marsz na zachód nie stety ułatwił carowi król polski August II. W 1698 r., w drugim roku swego panowania, spotkał się z carem w Rawie Ruskiej. Najprawdopodobniej tam właśnie uzgodniono zarysy planu wywołania wojny ze Szwecją oraz opanowania Inflant, Estonii, Ingrii i Karelii. Każdy z władców miał oczywiście własne interesy, których partnerowi nie zdradzał. To niefortunna polityka Augusta II, sprzeczna z interesem Rzeczypospolitej, otwarła Piotrowi I drogę do realizacji jego geopolitycznych zamiarów.

August II z saskiej dynastii Wettynów, od 1697 r. panujący w państwie polsko-litewskim, marzył – jak niejedyn król elekcyjny przed nim – o wzmocnieniu swojej władzy i ustanowieniu dziedziczności tronu. O ile bowiem w Saksonii jego pozycja jako władcy była dość silna, o tyle w Polsce ograniczała ją Sejm, hetmani oraz niechęć szlachty do jakichkolwiek reform. Krokiem do realizacji tych planów miało być wzniesienie wojny z łatwą do pokonania – jak wierzył August – Szwecją i opanowanie Inflant, historycznej krainy nad Zatoką Ryską (należała ona wcześniej do Rzeczypospolitej, potem zajęli ją Szwedzi). Tyle tylko, że Inflanty nie miały przypaść Rzeczypospolitej – miały stać się posiadłością dynastyczną Wettynów, co niezmieennie podniosłoby ich rangę.

Plan zupełnie się nie udał. Zaledwie 18-letni król Szwecji Karol XII okazał się wojskowym geniuszem. W 1700 r. rozgromił pod Narwą dwukrotnie silniejsze wojska rosyjskie, a potem w 1702 r. zmiażdżył armię polsko-saską. Obaj sojusznicy ponieśli klęskę. Ale na koniec to państwo Piotra I wyszło z wielkiej wojny północnej, która ciągnęła się jeszcze przez



20 lat, w roli nowego mocarstwa europejskiego. Rzeczpospolita natomiast z roku na rok traciła suwerenność. Jak do tego doszło?

Wróg i przyjaciel

– Wiele wskazuje na to, że na wczesnym etapie wojny Piotr Wielki nie formułował jeszcze dalekosiężnych planów politycznych dotyczących Rzeczypospolitej – opowiada prof. Kosińska. – Utracił większość żołnierzy i generalicji, musiał odbudować armię. Zależało mu więc, by August II pozostał jego sojusznikiem i wziął na siebie ciężar walki z wrogiem. „Ugrzęźnięcie” Karola XII w Rzeczypospolitej dało Rosji czas.

Król szwedzki rzucił się na ziemie Wettyna. Rzeczpospolita – z wojskami śmiesznie słabymi w porównaniu do szwedzkich i rosyjskich, w dodatku fatalnie dowodzonymi przez nieposłusznych królowi hetmanów – wojny nie chciała. Stała się jednak „teatrem wojennym”, a wkrótce, *nolens volens*, stroną. Karol XII

zgotował jej wieloletni koszmar, przy którym bladły wspomnienia „potopu” z czasów Jana Kazimierza. Szwedzkie wojska maszerowały po całym kraju, niszcząc i grabiąc, zdobywając kolejne miasta, z Warszawą i Krakowem.

A nie mniej szkód i gwałtów czynili rosyjscy sojusznicy. Prof. Kosińska: – W roku 1704 August II i Piotr I podpisali traktat narewski, którego zapisy pozwoliły na wprowadzenie na terytorium Rzeczypospolitej wojsk rosyjskich. Po raz pierwszy w dziejach Rosjanie weszli do Polski jako siły sojusznicze. Zagościli na wiele lat. Z czasem w planach politycznych cara pojawiły się nowe cele. Obecność wojsk oraz dyplomatów rosyjskich, a także samego Piotra na terytorium sąsiada pozwoliła im zorientować się, że jest to świetna baza aprowizacyjna. Car mógł tu wyżywić niemal za darmo swoją armię. Po drugie ziemie polskie stanowiły wygodny kanał transmisyjny ze wschodu na zachód i na południe. Wojska rosyjskie mogły swobodnie przema-



MUZEUM HISTORII BITWY POD POŁTAWĄ // ADAM JONES / CC BY-SA 2.0

Zwycięstwo Piotra I w bitwie ze Szwedami pod Połtawą w 1709 r. jest punktem zwrotnym w historii Europy i otwiera erę mocarstwowości rosyjskiej.

myślny. Świetnie zdawał sobie sprawę, że Rzeczpospolita traci suwerenność: przestaje być podmiotem, a staje się przedmiotem polityki. Na razie jednak nie było szans na odwrócenie tych procesów: wojna północna trwała, podobnie jak wojna domowa – przeciw królowi wystąpiła szlachta skupiona w konfederacji tarnogrodzkiej.

I znowu wszystko poszło po myśli Piotra: oto zarówno przywódcy konfederacji, jak i August wezwali go, aby był arbitrem. Zapewniło mu to kontrolę nad przebiegiem spraw i budowało międzynarodowy prestiż cara. Gwarantem kończącego spór traktatu warszawskiego – przypieczętowanego potem na Sejmie w 1717 r. – był rosyjski ambasador Grigorij Dołgoruki.

Rzeczpospolita stała się krajem zależnym od Rosji. Formalnie był to sojusz, ale August nie miał nic do powiedzenia, wszystkie atuty trzymał Piotr. Car nie tylko nie wycofał wojsk, ale zwiększył ich liczebność do 40 tys. żołnierzy. W dodatku zablokował Gdańsk i wkroczył do Kurlandii (lenna Rzeczypospolitej). O oddaniu Augustowi zajętych po zwycięstwie połtańskim Inflant nie było mowy. Posłowi Augusta Franciszkowi Ponińskiemu car najpierw odmawiał audiencji, każąc za sobą jeździć po całej Europie, a później nie chciał go ze swojego dworu wypuścić.

Apetyt cara nie ograniczał się do Polski. W 1716 r. zawarł traktat z niemiecką Meklemburgią, wydał bratanicę za jej księcia i wprowadził tam 30 tys. żołnierzy. Zyskał w ten sposób bazę na terenie Rzeszy, w sąsiedztwie Hanoweru – którego władca Jerzy I był jednocześnie królem Anglii. Zagroził też interesom cesarza Karola VI.

Europa zorientowała się, że na jej wschodnim skraju powstało mocarstwo, które zyskało już nie tylko dostęp do morza, ale i przyczółki w środku kontynentu. Z tych obaw zrodziła się koniunktura polityczna, w której August II dostrzegł szansę na wyrwanie Rzeczypospolitej spod rosyjskiej zależności.

Król z narodem

W 1718 r. Sejm obradował w Grodnie. Niezadowolenie spowodowane obecnością armii rosyjskiej sprawiło, że doszło do rzadko spotykanej w naszych ↗

szerowywać przez nie tam i z powrotem, w miarę potrzeb militarnych, a Piotr myślał zarówno o wznowieniu wojny z Turcją o Azow i Krym, jak też o ekspansji na zachód w kraje niemieckie – jak Meklemburgia, Holsztyn, Skania. Poza tym kontrolowana politycznie Rzeczpospolita mogła być traktowana jako bufor zabezpieczający Rosję przed ewentualnym atakiem z zachodu.

Zależność od Rosji wzmocniły kolejne wydarzenia wojny północnej. W 1706 r. w układzie z Altranstädt Szwedzi zmusili Augusta II do abdykacji na rzecz marionetkowego władcy Stanisława Leszczyńskiego. Trzy lata później Piotr Wielki, który odrobił lekcję spod Narwy i zorganizował swoje wojsko na wzór zachodni, rozbił armię Karola XII pod Połtawą. Po czym przywrócił Augusta II na polski tron. Oczywiście nie za darmo.

System rosyjski

Carska opieka oznaczała coraz większą kontrolę nad wszystkim, co działo

się w Rzeczypospolitej. Rosyjscy dyplomaci sterowali nominacjami, promując na urzędy podporządkowane sobie kreatory. Z wolna formowały się zręby tzw. systemu rosyjskiego w Polsce. Car mieszał się do sporów wewnętrznych, kreując się na mediatora. Hojne łapówki zapewniały mu wsparcie kolejnych magnatów, dysponujących z kolei klientelą szlachecką, gotową na sejmach wspierać obce interesy bądź zrywać obrady. Nieposłusznych Rosjanie łupili, powolnym udzielali libertacji, czyli zwolnień od obowiązku utrzymywania „armii sojuszniczej”.

Po zwycięstwie połtańskim było jeszcze gorzej. August – szantażowany, że w razie nieposłuszeństwa znajdzie się inny kandydat do tronu – musiał przystać na dalszą obecność wojsk rosyjskich.

To już nie były rosyjskie macki, ale coraz głębiej zapuszczane korzenie, z biegiem czasu coraz trudniejsze do wyrwania.

Wbrew ciężącej nad nim od wieków czarnej legendzie August II nie był bez-

→ dziejach jedności króla ze szlachtą. Ambasador Dołgoruki pisał do cara listy, alarmując o powszechnych nastrojach antyrosyjskich. Przystawiano dawać wiarę rosyjskim kłamstwom, że marzeniem Augusta jest wprowadzenie rządów absolutnych, a to car stoi na straży szlacheckiej wolności. Dołgoruki zlecił zerwanie Sejmu, jednak stronnicy królewscy zdołali przekonać przekupionego posła, by wycofał swoje *liberum veto*.

August patrzył na to z rosnącą nadzieją, ponieważ jego dyplomaci w tym czasie prowadzili w Wiedniu ważne negocjacje. Król Anglii i cesarz postanowili wypchnąć Rosję z Europy. Obawiali się też rosnącej pozycji Prus, sprzymierzonych z Rosją. Ich szpiedzy donosili w dodatku o trwających na Wyspach Alandzkich rozmowach rosyjsko-szwedzkich: mogło dojść do odwrócenia sojuszy i zagrożenia wspólnym atakiem Piotra I oraz Karola XII.

5 stycznia 1719 r. Jerzy I, Karol VI oraz August II podpisali traktat wiedeński – ten ostatni uczynił to nie jako król Polski (nie miał do tego prawa), ale elektor saski. Był to pakt defensywny, skierowany przeciw Rosji i Szwecji, który zapewniał uczestnikom niezwłoczną zbrojną pomoc sojuszników na wypadek napaści. Jednym z jego celów było zabezpieczenie granic Rzeczypospolitej i utrzymanie Augusta II na jej tronie. Za powód do interwencji uznano stacjonowanie na jej ziemiach wojsk obcych lub ich przemarsz w kierunku cesarstwa.

Dzień po sygnowaniu dokumentu do Wiednia przysłała wieść o śmierci Karola XII – prowadził wtedy wojnę w Norwegii, podczas oblężenia Fredrikshald wychylił się z okopu i otrzymał postrzał w skroń. Niespodziewanie Szwecja stała się potencjalnym sojusznikiem, a Rosji groziła całkowita izolacja polityczna.

Był w tym jeden szkopuł: aby zapisy dotyczące Rzeczypospolitej weszły w życie, traktat musiał zostać ratyfikowany przez Sejm. August, mający świeże doświadczenie wsparcia szlachty, ocenił, że nie będzie z tym większego problemu.

Część historyków umniejsza znaczenie traktatu wiedeńskiego, wskazując, że Europę wieku XVIII charakteryzowała niezwykle zmienność sojuszy i ten jeden nie był w stanie odwrócić dziejów. – Piotr I, także po śmierci króla szwedzkiego, bardzo się obawiał konsekwencji tego traktatu – dowodzi jednak prof. Kosińska. – Jego wejście w ży-

cie oznaczałoby polityczne osamotnienie Rosji. Z kolei Rzeczpospolita zostałaby wpleciona w rodzaj systemu zbiorowego bezpieczeństwa w Europie. Uzyskałaby gwarancje sojusznicze cesarza i króla angielskiego, a dzięki temu mogłaby się wyemancypować spod mocno już zakorzenionych wpływów rosyjskich. Dowodem na te rosyjskie obawy była skala wysiłku organizacyjnego, dyplomatycznego i finansowego włożonego w to, by nie dopuścić do ratyfikacji układu przez Sejm.

Rosyjskie fake newsy

Ambasador Dołgoruki dostrzegł, że przejściowy triumf polskiego króla opiera się na jednym tylko fundamencie: powszechnej niezgodzie na obecność w Rzeczypospolitej wojsk rosyjskich. Pisał więc do cara: zróbmy taktyczny odwrót. Tymczasem Piotr został zmuszony do odwrotu, i to strategicznego, z Meklemburgii. Wypełniając zapisy traktatu wiedeńskiego, sojusznicy wkroczyli do tego księstwa i zmusili Rosjan do ewakuacji. Piotrowi zaczynał palić się grunt pod nogami.

Idąc za radą swojego posła, nakazał więc odwrót z ziem polskich. Postanowił też odwołać się do znanego dobrze pacyfizmu polskiej szlachty. Uruchomił machinę propagandową, która przekonywała, że traktat wiedeński oznacza przedłużenie wojny północnej, która znów miałaby się toczyć na terenach Rzeczypospolitej. Sugerował, że uzna ratyfikację traktatu za *casus belli*, że wyśle Kałmuków i Tatarów, by ją pustoszyli, i że na szybkość działań nowych sojuszników szlachta nie ma co liczyć.

Wielu w to uwierzyło, a nastroje antyrosyjskie przygasły, bo wyjście wojsk usuwało główny powód do niezadowolenia (i do popierania własnego króla). Jedynym pragnieniem szlachty było spokojne gospodarowanie, z dala od huraganów przetaczających się przez Europę. Wierzyli, że Rzeczpospolita jest zbyt wielka, żeby realnie coś jej groziło, i że nawet bez formalnego uczestnictwa w sojuszach europejskie mocarstwa zapewnią jej bezpieczeństwo. Obeznanie szlachty w tajnikach polityki było żenujące; nieprzypadkowo August działalność dyplomatyczną prowadził za pomocą urzędników saskich.

Z kolei widoczną gołym okiem w Meklemburgii skuteczność sojuszu antyrosyjskiego Piotr obrócił na swoją korzyść: miałby to być dowód na jego ofen-

sywny charakter, co upewniało szlachtę, że jego ratyfikowanie oznacza nowy konflikt. Tymczasem król angielski faktycznie planował działania mające na celu wyrzucenie Rosjan z Rzeczypospolitej: ofensywa miała nastąpić w 1720 r. jednocześnie z morza i lądu, a atak sprzymierzonych wojsk Hanoweru, Saksonii, Austrii i innych księstw niemieckich wspierałaby na południu Turcja.

Stracona szansa

Ambasador Dołgoruki ostrzegał ponadto szlachtę, że August II wykorzysta obecność wojsk sojuszniczych do likwidacji elekcyjności tronu i wprowadzenia absolutyzmu. Na korzyść Rosji grał tu fakt, że dwór zaniedbał informowania szlacheckiego społeczeństwa o treści i sensie traktatu. Rosjanie wypełnili tę lukę informacyjną, kolportując sfałszowane zapisy z Wiednia, mające dowodzić absolutystycznych zapędów Wettyna.

Car zawarł też sojusz z hetmanami, których uprawnienia (szczególnie dotyczące gospodarowania pieniędzmi na wojsko) boleśnie okrojono na Sejmie w 1717 r. Rozegrał też koncertowo sprawę odebrania im przez Augusta II dowództwa nad wojskami autoramentu cudzoziemskiego (praktycznie jedynym pułkom szkolonym do wyzwań nowoczesnej wojny; to już nie były czasy husarii).

Poparcie hetmanów, za którymi szła rzesza szlacheckiej klienteli, było dla cara niezbędne do realizacji planu zerwania Sejmu, który zebrał się w grudniu 1719 r. w Warszawie. Dołgoruki otrzymał od cara instrukcję: „Macie wszystkimi siłami przeciwdziałać, aby nie dopuścić do uznania i ratyfikowania pod naciskiem królewskim traktatu uczynionego w Wiedniu przeciw nam (...), bowiem w ten sposób król [August II] wprowadzi Rzeczpospolitą w takie zobowiązania, aby nie mogła swobodnie prosić o naszą pomoc”.

August II nie docenił nastrojów pacyfistycznych i tego, jak bardzo posłowie bali się wojny z Rosją. Nie docenił też skuteczności strumienia dukatów płynących z ambasady rosyjskiej. W jego skarbie widniały pustki; sojusznicy z Wiednia obiecali pomoc finansową, ale nadeszła ona, kiedy było już za późno. Dwór nie przygotował też strategii przeforsowania ratyfikacji ani własnej akcji propagandowej – inicjatywa była po stronie rosyjskiej.

Intryga się udała – tym razem *liberum veto* wybrzmiało. Sejm został zerwany,

a szansa na alians z mocarstwami zachodnimi stracona.

Wszystko jak dawniej

– Ratyfikowanie traktatu wiedeńskiego byłoby wielkim sukcesem Augusta II jako króla polskiego. Bardzo wzrosłyby notowania króla i Rzeczypospolitej na arenie międzynarodowej – podkreśla prof. Kosińska. – W kraju oznaczałoby to zaś spektakularną klęskę opozycji skupionej wokół hetmanów. Zjednoczenie się narodu szlacheckiego wokół tronu pozwoliłoby prawdopodobnie przeprowadzić reformę wojska, przede wszystkim zwiększając jego liczebność ograniczoną na Sejmie z 1717 r. do kilkunastu tysięcy.

Tymczasem krótka, dwuletnia koniunktura w stosunkach międzynarodowych się kończyła. Krach na giełdzie londyńskiej zmusił Jerzego I do wycofania się z aktywnej polityki. Rzeczpospolita straciła szansę otwarcia się na Zachód i wyjścia spod rosyjskiego buta. W lutym 1720 r. Rosja i Prusy podpisały traktat, którego cel zdefiniowano tak: „aby w Polsce wszystko pozostało jak dawniej”.

Czy niepowodzenie ratyfikacji traktatu wiedeńskiego to moment, kiedy Rzeczpospolita wchodzi na równię pochyłą prowadzącą do rozbiorów i utraty państwowości?

– Upadek Rzeczypospolitej, a zwłaszcza proces tracenia suwerenności, porównać można raczej do schodzenia z gór: czasem podchodzi się w górę, ale ostatecznie i tak idzie w dół – mówi prof. Kosińska. – Był jeszcze taki moment, gdy wydawało się, że istnieje szansa na wydostanie się spod kontroli rosyjskiej. Kiedy w 1725 r. umarł Piotr I, jego następczyni Katarzyna I nie miała zbyt mocnej pozycji. Z kolei jej następca Piotr II objął tron w 1727 r. jako dziecko. W latach 1725-29 Rosja na pewien czas wycofała się z aktywności międzynarodowej. Czasu tego przejściowego osłabienia nie wykorzystał ani dwór saski, ani Rzeczpospolita, a kiedy w 1730 r. władzę przejęła Anna Iwanowna, było już za późno na emancypację. Rosja wróciła do aktywnej polityki zachodniej.

Instrukcje dla dyplomatów

W początkach panowania carycy Katarzyny I (rządziła w latach 1724-27) wicekanclerz rosyjski Andriej Iwanowicz Ostermann spisał wskazówki dotyczące polityki Rosji wobec Rzeczypospolitej. – Dokonał w nich syntezy metod wypracowanych w czasach Piotra – tłumaczy

Car mieszał się do sporów polskiego króla ze szlachtą,

kreując się na mediatora.
Hojne łapówki zapewniały
mu wsparcie magnatów,
na których skinienie
szlachecka klientela
zrywała sejmy.

prof. Kosińska. – Punkty te zapisywano później w instrukcjach dla dyplomatów jadących do Polski. Zawierały one zasady tzw. polityki negatywnej. Rosyjscy posłowie mieli łudzić króla możliwością wzmocnienia władzy oraz przeprowadzenia sukcesji na rzecz syna pod warunkiem, że zgodzi się na ustępstwa wobec Rosji.

Innym celem polityki rosyjskiej było sianie „dyfidencji”, czyli niezgody między królem a szlachtą przez ostrzeganie jej przed rzekomymi zakusami absolutystycznymi Augusta. Dyplomaci mieli też uniemożliwić przeprowadzenie reform ustrojowych i wzmocnienie wojska, nie pozwalali również wchodzić w układy międzynarodowe. Niszczyli reputację państwa, przedstawiając je jako nietolerancyjne. Posługiwali się przy tym m.in. głośną sprawą toruńską z 1724 r. (protestanci zdemolowali wtedy kolegium jezuickie, po czym w mieście wybuchły zamieszki, zakończone ścięciem protestanckiego burmistrza i kilku uczestników). Wkrótce stale wykorzystywanym narzędziem nacisku na Polskę stało się żądanie równouprawnienia dysydentów (mniejszości wyznaniowe nie miały wtedy praw w żadnym państwie europejskim, łącznie z Rosją, ale hasła te dobrze wybrzmiewały w oświeceniowych salonach).

– I wreszcie – przypomina prof. Kosińska – narzędziem utrzymywania Rzeczypospolitej w politycznej słabości stał się zawiązany w 1720 i wielokrotnie odnawiany w latach 1726, 1729, 1730 oraz 1740 sojusz Rosji z Prusami, który był bazą dla współpracy realizowanej w procederze zrywania kolejnych sejmów.

System rosyjski w Polsce utrwalił się na tyle, że już nawet nie trzeba było trzymać w niej wojska. O tym, jak skutecznie niszczonego autorytetu Wętyna, świadczy pokutujące do dziś przekonanie, że wielo-

krotnie wychodził on z ofertami rozbioru Rzeczypospolitej między sąsiadów w zamian za zgodę na wzmocnienie swojej władzy. Badania archiwalne wykazały, że wszystko to były pruskie prowokacje.

Pod carskim butem

Dla Rosji było oczywiste, że po spodziewanej śmierci Augusta II (zmarł w 1733 r.) wybór nowego króla nie może się odbyć poza jej kontrolą. W sojuszu z Prusami i Austrią z 1732 r. – nazwanym traktatem trzech czarnych orłów – uzgodniono wypromowanie wspólnego kandydata. Wskazano na królewicza portugalskiego Emmanuela, człowieka pozbawionego jakiegokolwiek znaczenia w Europie, którego król pruski opisał tak: „jest do zaakceptowania ze względu na pokojową naturę, mierny intelekt i to, że nie będzie niebezpieczny dla sąsiadów”.

Plan trzeba było jednak zmienić: wśród szlachty Portugalczyk nie znalazł nawet śladowego poparcia. Śmiano się, że jedyną korzyścią z jego elekcji byłby spadek cen pomarańczy. W 1733 r. szlachta wybrała królem Stanisława Leszczyńskiego. Akt samowoli nie powiódł się: pod osłoną bagnatów rosyjskich tron objął August III, syn zmarłego Wętyna. Zszokowane społeczeństwo szlacheckie uświadomiło sobie skalę niesuwerenności kraju. A odtąd było już tylko gorzej.

Prof. Kosińska: – W kolejnych dekadach Rosja i Prusy starannie pilnowały, by w Rzeczypospolitej nie przeprowadzono żadnych reform. Z epoki saskiej kraj wychodził nie tylko jako państwo niemal bezbronne, ale od wielu już lat niesuwerenne.

A czasy ostatniego króla? – Za Stanisława Augusta Rzeczpospolita nie miała już żadnych szans na wyemancypowanie się spod wpływów rosyjskich – uważa historyczka. – Co prawda król miał w tej materii pewne złudzenia, stąd jego początkowy entuzjazm dla „nowego świata polskiego tworzenia”, czyli prób zreformowania archaicznego systemu ustrojowego z *liberum veto* na czele.

Dla carycy Katarzyny II, która objęła tron w 1762 r., było jasne, że w interesie Rosji nie leży jakiegokolwiek wzmocnienie Rzeczypospolitej. Stanisława Augusta należało więc ukarać za zbyt dużą samodzielność polityczną. Karą był pierwszy rozbiór w 1772 r., a dwie dekady później – ostateczne już odebranie państwowości.

© MACIEJ MÜLLER

BÓL BZYCZENIA

Wykazaliśmy, że owady zdolne są znosić
bardziej nieprzyjemne doznania,
gdy starają się o wartościową nagrodę.
Ich małe mózgi mogą skrywać złożony umysł.

BARTOSZ BARAN



ICH TWARZE TO TWARDE, ZROGOWACIAŁE maski. Nigdy nie mąci ich najmniejszy grymas – ani radości, ani niezadowolienia. Na świat spoglądają nieprzeniknionymi, nieruchomymi aparatami wyposażonymi w setki malutkich soczewek, których nie przysłaniają powieki ani nie zraszają łzy. Jeżeli muszą się porozumieć, używają chemicznych kodów, niezrozumiałych dźwięków i złożonych tańców. Kiedy zatrzymują się w miejscu, to przeważnie tylko ruchy pary segmentowanych sensorów, którymi skanują otoczenie, zdradzają, że pulsuje w nich życie. Czy to jakieś maszyny? Może przybysze z obcych przestrzeni, którzy muszą chronić swoje ciała przed ziemskimi warunkami w szczelnych pancerzach? Nie, to nasi dalecy krewni. Starsi od nas (ewolucyjnie), bardzo prominentni krewni.

Owady opanowały każdy ziemski kontynent i są obecne niemal w każdym biotopie. Mózgi owadów – bo nawet najmniejszy komar i najwęższa jętka takowym dysponują – podobnie jak nasze, składają się z wyspecjalizowanych komórek zdolnych do generowania impulsów elektrycznych i komunikacji przez neuroprzekazniki. Ich wypustki dendrytyczne również tworzą splątane sieci, przypominające gesty gałęzi, a szum elektrycznej aktywności tych sieci, podsłuchiwany przez wzmacniacz z podłączonym głośnikiem, brzmi zupełnie jak u nas.

Chociaż podobieństwa na poziomie komórkowym są znaczące, to gdy spojrzymy na mózgi jako całość, różnice będą bardzo wyraźne. Przede wszystkim te owadzie są nieporównywalnie mniejsze. Mózg pszczoły zajmuje objętość około dwóch milimetrów sześciennych, co odpowiada około 0,0002 proc. naszego. Owadzie neurony są co prawda mniejsze, dzięki czemu w tak małej objętości mieści się ich względnie wiele, lecz mimo to ich liczba również jest nikła w porównaniu do mózgów ssaków. Szacuje się, że mózg robotnicy trzmiela składa się z ok. dwóch milionów neuronów. Ludzki – z 86 miliardów. Na próżno również szukać znanych struktur w owadzych głowach, organizacja ich mózgu przypomina ssaczom jedynie tym, że gdybyśmy przecięli go wzdłuż pośrodku, dostalibyśmy dwie względnie podobne części.

Mimo tych różnic dzielimy z owadami ten sam świat. Wydaje się także, że radzimy sobie w nim co najmniej tak samo dobrze.

Kto zapalił światło

Owady zdominowały Ziemię na długo przed świtem antropocenu. Wielkie społeczeństwa mrówek toczyły bezlitosne wojny, parały się rolnictwem (uprawą grzybów), hodowlą (mszyc wytwarzających spadź), a nawet używały antybiotyków miliony lat przed tym, nim hominidy zaczęły pocierać patyk o patyk czy zderzać dwa kamienie. Trudno się dziwić, że sprawa owadów fascynuje ludzkość od stuleci. W codziennej mowie używamy powiedzeń wychwalających pracę mrówek i pszczół. Społeczeństwa owadów

wielokrotnie stawiano za wzór hierarchii, kolektywizmu i współpracy, choć to akurat przejaw zbytniej antropomorfizacji. Relacje panujące w mrówiskach czy ulach lepiej opisują teorie, które porównują te społeczności do organizmów (stąd termin: superorganizm), gdzie poszczególne osobniki są raczej trybikami w maszynie niż odrębnymi bytami. Indywidualne mrówki czy pszczoły przypominają komórki w ciele, dopiero ich współpraca nabiera jakiegoś sensu.

Zresztą, nierzadko owady, zarówno te społeczne, jak i żyjące samotnie, porównywano do maszyn czy automatów, a w rozmaitych filozoficznych hierarchiach bytów, jak też w potocznym rozumieniu stały niewiele wyżej od roślin, a na pewno niżej od „pełnoprawnych” zwierząt. I choć pierwsi badacze, którzy systematycznie opisywali życie owadów, nie szczędzili im antropomorficznych porównań, to wraz z rozwojem i dojrzewaniem fizjologii, etologii i pojawieniem się behawioryzmu społeczność akademicka popadła w mechanicystyczną skrajność. Cóż złożonego mogłyby kryć owadzie mózgi? Istnienie jakiegoś świata wewnętrznego, który sobie tworzą, czy ich życia umysłowego, wydawało się nie do pomyślenia.

W ostatnich latach wprawdzie coraz śміalej odchodzimy od kartezjańskiego spojrzenia na świat zwierząt jako fundamentalnie odmienny i uboższy od ludzkiego, ale dotychczas ta refleksja dotyczyła głównie ssaków, może kręgowców (z małym wyjątkiem robionym czasami dla głowonogów). Natomiast w owadach iskra życia, w powszechnym mniemaniu, napędza li tylko procesy wegetatywne i mniej lub bardziej bogate instrumentarium automatyzmów wykonywanych w zależności od stanu wejściowego sensorów. W tym domu nie pali się światło – a nawet jeśli, to na pewno nikogo nie ma w środku.

Futbol na sześciu nogach

Takiej perspektywie postrzegania owadów poważny cios zadała dyscyplina, która wyrosła na jego kanwie. Od dłuższego czasu robotycy i informatycy starają się zbudować urządzenia o złożoności funkcjonalnej mającej dorównywać owadziej. Cóż, jeśli są rzeczywiście tak prostymi organizmami, to powinien to być dobry punkt wyjścia. Jednak pomimo usilnych starań, a także wspaniałych odkryć dokonanych po drodze, ta pozorna

Trzmiel ziemny (Bombus terrestris) jest blisko spokrewniony z pszczołą miodną – i wie dzie podobne życie.

SANDER MEERTINS / ADOBE STOCK

→ prostota owadów ciągle pozostaje niedościgniona. Dopiero w ostatnich latach cuda inżynierii zaczęły zbliżać się sprawnością do tego, co przeciętna mucha zdaje się robić bez wysiłku na co dzień.

Można by zbywać trudności inżynierów stwierdzeniem, że miliony lat ewolucyjnej optymalizacji pozwoliły na wyjątkowe dostosowanie owadów do świata. Coraz częściej jednak pojawiają się przesłanki świadczące o tym, że w naszej wygodnej, hierarchicznej klasyfikacji zwierząt znów coś przeoczyliśmy. Ścisłe kontrolowane eksperymenty przekonują, że pozorną prostotą owadów skrywa w sobie pokłady złożoności.

Jednym z zespołów badawczych, które przodują w eksploracji tej niszy, jest działające na Uniwersytecie Królowej Marii w Londynie laboratorium pod kierownictwem Larsa Chittki. Modelem, na którym skupia się praca zespołu, są trzmiele ziemne (*Bombus terrestris*), które i w Polsce łatwo można zaobserwować, gdy w całej swojej puchatej kulistości krążą wokół kwiatów. Podobnie jak pszczoła miodna, z którą są blisko spokrewnione, są to owady społeczne, żyjące w rodzinach składających się z płodnej królowej i jej córek – nierozmnażających się robotnic.

Również budują woskowe gniazda, żywią się nektarem i pyłkiem – dzięki czemu pełnią funkcję zapylaczy – oraz bzyczą podczas lotu. Dzięki tej zdolności są zresztą chętnie wykorzystywane do zapylania pomidorów szklarniowych (a nawet hodowane komercyjnie w tym celu) – wytwarzane przez nie drgania powietrza wpływają na rozprzestrzenianie się pyłku.

Jednak w londyńskim laboratorium przed trzmielami stawiane są dużo mniej oczywiste wyzwania, chociaż zwykle stosownie nagradzane wodą z cukrem. Kilka lat temu zespół Larsa Chittki wykazał, że trzmiele potrafią nauczyć się ciągnąć za sznurki i wtaczać piłki do bramek, żeby dostać się do nagrody; co więcej, uczą się od siebie nawzajem przez obserwacje, a zadania rozwiązują w kreatywny sposób. Jeszcze kilka dekad temu zdziwilibyśmy się, gdyby ktoś opisał takie zjawisko u małąp – a co dopiero u owadów.

Sposób na łasucha

Niecałe trzy lata temu odwiedziłem laboratorium profesora Chittki w ramach wyjazdów doktorantów finansowanych z Narodowego Programu Wymiany



PIPPA AGER

Trzmiel pije słodką wodę z rozgrzanej płytki. Część aparatury wykorzystanej w eksperymencie.

Akademickiej. W swojej pracy naukowej zajmuję się co prawda zachowaniem świerszcza domowego, lecz finexja eksperymentów Chittki zawsze mi imponowała i chciałem bliżej poznać jego zespół. Opowiedziałem wtedy o jednym z eksperymentów, w którym używam temperatury jako bodźca awersyjnego, po to, by wytrenować świerszcze w zadaniach nawigacyjnych. Temperatury rzędu 55 st. C są dla owadów nieprzyjemne, ale nie wyrządzają im krzywdy – można więc wykorzystywać je do tego, by w kontrolowany sposób motywować je do jakiegoś zachowania.

W tym samym czasie do londyńskiego zespołu dołączyła Matilda Gibbons, która w swoim doktoracie postanowiła zbadać percepcję bólu u owadów. Nawiązaliśmy współpracę i krótko potem, już po powrocie do Polski, przygotowałem i wysłałem do Londynu urządzenie służące do dostarczania termicznych bodźców bólowych o określonym natężeniu.

Składa się ono z zestawu płaskich paneli grzewczych z termostatem, na których trzmiel musiał wylądować, aby dostać się do karmnika z roztworem cukru (substytutem nektaru). Każdy z karmników oznaczony był kolorem oznaczającym wyższą lub niższą temperaturę oraz stężenie cukru (trzmiele są łasuchami

i preferują słodsze roztwory). Trzmiele robotnice biorące udział w naszym eksperymencie musiały się nauczyć, w którym karmniku znajduje się słodszy nektar, i jak bardzo nieprzyjemną temperaturę będą musiały wytrzymać, aby się do niego dostać. W badaniu sprawdzaliśmy, które z dostępnych karmników, różniących się zarówno jakością nagrody, jak i temperaturą, będą częściej odwiedzane, jeśli postawi się przed owadami różne opcje.

Pójście na kompromis

Wyniki eksperymentu, które właśnie przedstawiliśmy w czasopiśmie „PNAS”, wskazują, że podobnie jak ssaki, trzmiele są skłonne znieść więcej nieprzyjemności, gdy stawka jest wyższa. Jeśli ma im to dać dostęp do słodsze roztworu, są w stanie narazić się na wyższe temperatury, ale dla gorszej nagrody nie będą się poświęcać. Zatem, tak jak ludzie w sporcie czy pracy, balansują one zysk z tym, co muszą znieść, aby go uzyskać.

Zdaje się, że doświadczenie trzmiela jest zintegrowane, a wiedza o bólu nie dość, że jakoś gromadzona, to jeszcze porównywana jest z zakładaną nagrodą. Uczestniczący w eksperymencie owad widzi przed sobą oznaczone odpowiednimi kolorami karmniki, a więc wyboru dokonuje na podstawie zapamiętanych właściwości, a nie aktualnego stanu swoich receptorów bólowych. Trzmiel nie odczuwał przecież bólu, zanim nie doleciał do gorącego karmnika. Podejmuje więc decyzję w bardziej wyrafinowany sposób – a nie działa jak prosty automat, uruchamiany w odpowiedzi na konkretny bodziec. Wydaje się, że trzmiele musiały dokonać syntezy bodźców chemicznych (słodkość nektaru) oraz wizualnych (identyfikacja karmnika) i zestawzić je z nieprzyjemnością wysokiej temperatury.

Warto o tym pamiętać, myśląc o świecie zwierząt m.in. w kontekście debat o etyce żywienia; w odniesieniu do farm owadów, ale również powszechnej produkcji rolnej, która wymaga szerokiego stosowania pestycydów. Co prawda trzmieli akurat te kwestie nie dotyczą, lecz nie wiemy, czy i inne grupy owadów nie przejawiają podobnej złożoności.

© BARTOSZ BARAN

Autor jest doktorantem na Uniwersytecie Śląskim w Katowicach. Bada umysły owadów.

Słaby punkt nowotworu

ANNA BARTOSIK

Zjawisko zaobserwowane sto lat temu u owadów jest podłożem jednej z nowoczesnych terapii onkologicznych. Kluczowe jest w niej szukanie par genów prowadzących do śmierci zbuntowanych komórek.

TO, CO DZIAŁA U DROŹDŹY, DZIAŁA TEŻ u słonia”, przekonywał noblista prof. Tim Hunt trzymając w ręku kufel piwa. Rozmowa miała miejsce na przyjęciu inauguracyjnym sympozjum doktorantów w Europejskim Laboratorium Biologii Komórki w 2008 r. w Heidelbergu w Niemczech. W tamtych, nieodległych czasach pracujący na laboratoryjnych szczepach drożdży piekarskich naukowcy, w których gronie też się znalazłam, patrzyli trochę z góry na swoich kolegów eksperymentujących z ludzkimi hodowlami komórkowymi.

Bo techniki manipulowania genomem drożdży doskonale znano od wielu lat, natomiast wprowadzanie zmian genetycznych w ludzkich komórkach w warunkach laboratoryjnych było wtedy niezwykle żmudne i często nieprzewidywalne. Ale zgodnie z tezą prof. Hunta miało się to wszystko wkrótce zmienić.

Co zabija muszki

W pierwszej dekadzie XXI w. „drożdżowi” naukowcy prowadzili w laboratoriach badania na skalę całego genomu. Wykorzystywali do tego roboty służące do manipulowania setkami kolonii drożdży równocześnie. Na kilku szalkach laboratoryjnych, pod postacią równiutko ułożonych białych kropek, kryły się drobne kolonie drożdży, z których każdej brakowało jednego szczególnego genu. Przy pomocy robotów naukowcy krzyżowali ze sobą te kolonie i obserwowali efekty, jakie powoduje „wyłączenie” w komórkach kilku genów równocześnie. Biolodzy pracujący na ludzkich hodowlach komórkowych mogli wtedy tylko marzyć o takich eksperymentach. Dopiero opracowana w 2012 r. przez Jennifer Doudna i Emmanuelle Charpentier technologia CRISPR/Cas9 doprowadziła do prze-

łomu – pozwoliła na podobne manipulacje w DNA człowieka. Na spotkaniach integracyjnych doktoranci od ludzkich komórek zaczęli wyżej nosić głowy.

Ich narzędzia nie były jeszcze tak doskonałe jak w przypadku drożdży, ale prowadzone przez nich badania wpisywały się w nurt „medycyny translacyjnej” – tzn. miały przełożenie na potencjalne przyszłe terapie, m.in. onkologiczne. Otwarte zostały drzwi do badania zależności między genami i wpływu mutacji więcej niż jednego genu na przeżywalność komórek. W projektowaniu nowych leków zaczęto bowiem wykorzystywać zjawisko tzw. syntetycznej letalności, wcześniej znane ze świata drożdży.

Pierwszy raz to zjawisko zaobserwowano w innym organizmie – u larw muszek owocowych w laboratorium amerykańskiego genetyka Calvina Bridgesa. Działo się to równo sto lat temu. Bridges zauważył, że mutacje niektórych genów były śmiertelne u potomstwa muszek, podczas gdy rodzice z pojedynczym zmutowanym genem rozwijali się normalnie. Podobnych obserwacji dokonał u innego gatunku muszek Theodosius Dobzhansky w 1946 r. I to on określił tego typu zależności terminem „syntetycznej letalności”. Pierwsza celowana terapia onkologiczna oparta o to zjawisko trafiła do pacjentów biorących udział w badaniu klinicznym dopiero w 2005 r., a kolejne dziesięć lat trzeba było czekać na dopuszczenie pierwszego leku przez amerykańską Agencję Żywności i Leków (FDA).

Samolubne geny

Zgodnie z pierwotną definicją syntetyczna letalność polega na kombinacji dwóch zmian genetycznych, prowadzących do śmierci komórki, w sytuacji, gdy każda z osobna nie powoduje takiego efektu. Nieco ponad 20 lat temu ukuto

rozszerzoną definicję tej koncepcji. Zgodnie z nią w skład pary syntetycznie letalnej wchodzi produkt genu zmutowanego w komórkach nowotworowych oraz produkt drugiego genu, który może być celem leku. Podanie leku będzie wówczas skutkowało śmiercią wyłącznie komórek nowotworowych, zdrowe komórki pozostają nietknięte. I to właśnie stanowi największą przewagę syntetycznej letalności nad chemioterapią czy wcześniejszymi terapiami celowanymi, które nie pozostawały bez wpływu na cały organizm pacjenta.

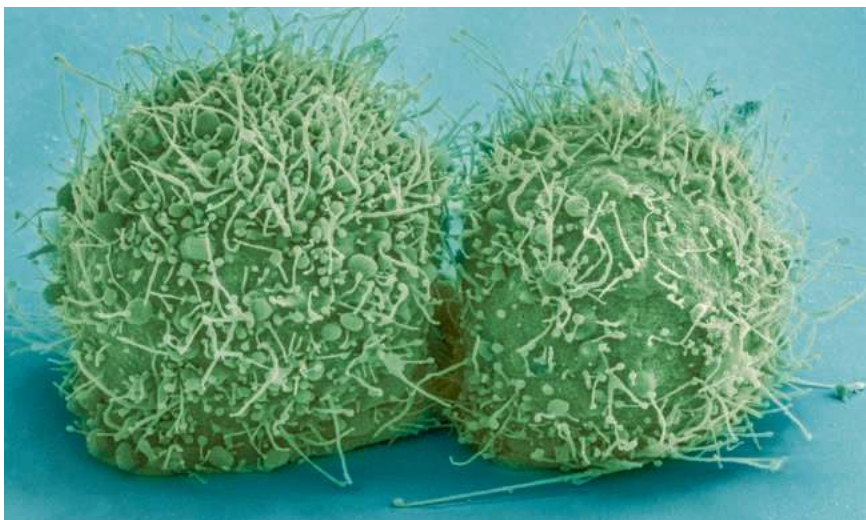
Nowotwór w zdecydowanej większości przypadków to choroba genomu komórek. Polega na tym, że w komórkach dochodzi do wielu mutacji oraz innych zmian, które akumulują w czasie i sprawiają, że podziały komórkowe wymykają się spod kontroli. Komórki nowotworowe zachowują się „samolubnie” – krótkowzrocznie dbają tylko o własne dobro i własne potomstwo, nie licząc się z dobrem całego organizmu. Przystają być jego integralną częścią – organizm staje się dla nich środowiskiem życia, z którego można agresywnie pozyskiwać zasoby. Kosztem wszystkich innych komórek.

Pacjenci, u których taka terapia zadziałałaby najlepiej, mogą być wyselekcjonowani na podstawie profilu genetycznego. Największym wyzwaniem pozostawało odnalezienie wśród tysięcy ludzkich genów par syntetycznie letalnych.

Zgodnie z proroczym zdaniem Tima Hunta, badania u drożdży dostarczyły ważnych informacji na temat zależności genetycznych odpowiadających za podstawowe funkcje życiowe komórek „drożdży i słonia”. Jednak drożdżowy genom jest skromniejszy niż ludzki, a drożdże to jednokomórkowce – dlatego dalsze badania, i z użyciem nowych technik, musiały być prowadzone na komórkach ludzkich. Głównie – na „nieśmiertelnych” (zdolnych do nieskończonego wielu podziałów) liniach komórek wyizolowanych z guzów pacjentów onkologicznych. Najbardziej znaną z nich jest linia HeLa – oparta na komórkach raka szyjki macicy Henrietty Lacks, 31-letniej Amerykanki zmarłej w 1951 r.

Projekt Achilles

W drugiej dekadzie XXI w. znacznie uproszczono i zautomatyzowano techniki wyłączania genów m.in. przy pomocy molekularnych „nożyczek” CRISPR/Cas9. Wtedy pełną parą ruszyły wielkie projekty →



EAST NEWS

Komórki z linii HeLa, krótko po podziale. National Center for Microscopy and Imaging Research, USA.

→ realizowane przez dziesiątki naukowców w ramach konsorcjów farmakologicznych i ośrodków akademickich. Najważniejszy i jak dotąd największy z nich został symbolicznie nazwany Projektem Achilles – co miało nawiązywać do poszukiwania słabego punktu nowotworu.

Celem tego badania przeprowadzonego przez Instytut Broad (współpraca między Massachusetts Institute of Technology a Uniwersytetem Harvarda) było skonstruowanie możliwie dokładnej mapy zależności genetycznych w komórkach nowotworowych pochodzących z różnych tkanek. Otrzymane wyniki badań eksperymentalnych są stale gromadzone w bazach danych i analizowane przez naukowców w poszukiwaniu odpowiednich par genów wykazujących zjawisko syntetycznej letalności. Najlepiej, jeśli ta para składa się z mutacji genetycznej, która jest szeroko rozpowszechniona w różnych typach nowotworów, oraz genu, którego produkt wykazuje jasno zdefiniowaną aktywność, dającą się łatwo zahamować przy pomocy cząsteczki chemicznej leku. Obecnie szacuje się, że naukowcy znaleźli około 1000 takich zależności genetycznych, w prawie 800 liniach komórkowych odpowiadających 42 różnym typom nowotworów.

Pierwszą skuteczną terapię onkologiczną opartą o syntetyczną letalność zastosowano w leczeniu nowotworu jajnika u kobiet z mutacją genów BRCA1/BRCA2. Nosicielką tej dziedzicznej zmiany genetycznej jest m.in. Angelina Jolie, która poddała się prewencyjnej operacji usunięcia piersi i jajników w obawie przed rozwojem nowotworów. Terapia polega na zablokowaniu działania białka PARP.

Białka PARP, BRCA1 i BRCA2 wchodzi w skład komórkowej maszyny odpowiedzialnej za naprawę zniszczeń w nici DNA. Podczas rozwoju niektórych nowotworów geny takie jak BRCA1/BRCA2 są zmutowane i niefunkcjonalne, co ogranicza naprawę DNA w komórkach nowotworowych wyłącznie do działania białka PARP. Jeśli zablokujemy białko PARP (użyjemy tzw. inhibitora tego białka), możemy sprawić, że naprawa DNA przestanie w ogóle działać, a komórki rakowe nie będą mogły się dzielić w nieskończoność. Taka terapia w dużej mierze oszczędza zdrowe komórki pacjenta.

Obecnie kilka takich leków jest już wykorzystywanych w terapiach. Inhibitory PARP wykazują większą efektywność w przypadku nowotworów jajnika niż w raku piersi, co jest przedmiotem dalszych badań. Niestety w testach klinicznych zaobserwowano także oporność na hamowanie białka PARP rozwijającą się w miarę stosowania terapii. Prowadzi do tego wiele mechanizmów molekularnych, dlatego obecnie szuka się jeszcze innych genów syntetycznie letalnych z mutacjami BRCA1/BRCA2, względem których mogą być rozwijane inne leki.

Historia walki z rakiem

W 2016 r. ukazało się kilka prac naukowych opisujących zależność syntetycznie letalną w nowotworach, których komórkom brakuje części genomu – fragmentu chromosomu 9. Okazało się, że jednym z utraconych genów jest MTAP, kodujący ważny dla działania kilku innych białek enzym metabolizacyjny. U pacjentów z takimi nowotworami te białka częściowo tracą swoją aktywność. Całkowite jej za-

chowanie za pomocą leku prowadzi do śmierci komórek nowotworowych, podczas gdy te zdrowe pozostaną nietknięte. Szacuje się, że utrata tego istotnego fragmentu chromosomu 9 zachodzi u aż 10-15 proc. wszystkich pacjentów onkologicznych, często cierpiących na bardzo trudne w leczeniu nowotwory płuc, trzustki czy mózgu. Dlatego prowadzi się obecnie intensywne badania naukowe nad wynalezieniem leków celujących w nowotwory z utratą genu MTAP. Wyniki eksperymentów laboratoryjnych wyglądają obiecująco i pierwsze cząsteczki są już podawane pacjentom w badaniach klinicznych, ale na ich wyniki musimy jeszcze poczekać.

W przeszłości nowotwory usuwano głównie za pomocą interwencji chirurgicznych. Pierwsze udane terapie nieinwazyjne rozpoczęły się wraz z wprowadzeniem promieniowania radu na przełomie XIX i XX w. – naświetlanie komórek nowotworowych uszkadza ich geny, dzięki czemu część z nich przestanie się dzielić. Kolejny duży postęp nastąpił ponad cztery dekady później, wraz z rozwojem chemioterapii w latach 40. XX w. Chemioterapia to zestaw specyficznych leków niszczących szybko dzielące się komórki. Należą do nich komórki nowotworowe, co decyduje o skuteczności tej metody leczenia – ale nie tylko one. Stąd silne niekorzystne efekty uboczne u pacjentów.

Terapie celowane po raz pierwszy wprowadzono w latach 80. XX w. Tego typu leki precyzyjnie atakują konkretne białka w komórkach nowotworowych, co znacznie poprawiło bezpieczeństwo pacjentów. Końcówka XX w. i początek obecnego stulecia należały do immunoterapii, która mobilizuje własny układ odpornościowy pacjenta do walki z nowotworem. Bez tej mobilizacji komórki nowotworu oszukują komórki odpornościowe – „przedstawiają im się” jak typowe, zdrowe komórki, a nie buntownicy.

Syntetyczna letalność z pewnością w najbliższych latach będzie odgrywać coraz ważniejszą rolę w onkologii, zwłaszcza w przypadku nowotworów trudnych w leczeniu standardowymi metodami. Poszukiwania „pięt achillesowych” komórek rakowych odbywać się będą głównie w laboratoriach firm farmaceutycznych, które dysponują największą ilością danych o nowotworach – i olbrzymimi funduszami.

TOMASZ

Stawiszyński:

Lekcja Petersona



NIEZALEŻNIE OD WSZYSTKICH ZASADNYCH i bezzasadnych zarzutów, jakie się stawia Jordanowi Petersonowi – człowiekowi, który stał się w ostatnich latach intelektualną gwiazdą internetu – jedno z całą pewnością należy mu poczytać za zasługę. Otóż, przynajmniej przez pewien czas, dzięki zainicjowanemu przez niego dyskusjom czy raczej wiralowym falom ekscytacji bądź też oburzenia, w debacie publicznej na nowo zagościły tematy fundamentalne. Takie idee, jak sens życia, los, odpowiedzialność czy poszukiwanie swojego miejsca w świecie, pojawiły się nagle w słownikach wielu młodych ludzi zafascynowanych kanadyjskim psychologiem. Inna sprawa, że przekaz Petersona – mocno konserwatywny, indywidualistyczny, akcentujący niemal wyłącznie jednostkową odpowiedzialność i sprawczość, a momentami popadający w mizoginię – może być na dłuższą metę raczej źródłem frustracji i rozczarowania aniżeli głębokiej życiowej metanoi.

Jest jednak jeszcze inna lekcja, którą Peterson daje. Lekcja, której – jak sądzę – nie jest świadom ani on sam, kultywujący wizerunek przekonanego o swoich racjach bezkompromisowego intelektualnego macho, ani też wciąż entuzjastycznie i bezkrytycznie przyjmujący każde jego słowo wyznawcy.

Ale najpierw przypomnijmy kilka faktów. W kwietniu 2019 r. odbyła się oglądana na całym świecie debata pomiędzy Petersonem a Slavojem Žižkiem [pisał o niej w „TP” Marcin Napiórkowski, zobacz na powszech.net/peterson-zizek – red.]. Obserwowało ją – w Meridian Hall w Toronto – około 3 tys. osób, bilety osiągały astronomiczne ceny, a transmisja w sieci przyciągnęła rekordową publiczność. Nawiasem mówiąc – to akurat jest budujące, że w dzisiejszych czasach dyskusja dwóch intelektualistów potrafi wywoływać zainteresowanie i emocje przewyższające najbardziej nawet efektowne pojedynki spod znaku freak MMA. Tak czy inaczej, debata była gigantycznym frekwencyjnym sukcesem. I zakończyła się niekwestionowanym zwycięstwem Žižka, który – skądinąd podzielając sceptycyzm Petersona wobec rozmaitych nowolewicowych tożsamościowych narracji – rozmontował swojego adwersarza z elegancją co najmniej równą tej, z którą wcześniej zrobił to samo Sam Harris (w serii publicznych występów, ale przede wszystkim w dwóch rozmowach przeprowadzonych w ramach podcastu „Making Sense” – zdecydowanie polecam). Niedługo potem Jordan Peterson zapadł się pod ziemię.

Spekulacje nad tym, co się z nim właściwie stało, trwały kilka miesięcy. Na początku 2020 r. okazało się, że w związku z uzależnieniem od silnych benzodiazepin autor „Dwunastu życiowych zasad” przebywa w szpitalu gdzieś pod Moskwą.

Nie pomogła mu nawet słynna dieta złożona wyłącznie z... trzech steków dziennie, z dodatkiem soli, popijanych wodą. W ten właśnie sposób Peterson od kilku lat komponuje swoje menu, podobnie czynią jego córka i żona. Twierdzi, że tylko te steki chronią go przed licznymi alergiami pokarmowymi, a poza tym człowiek nie jest, wbrew temu, co uważa nauka, przystosowany do jedzenia węglowodanów.

Mniej więcej w połowie 2020 r. Peterson powrócił i znowu zaczął pojawiać się publicznie, opowiadając przy tym dość rozległe o kłopotach zdrowotnych, jakie go spotkały. W jego opowieści istotne miejsce zajmował pochodzący z Rosji zięć, który pomógł znaleźć podmoskiewską klinikę – nigdzie indziej bowiem nie zdecydowano by się na zastosowanie tak inwazyjnego leczenia (obejmującego m.in. podanie znieczulenia ogólnego i utrzymywanie pod respiratorem przez wiele dni, żeby „przeczekać” najbardziej dramatyczne symptomy odstawienne).

Być może również z uwagi na te rodzinne konsekwencje – choć powodów z pewnością jest więcej – od momentu napaści Rosji na Ukrainę Peterson praktycznie sprawy nie komentował. Kiedy już jednak skomentował, zrobił to w duchu świadomości bądź nieświadomości proputinowskiego „realizmu” à la John Mearsheimer: mamy do czynienia z wojną domową na Zachodzie; jej istotą jest starcie konserwatywnej wizji z lewackim demontażem cywilizacji; zamiast Putina drażnić, Zachód powinien go udobruchać, pójść na ustępstwa i całkowicie odpuścić Ukrainę. Cóż, ktokolwiek miał jeszcze jakieś złudzenia co do niezależności i nonkonformizmu Petersona, z pewnością przestał je mieć.

Jaka z tego jednak płynie – sygnalizowana na początku – lekcja?

Taka mianowicie, że niekiedy wystarczy tylko drobny wyłom w racjonalnych poglądach na świat – np. wiara, że trzy steki dziennie to gwarancja zdrowia, że globalne ocieplenie to mit (coś takiego niedawno sugerował Peterson w programie Joego Rogana) – żeby za chwilę znaleźć się na ciężkich politycznych i nie tylko politycznych manowcach. To jest niestety także casus Noama Chomsky’ego czy Naomi Klein, choć na temat ich upodobań dietetycznych nic mi nie wiadomo. ©

OGŁOSZENIE

Przed Sądem Rejonowym w Jarocinie Wydziałem I Cywilnym, przy ul. Wrocławskiej 6 toczy się pod sygnaturą I/NS 182/22 postępowanie z wniosku Bogusława Jakubczaka o stwierdzenie nabycia własności nieruchomości przez zasiedzenie. Wniosek dotyczy niezabudowanej nieruchomości, położonej w Cielczy, oznaczonej geodezyjnie jako działka 180 arkusz mapy 1, o powierzchni 0,88,00 ha, dla której nie jest prowadzona księga wieczysta.

Sąd wzywa zainteresowanych, by w terminie trzech miesięcy od niniejszego ogłoszenia zgłosili się w Sądzie i udowodnili swe prawa, gdyż w przeciwnym razie postępowanie będzie się toczyć się ich udziału.

HISTORIA W NAWIASIE

THOMAS PIKETTY, EKONOMISTA:

Postęp gospodarczy zawsze szedł w parze z szerszym dostępem do edukacji i lepszymi zabezpieczeniami praw pracowników. Nie do wiary, że niektórzy o tym zapomnieli.

PAWEŁ MARCZEWSKI: We wprowadzeniu do „Krótkiej historii równości” stwierdza Pan, że żyjemy dziś w o wiele bardziej egalitarnym świecie niż nasi przodkowie.

THOMAS PIKETTY: Nowatorstwo naszych badań polega na tym, że udało się zgromadzić dane z całego świata sięgające nawet do XVIII wieku. I główna lekcja, jaka z nich płynie, jest taka: mamy do czynienia z poszerzaniem się równości, ale proces ten nie ma w sobie niczego naturalnego czy nieuchronnego, lecz jest rezultatem mobilizacji i walk społecznych. Rozpoczyna się pod koniec XVIII wieku rewolucją francuską i zniesieniem przywilejów podatkowych arystokracji, co stanowiło początek końca społeczeństw opartych na przywilejach stanowych, a także powstaniem niewolników na Haiti, które z kolei zapoczątkowuje koniec społeczeństw opartych na pracy niewolniczej. Te walki o coraz większą równość toczą się potem przez cały wiek XIX i XX.

A dzisiaj?

Dzisiaj wystarczy spojrzeć na ruch #MeToo czy Black Lives Matter. Nadal żyjemy w społeczeństwach, w których utrzymują się nierówności i przywileje. Przecież systemy wyborcze uprzywilejowujące bogatych darczyńców sprawiają, że nie mamy równych praw politycznych. Daleko nam również do demokracji zapewniającej równość praw ekonomicznych, w której prawa pracowników byłyby należycie chronione. Zostało jeszcze wiele do zrobienia.

Bo jednocześnie dane zbierane przez Pana zespół pokazują, że w ostatnich kilku dekadach nierówności ekonomiczne znacząco wzrosły. Co to w sumie oznacza?

Niespotykany wzrost nierówności ekonomicznych w ostatnich dziesięcioleciach to historyczny nawias, w który wzięto długotrwałe procesy poszerzania równości.

Kiedy się otworzył ów nawias?

W latach 80. i 90. XX wieku. Kraje takie jak Polska są doskonałym dowodem na to, że powinien już zostać zamknięty. Nic dziwnego, że w latach 90., po upadku Związku Radzieckiego, tak wiele ludzi wierzyło bezrefleksyjnie w wolny rynek jako rozwiązanie wszystkich problemów ekonomicznych. Sam podzielałem wówczas tę wiarę. Dziś widać jednak, że poza konkurencyjnym rynkiem i gwarancjami własności prywatnej potrzebujemy również zrównoważonej dystrybucji dochodów i majątku czy równego dostępu do edukacji. Kryzys finansowy 2008 roku, pandemia koronawirusa, a teraz – wojna w Ukrainie, to symptomy końca ery neoliberalnej deregulacji.

I co będzie potem?

Trzeba powrócić do udanych doświadczeń z przeszłości. Progresywny system podatkowy w USA, obowiązujący od lat 30. do 80., to było przecież historyczne osiągnięcie. Tymczasem uwierzyliśmy, że jedyną pozytywną lekcją XX wieku był upadek Związku Radzieckiego i fiasko

centralnie sterowanej gospodarki. Ubiegłe stulecie przyniosło jednak również inne, pozytywne lekcje progresywnego opodatkowania czy zwiększania praw robotników.

Dlaczego jednak ten nawias nierówności nadal jest otwarty? Czemu nie zamknął go choćby potężny kryzys finansowy z 2008 r.? Neoliberalny „turbokapitalizm”, jak go Pan nazywa, pokazał swoje ograniczenia już tyle razy od upadku Związku Radzieckiego, a jednak nadal trwa.

Neoliberalizm jest już martwy, pytanie brzmi, co go zastąpi. Czy będzie to jakiś nowy nacjonalizm, czy też jakiś rodzaj bardziej egalitarnego systemu, dającego obywatelom możliwości szerokiej partycypacji w gospodarce i życiu społecznym. Neonacjonalizm to łatwa odpowiedź, którą serwują politycy w rodzaju Donalda Trumpa. „Skoro wprowadzona

THOMAS PIKETTY (ur. 1971) jest francuskim ekonomistą, współzałożycielem i profesorem Paris School of Economics. Jego „Kapitał w XXI wieku” był Biznesową Książką Roku 2014 według „Financial Times”, przebojem sprzedażowym wszech czasów wydawnictwa Harvard University Press i „najlepiej sprzedającą się książką w ciągu roku od premiery” w historii Amazona.

Obok:
w Paris School of Economics, 2014 r.



→ przez Reagana liberalizacja gospodarki nie przyniosła powszechnego dobrobytu, powiem Amerykanom, że to wina meksykańskich imigrantów zabierających im pracę, nierównowagi w handlu z Chinami czy niechęci Europejczyków, żeby płacić za swoje bezpieczeństwo wojskowe”. Strategia Trumpa czy orędowników brexitu polega na obwinianiu innych za wewnętrzne problemy kraju. Może przynieść zwycięstwa wyborcze, ale nie jest zdolna rozwiązać faktycznych problemów.

Skądś to znam.

Przypadek Polski jest bardzo ciekawy, ponieważ Prawo i Sprawiedliwość łączy neonacjonalizm z polityką redystrybucji na rzecz gorzej zarabiającej części społeczeństwa albo zasiłkami pieniężnymi dla rodzin z dziećmi. PiS wpisuje się w szerszy, paradoksalny trend, w którym to prawicowe, konserwatywne partie prowadzą bardziej progresywną politykę ekonomiczną niż lewica.

Co tu zostaje ekonomicznej lewicy?

PiS podczas swoich pierwszych rządów sprzeciwiło się wprowadzeniu podatku spadkowego, a bez takich obciążeń fiskalnych nie da się prowadzić konsekwentnej polityki redystrybucji. Ostatecznie zawsze trzeba podjąć decyzję, czy redystrybucja ma być finansowana za pomocą inflacji, co oznacza, że płacą za nią przede wszystkim najubożsi, tak jak to się dzieje dzisiaj w Polsce, czy za pomocą wyższych podatków dla najbogatszych.

Aby wygrać wybory, nie wystarczy powiedzieć, że nie zlikwiduje się świadczeń wprowadzonych przez oponentów. Trzeba też wyborcom bardzo klarownie powiedzieć, jak zamierza się ten program sfinansować.

Jednak partie, które łączą nowy nacjonalizm z wybranymi elementami redystrybucji, ale nie wprowadzają jej systemowo, wygrywają kolejne wybory. W Polsce więcej środków w ramach programu Rodzina 500 plus wypłacane jest dla 10 proc. najzamożniejszych rodzin niż 10 proc. najuboższych, a system podatkowy jest daleki od progresywnego. Może wyborcy wolą namiastkę redystrybucji, bo nie wierzą, że systemowa redystrybucja jest możliwa?

Dlatego właśnie zmiany w kierunku większej progresji podatkowej i redystry-

Zachodni miliarderzy obawiają się, że jeżeli majątki rosyjskich oligarchów zostaną wydobyte na światło dzienne, **to ich majątki również zostaną przeświecone.**

bucji trzeba zacząć od opodatkowania najbogatszych. Ludzie zarówno w Polsce, jak i we Francji i innych krajach przyzwyczaili się, że najbogatsi i tak uciekają przed podatkami. Dlatego kiedy ktoś z klasy średniej słyszy o nowych podatkach, to zaraz mówi: „OK, to na pewno uderzy we mnie. Bogaci przed nimi uciekną”.

No bo uciekną.

Zorganizowaliśmy międzynarodowy system ekonomiczny, przede wszystkim w Europie, wokół zasady wolnego przepływu kapitału bez żadnych zabezpieczeń w postaci regulacji fiskalnych i społecznych. Uświęciliśmy prawo do bogacenia się z wykorzystaniem infrastruktury publicznej i publicznego systemu edukacji, a następnie transferowania zysków do Luksemburga czy na Kajmany. Przywódcy skonfrontowani z tym faktem stają następnie przed swoimi krajowymi wyborcami i mówią, że nie mają innego wyjścia, jak zwiększyć obciążenia podatkowe. Nic dziwnego, że budzi to sprzeciw.

Da się skończyć z tym fatalizmem?

Rozwiązaniem jest wprowadzenie podatków dla miliarderów i milionerów. Dyskusja o sprawiedliwości fiskalnej nabiera dziś szczególnego znaczenia, kiedy dyskutuje się o zamrażaniu aktywów rosyjskich oligarchów. Ta debata wywołana przez wojnę w Ukrainie obnażyła hipokryzję Zachodu, który pozwolił oligarchom na okradanie ich własnego kraju i ulokowanie zysków w europejskich stolicach, a teraz poucza świat na temat demokracji, sprawiedliwości i praw człowieka. Trzeba skończyć z legalizowaniem unikania płacenia podatków przez najbogatszych – i to zarówno z przyczyn podyktowanych przez politykę wewnętrzną, jak i ze względów geopolitycznych. To nie rozwiąże wszystkich problemów gospodarczych, ale jest koniecznym punktem startu. Bez niego nie sposób bę-

dzie przekonać klasę średnią do zaakceptowania progresji podatkowej.

Do niezgody na niesprawiedliwe rozłożenie obciążeń podatkowych dochodzą też obawy przed zdławieniem aktywności gospodarczej.

Najważniejsza lekcja z historii nierówności jest taka, że rozwój gospodarczy nie wymaga skrajnych nierówności ekonomicznych, różnic między najgorzej a najlepiej sytuowanymi na poziomie 1:100, 1:200 czy 1:1000. W okresie najszybszego rozwoju i największej produktywności amerykańskiej gospodarki, czyli pomiędzy latami 30. a 80. ubiegłego wieku, podatek od najwyższych dochodów wynosił średnio 82 procent. To jakoś nie zniszczyło amerykańskiego kapitalizmu, wręcz przeciwnie. Historycznie rzecz biorąc, postęp gospodarczy zawsze szedł w parze z szerszym dostępem do edukacji i lepszymi zabezpieczeniami praw pracowników. Nie do wiary, że niektórzy o tym zapomnieli.

Czy wojna w Ukrainie może odegrać rolę rewolucyjnego impulsu dla większej równości?

Nie podzielam poglądu, że wojna jest „wielkim zrównywaczem”. Moja interpretacja historii jest inna, bardziej optymistyczna. W długiej perspektywie równość jest poszerzana dzięki budowaniu instytucji – systemów podatkowych, edukacji, zabezpieczeń społecznych. W niektórych przypadkach wojna zmienia klimat polityczny na przyjaźniejszy takim rozwiązaniom, ale nie zawsze tak jest, niekiedy czyni budowanie takich instytucji jeszcze trudniejszym. Nowy Ład w Ameryce był odpowiedzią na kryzys gospodarczy, a nie na wojnę, rewolucja francuska czy powstanie na Haiti były zaś zrywami społecznymi, a nie działaniami wojennymi.

A przysłowiowa Szwecja?

Jeśli przyjrzeć się zmianom zachodzącym w jednym z najbardziej socjaldemokratycznych i egalitarnych społeczeństw, to okaże się, że na początku XX wieku Szwecja była jednym z najmniej egalitarnych krajów na świecie. W pierwszej dekadzie XX wieku tylko 20 procent najzamożniejszych Szwedów mogło głosować, kobiety były pozbawione tego prawa, a wśród owych 20 procent liczba głosów również zależała od poziomu zamożności. Korporacje miały prawo głosu w wy-

borach lokalnych. Dzisiejsze ponadnarodowe korporacje mogą o takich przywilejach jedynie pomarzyć.

Skąd przyszła tam zmiana?

Ona nie dokonała się dzięki wojnom światowym, ale na skutek mobilizacji i samoorganizacji klasy pracującej, która jak na owe czasy była całkiem dobrze wykształcona. Kiedy szwedzcy socjaldemokraci wygrali wybory w 1932 r., wykorzystali cały system rejestracji dochodów, który wcześniej służył utrzymywaniu przywilejów wyborczych, do zbudowania systemu progresywnego opodatkowania. Oczywiście wielkie kryzysy, w tym wojny, mogą sprawić, że ludzie zmieniają swoje poglądy na kluczowe instytucje gospodarcze. Podczas kryzysu finansowego 2008 r. zaczęto np. inaczej myśleć o funkcji pełnionej przez banki centralne. Sama sytuacja stanu wyjątkowego nie wystarczy jednak, żeby wprowadzić zmiany. Konieczne jest celowe, kolektywne działanie.

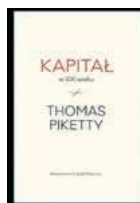
Dziś stoimy też przed kryzysem rosnącej inflacji.

Jeśli ma się niewielkie oszczędności, 10 czy 50 tysięcy złotych, to inflacja na poziomie 10 procent jest niczym dziesięcioprocentowy podatek. Najzamożniejsi lokują swoje oszczędności w akcjach czy nieruchomościach, nie tracą, a niekiedy wręcz się bogacą. Przypomina to podatek regresywny. Dostrzegam tu podobieństwo do sytuacji sprzed wybuchu rewolucji francuskiej. Dług publiczny Francji rósł wówczas znacząco, rosła też inflacja, a jednocześnie utrzymywano przywileje podatkowe dla arystokracji. System w którymś momencie się załamał i przywileje podatkowe dla arystokracji zostały zniesione. Myślę, że dziś stoimy przed podobnym punktem zwrotnym.

Wróćmy jeszcze do skutków wojny w Ukrainie.

Zachodni miliarderzy obawiają się, że jeżeli majątki rosyjskich oligarchów zostaną wydobyte na światło dzienne, to ich majątki również zostaną prześwietlone. Lista rosyjskich oligarchów objętych sankcjami przez Unię Europejską jest bardzo krótka, to ułamek rosyjskich majątków ulokowanych za granicą, które skatalogowaliśmy w World Inequality Database. Według naszych danych ich wartość wynosi około biliona euro,

NAJWAŻNIEJSZE KSIĄŻKI THOMASA PIKETTY'EGO



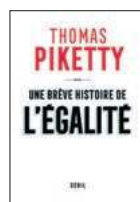
■ **Kapitał w XXI wieku**
Wydawnictwo Krytyki Politycznej, przekład Andrzej Bilik
Praca, która uczyniła autora intelektualną gwiazdą

globalnego formatu, ukoronowanie jego piętnastoletnich studiów. Wielowymiarowy obraz współczesnych i dochodowych, ale przede wszystkim analiza procesów gospodarczych i społecznych, które do nich doprowadziły. Dzieło na miarę klasyków myśli społecznej i ekonomicznej, w odróżnieniu od współczesnych, wąsko wyspecjalizowanych ekonomistów.



■ **Kapitał i ideologia**
Wydawnictwo Krytyki Politycznej, przełożyła Beata Geppert
Przeglądając się społeczeństwom stanowym,

właścicielskim czy gospodarkom opartym na pracy niewolniczej, Piketty pokazuje, jak przekonywano do tego, że fundamentalne nierówności są nieuchronne, korzystne i niezmiennie. Pokazuje też, w jakich warunkach te uzasadnienia przestawały być przekonujące i jak je unieważniano.



■ **Krótką historia równości**
Książka, która niebawem ukaże się po polsku, różni się od obu „Kapitałów” nie tylko o wiele mniejszą

objętością, która sugeruje, że mamy do czynienia po prostu z „brykiem z Piketty’ego”. Według autora ogromne nierówności, choć utrzymywały się w różnych formach przez wieki, nie tylko nie są nieuchronne, ale wręcz stoją w sprzeczności z dominującym procesem historycznym, jakim jest poszerzanie się równości, i ostatecznie przed nim ustąpią. Nie tylko najkrótsza, ale też najbardziej optymistyczna z jego książek.

jak na razie zamrożono z tego może 10-20 miliardów. Trudno powiedzieć, czy poważniejsze sankcje doprowadziłyby do zmiany władzy na Kremlu – reżim wszedł w tryb wojenny i głęboko się okopał. Ale niezależnie od tego miałyby znaczenie, byłyby jasnym sygnałem dla globalnej opinii publicznej, że celem nie są zwykli Rosjanie, ale beneficjenci reżimu.

Sprawiedliwość fiskalna ma więc też znaczenie geopolityczne.

Weźmy walkę z globalnym ociepleniem: 20 procent krajów globu odpowiada za mniej więcej 70 procent emisji dwutlenku węgla od początku rewolucji przemysłowej. W 2015 r. na szczycie w Paryżu kraje Zachodu zobowiązały się do wypłaty rekompensat z tego tytułu, ale nigdy tego nie zrobiły. W ubiegłym roku dyskutowano o podatkach nakładanych na wielkie korporacje, ale odbiorcami tych nowych wpływów podatkowych są wyłącznie kraje Północy. Jeśli tego nie zmienimy, nie możemy się dziwić, że kraje globalnego Południa będą oskarżać nas o hipokryzję. I że nie poprą nas w sprawie wojny w Ukrainie, tylko ochocko kupią tanią ropę od Rosji i przyjmą pomoc od Chin.

Chiny i Rosję trudno nazwać czempionami walki ze zmianami klimatu.

Oczywiście, Związek Radziecki wydatnie przyczynił się do niszczenia środowiska naturalnego, Rosja – też. Chiny to jednak nieco inny przypadek. Emisja dwutlenku węgla *per capita* wynosi w Chinach mniej więcej 8 ton, czyli tyle, co w Europie. Jednak do lat 90. XX wieku kraje Zachodu emitowały 15 ton *per capita*, a w Stanach w niektórych latach 20 czy nawet 25 ton *per capita*. Są dane, zgodnie z którymi Chiny osiągnęły już szczyt, jeśli chodzi o emisję, co oznaczałoby, że osiągną poziom dochodów *per capita* zbliżony do zachodniego bez przechodzenia przez fazę bardzo wysokich emisji. Oczywiście dziś dysponujemy innymi technologiami i większą wiedzą, ale historycznie rzecz biorąc, Zachód wzbogacił się kosztem planety i musimy wziąć to niechlubne dziedzictwo pod uwagę. Nie możemy dziś po prostu mówić krajom rozwijającym się, że nie mogą emitować zbyt dużo dwutlenku węgla. Szczególnie jeśli chcemy rywalizować o wpływy z Chinami. Rywalizacja ze

→ Związkiem Radzieckim w XX wieku sprawiła, że zachodnie elity zaakceptowały konieczność prospołecznych zmian gospodarczych. Rywalizacja z Chinami w XXI wieku może odegrać podobną rolę.

Transformacja w stronę zielonej gospodarki budzi jednak podobne obawy, co progresywne opodatkowanie – mniej zamożni obawiają się, że odbędzie się ich kosztem, choćby ze względu na wyższe ceny energii, podczas gdy najzamożniejsi odpowiadają za największą część emisji dwutlenku węgla.

Dane o emisjach dwutlenku węgla, które zgromadziliśmy w ramach World Inequality Database, pokazują ogromne nierówności w emisjach nie tylko pomiędzy Północą a Południem, ale również w obrębie Północy i Południa. W krajach Europy najmniej zarabiające 15 procent społeczeństwa emituje dwutlenek węgla na poziomie nieprzekraczającym 5 ton *per capita*. To oczywiście wciąż za dużo, ale odpowiada celom emisji, jakie UE postawiła sobie do 2050 r. Problemem jest to, że najzamożniejsze 10 procent emituje 35-30 ton, a najzamożniejszy 1 procent 100 do 200 ton. Rozwiązania polegające na proporcjonalnej redukcji emisji nie zadziałają, wywołają ogromne protesty.

Populisci je wykorzystują?

Domaganie się większej redukcji dla emitujących dziesięciokrotnie czy dwudziestokrotnie więcej dwutlenku węgla nie jest populizmem, to racjonalny postulat. Sądzę, że kiedy skutki globalnego ocieplenia staną się jeszcze bardziej widoczne, nastroje szybko się zmienią i będzie o wiele mniej przyzwolenia na elitarystyczne myślenie. Nie umiściliśmy jeszcze równości w centrum naszego myślenia o zmianach klimatycznych, bo nadal rządzą nami lęki wywołane przez konfrontację Zachodu ze Związkiem Radzieckim. Boimy się, że redystrybucja nie będzie miała granic i doprowadzi nas ostatecznie do Gułagu. Rozumiemy te obawy, ale sądzę, że powinniśmy pokładać więcej wiary w demokrację.

© Rozmawiał PAWEŁ MARCZEWSKI

Nieśmiali rewolucjoniści

JAN BŁASZCZAK

Na koncertach patrzyli w podłogi, w studiu nagrań niepewni swoich głosów ukrywali je za potężnymi dźwiękami gitar. Ciężko pracowali na wizerunek niechcianych introwertyków. Wracają!

PIERWSZYM TAKIM ZESPOŁEM, JAKI USŁYSZAŁEM, BYŁ SLOWDIVE. W sklepie trafiłem na składankę „Catch the Breeze”, która dawała wgląd w niezwykle historię grupy. Wydawnictwo było warte swojej ceny nie tylko dlatego, że z miejsca poszerzyło moje muzyczne horyzonty. Okazało się, że znacznie poszerzyło też przestrzeń mojego rodzinnego M3. Zanim jeszcze muzyka Brytyjczyków uwiodła mnie pięknymi melodiami, ujęła brzmieniem i zafascynowała eksperymentatorskim zacięciem, obezwładniła mnie przestrzeń, w jakiej się rozgrywała. Nałożone na siebie ścieżki gitar, pnące się bez końca pogłosy i echa, którymi powracał śpiew Rachel Goswell i Neila Halsteada, zdawały się pompować wypełnioną tlenem przestrzeń do mojego pokoju.

Za każdym razem, gdy włączałem „Catch the Breeze”, moje kilka metrów kwadratowych w bloku rozrastało się do wymiarów gotyckiej katedry.

Obelga

Muzyka Slowdive czerpała z wielu źródeł. Miała rytmiczny nerw, eteryczne partie wokalne, mroczną gotycką aurę i gitarowy trans – znane z najciekawszych nurtów wyspiarskiej sceny lat 80. Shoegaze nie był jednak tylko ich prostą syntezą. Tak, czerpał z wielu innych źródeł; po drugie – sam odkrywał nowe łądy. Można się o tym przekonać, uczestnicząc w OFF Festiwalu, który niemal co roku ściąga do Katowic największe gwiazdy tej sceny. Cieszą się sympatią dyrektora artystycznego festiwalu Artura Rojka, ale spotykają się też z bardzo ciepłym przyjęciem ze strony publiczności. Występowali tu już Slowdive, My Bloody Valentine, Lush i The Jesus and Mary Chain. W piątek, 5 sierpnia, grupa Ride przypomniał na festiwalu „Nowhere” – swój kultowy debiutancki album z 1990 r.

Aż trudno uwierzyć, że definiujący tę scenę termin „shoegaze” został wymyślony jako zniewaga.

– Przedstawiciele branży muzycznej mieli wtedy to do siebie, że lubili się nasmiewać z grup, które nie przypadły im do gustu – wspomina Miki Berenyi, wokalistka i gitarzystka zespołu Lush. – Na koncercie grupy Moose dyrektor Food Records, Andy Ross, krzyknął nagle, że to jest okropna muzyka studenciaków, którzy stoją jak kołki i gapią się na swoje buty. Wśród publiczności było kilku dziennikarzy i jeden z nich to podłapał. Przez długie lata traktowaliśmy ten termin jako obelgę.

Simon Scott, perkusista grupy Slowdive, przyznaje, że niezależnie od intencji Rossa termin „shoegaze” nieźle oddaje sceniczną prezencję zespołów posługujących się masą poukładanych gitarowych efektów: – Mam wrażenie, że te negatywne skojarzenia pojawiły się później. Początkowo prasa była przychylna. Krytycy entuzjastycznie się debiutem Lush, a nasze pierwsze trzy single były piosenkami tygodnia według magazynów „NME” i „Melody Maker”. Ale fakt, to ciepłe przyjęcie nie trwało długo.

Wokalista grupy Chapterhouse, Andrew Sherrieff, jest bardziej lapidarny: – Brytyjskie media najpierw nas kochały, a potem nienawidziły. Przecież nigdy nie bawiły się w półśrodki.

Chowanie głosu

Za pierwszy shoegaze’owy album uznaje się z reguły „Psychocandy” – debiut szkockiej grupy The Jesus and Mary Chain. Grupa braci Reidów grała krótkie, obłędnie głośne i prowokujące rozróby koncerty, ale w studiu przesterowane ściany gitarowego łomotu kontrolowała rozmarzonymi i zaskakująco przyjemnymi melodiami. Wydane w 1985 r. „Psychocandy” stało się drogowskazem dla grup,



MATERIAŁY PRASOWE

Grupa Ride – materiał z filmu dokumentującego 30-lecie debiutanckiego albumu „Nowhere”. Studio Moment House, 2020 r.

które dziennikarze będą określać shoe-gaze'owymi.

Grupy łączyło balansowanie pomiędzy punkrockowym zgiełkiem a popową zwiewnością. Do tego dochodziła masa gitarowych efektów oraz tendencja, by partie wokalne chować głęboko.

– Zarówno ja, jak i Emma Anderson nie byliśmy pewne swoich głosów – wspomina Berenyi. – Nie chciałyśmy zanadto ich eksponować, więc w Lush wszystko inne było podkreślone na maksa. Rozmywaliśmy nasze wokale, nakładaliśmy na nie kolejne ścieżki, a ja nalegałam, by jeszcze trochę zagłuszyć mnie gitarą. Obłąd, nie? Bardzo możliwe, że gdybym była lepszą wokalistką, brzmiałoby to zupełnie inaczej.

Slowdive traktowali głos jak instrument z identycznych pobudek. Inna sprawa, że pozostali przy takim rozwiązaniu nawet wówczas, gdy Goswell i Halstead poczuli się pewniej w swoich rolach: – Podobało nam się, jak space-rockowe zespoły nakładały na głos różne efekty, by ten lepiej wklejał się w transowy hałas. Dzięki temu słuchacz mógł pełniej zanurzyć się w muzyce. Do tego

dochodziła jeszcze pociągająca niejasność, nieokreśloność. Kiedy słuchasz My Bloody Valentine, masz trudność nie tylko z odszyfrowaniem tekstów śpiewanych przez Kevina i Bilindę, ale nawet z ustaleniem, którego z nich słuchasz.

Takie podejście wpisywało się w medialny wizerunek shoegaze'u jako twórczości zakłopotanych introwertyków, ale miało też inny, bardziej namacalny wpływ na charakter tej muzyki. Podczas gdy piosenki większości rockowych zespołów wypełniały przede wszystkim wokale i bębny, ich dźwiękowy pejzaż miał zupełnie inne proporcje. Muzycy chętnie wykorzystywali te możliwości, eksperymentując w studiu. Producentem, który miał największy wpływ na brzmienie tej sceny, był niewątpliwie Robin Guthrie z ukochanego w Polsce zespołu Cocteau Twins.

– Nagrywanie z nim to była dobra zabawa, ale też spory stres – wspomina Sherriff. – W końcu śpiewałem przed człowiekiem, który przywykł do pracy z Elizabeth Fraser.

Z jednej strony przemawia przez niego charakterystyczna dla tej sceny skrom-

ność, z drugiej ma rację – nikt przecież nie śpiewa jak Elizabeth Fraser.

Wizjonerzy i egoiści

O scenie shoegaze pisano, że celebrytuje sama siebie. Co mogło być nawiązaniem do koncertowego wizerunku tych zespołów. Znaczyło to jednak również, że ich środowisko nie oglądało się na innych. Wiele zespołów działało spontanicznie, podejmując artystyczne decyzje bez żadnych kalkulacji.

– Grałam na dwunastostrunowej gitarze nie dlatego, że zespół uznał, że takiej właśnie potrzebujemy – wspomina Berenyi. – Grałam na niej, bo pomyślałam, że taka gitara to fajna sprawa.

Inne grupy świadomie nagrywały płyty w kontrze do oczekiwań wytwórni. Ryzykując swój status, a nierzadko i kontrakt.

– Nigdy nie interesowało nas to, czego oczekuje od nas wydawca – przyznaje Scott. – I może to nie jest najlepsza metoda, by zaistnieć na rynku, ale nas to po prostu nie interesowało. Nie wiem, czy to świadczy o naiwności czy raczej egoizmie.



→ Symbolem parcia pod prąd stała się druga płyta grupy My Bloody Valentine. Nagrywając „Loveless”, lider zespołu Kevin Shields zapędził się w rejony eksplorowane wcześniej chyba jedynie przez genialnego lidera The Beach Boys – Briana Wilsona. Tak jak on, potrafił nagrywać pojedynczy utwór latami, zatrudniając przy tym kolejnych dźwiękowców i wynajmując dziesiątki różnych studiów nagraniowych. Szukający nowych dróg dla muzyki gitarowej, zafiksowany na detalach i nieprzejednany w swoich wizjach, Shields stworzył dzieło, które wstrząsnęło nie tylko budżetem wytwórni Creation, ale także muzyką rockową. W swoich wspomnieniach lider punkrockowej grupy Hüsker Dü, Bob Mould, nazwał pierwszy seans z „Loveless” religijnym doświadczeniem. A sam album – dziełem, o którym myślał, że nigdy nie powstanie.

Choć efekty poszukiwań innych shoegaze’owych zespołów nie były aż tak spektakularne, to one również chętnie wyprawiły się w nieznanne. Jej echa słychać w twórczości producentów muzyki elektronicznej, zespołów blackmetalowych, a nawet hip-hopowych składów. Utwory Shieldsa oraz The Jesus and Mary Chain budowały nastroj filmu „Między słowami” Sofii Coppoli. Co mogłoby stanowić ukoronowanie tej sceny, gdyby nie fakt, że w 2003 r. (premiera filmu) dawno już jej nie było.

Biali, głośni mężczyźni powracają

– W 1992 r. nasz album „Spooky” radził sobie świetnie zarówno w Wielkiej Brytanii, jak i w USA, ale kilka lat później taka liczba sprzedanych egzemplarzy nie robiłaby już na nikim wrażenia – wspomina Berenyi. – Ekspłodował grunge. Pojawili się Oasis i Stone Roses. Skala zupełnie się zmieniła.

Nie chodziło tylko o liczby, ale także o wizerunek rockowego zespołu, który przeszedł potężną metamorfozę. Introwertyczni studenci i nieśmiałe wokalistki stali na antypodach mody, która miała przynieść rynkowi muzycznemu wielkie bogactwo.

– Kiedy w 1992 r. wszyscy oszaleli na punkcie Nirvany, uwaga mediów przekierowała się w stronę grunge’u – wspomina Scott. – Nagle młode brytyjskie zespoły zaczęły pielgrzymować do Stanów i zapuszczać włosy. W krótkim czasie

W połowie lat 90. shoegaze po prostu wyparował ze scen.

Część muzyków zasilila składy zespołów reprezentujących inne gatunki muzyczne. Pozostałym przydały się wytykane im w mediach ukończone studia.

rynek zupełnie stracił zainteresowanie tym, co mieliśmy do zaoferowania.

Problemem nie była muzyka, ale siła, z jaką dokonał się ten zwrot. Wyglądało to tak, jakby muzyka rockowa cofnęła się nagle do lat 70. Do czasów, gdy pięciu facetów na scenie odkurza pozy ze starego rockowego podręcznika.

Berenyi: – Ta scena stała się nagle nie tyle bardzo męska, ale wręcz męczy-stowska. Współczułam wielu chłopakom z shoegaze’owych zespołów, o których nagle zaczęto pisać, że są zniewieściami. Że to są przegrywy, bo wzorem męskości w muzycznych mediach stał się chuligan, najlepiej w koszulce drużyny footballowej. Nagle wszystko musiało być mięsne i męskie, białe i głośne. Nie mam nic przeciwko, ale zostawcie nam trochę miejsca, dobra?

Nie zostawili. A przynajmniej nie szybko.

Shoegaze i Gen Z

W rezultacie zmian na rynku muzycznym w połowie lat 90. shoegaze po prostu wyparował. Doświadczenie zaawansowanej pracy studyjnej przydało się wielu jego twórcom, którzy odnaleźli się jako realizatorzy nagrań, autorzy mikśów i masteringów. Takiej pracy podjęli się Scott, Sherriff czy wokalista Ride – Mark Gardener. Część muzyków zasilila składy zespołów reprezentujących inne gatunki muzyczne. Pozostałym przydały się wytykane im w mediach studia.

Sytuacja wokół shoegaze’u zaczęła się zmieniać dopiero na początku XXI wieku za sprawą młodych zespołów próbujących wskrzeszać to brzmienie. Większość grup z fali nazwanej z czasem nugaze nie miało do zaoferowania wiele ponad czołobitną wtórność. Zdarzały się jednak i ta-

kie, które wykorzystywały echa, pogłosy i inne znajome zabiegi kompozytorskie w innym brzmieniowo kontekście.

Naprawdę głośno o shoegaze’ie stało się jednak dopiero wraz z pojawieniem się pogłosek o powrocie My Bloody Valentine, do którego doszło ostatecznie w 2008 r. Pięć lat później ukazał się wy-czekiwany następca „Loveless”, album „m b v”. Shields dał sygnał pozostałym zespołom. W 2014 r. na scenę powrócili Ride i Slowdive, rok później z koncertami ruszył Lush.

– Mieliśmy w planach zagrać dwa koncerty na rozgrzewkę, po czym wystąpić na festiwalach w Porto i Barcelonie. I tyle. Nie mieliśmy większych oczekiwań. Okazało się, że w Hiszpanii słuchało nas 25 tysięcy osób. Ludzie przylecieli z Japonii i Argentyny. Posypały się kolejne zaproszenia. Na fali tego wszystkiego postanowiliśmy napisać kilka piosenek. Zainwestowaliśmy pieniądze zarobione na tych kilku koncertach i nagraliśmy album „Slowdive”. Ruszyliśmy z nim w trasę i okazało się, że nie tylko sprzedaliśmy bilet, ale kupili je ludzie, którzy mogliby być naszymi dziećmi.

Berenyi przyznaje, że sensacyjny powrót Slowdive był jednym z powodów, dla których zdecydowali się reaktywować Lush: – Nie miałam kont w mediach społecznościowych, ale pewnego dnia zadzwoniła do mnie Emma i powiedziała: „Wiesz, to zabawne, wygląda na to, że jest całkiem sporo osób, które wciąż lubią nasz zespół”. Myślałam, że ze mną pogrywa.

Po serii koncertów Berenyi zwróciła uwagę na bardziej przychylne nastawienie mediów i wysoki odsetek młodzieży na ich koncertach: – Być może dla pokolenia mówiącego o płynnej seksualności i kwestionującego tradycyjne role płciowe niedookreślony, antymaczystowski shoegaze okazuje się pociągający?

W czasie pandemii w sieci pojawiały się kolejne artykuły na temat rosnącej popularności shoegaze’u, jego zaskakującej obecności w nagraniach publikowanych przez młodych tiktokerów.

Berenyi: – Po koncertach chętnie rozmawiamy z tymi dziećmiakami i okazuje się, że nasze piosenki do nich przemawiają. Dlatego nagrywamy dalej. Jeszcze tego lata skończymy prace nad kolejnym albumem. Jak się nad tym zastanowić, to wszystko zakrawa na jakiś cud. Skąd oni nas wytrzasnęli? © JAN BŁASZCZAK



Obrazy kolektywu Taring Padi, documenta 15 w Kassel

Nasza stodoła

TEKST I ZDJĘCIA PIOTR KOSIEWSKI Z KASSEL

Tym wystawom zawsze towarzyszyły ostre dyskusje i spory. Jednak w tym roku doszło do prawdziwej politycznej burzy. Czy istnieją granice dialogu między szeroko rozumianym Zachodem a resztą świata?

ORGANIZOWANE CO PIĘĆ LAT OD 1955 R. documenta są jednym z najważniejszych wydarzeń poświęconych sztuce współczesnej: przykuwają uwagę krytyków i mediów, ale też bardzo licznej publiczności – poprzednie obejrzało blisko 900 tys. osób (i dodatkowo ponad 300 tys. w Atenach, w których wyjątkowo zorganizowano równoległe pokazy).

Przygotowanie tegorocznej, piętnastej już wystawy w niemieckim Kassel powierzono indonezyjskiemu kolektywowi ruangrupa, który zaproponował ra-

dykalną zmianę. Zrezygnowano z kuratorskiej formuły, w której cała wystawa powstaje według jednej wizji. Ruangrupa zaprosiła 67 uczestników i uczestniczek, w przeważającej mierze też kolektywów. Większość z nich pochodzi z globalnego Południa, wszyscy otrzymali własny budżet i przestrzeń do dyspozycji z możliwością samodzielnego ustalenia sposobu jej wykorzystania. Mogli też dobrać kolejnych uczestników. Ostatecznie trudno powiedzieć, ile osób bierze udział w tegorocznej wystawie – mówi

się o ok. 1500 artystów. Przez sto dni trwania documenta nieustannie zmienia się też to, co można zobaczyć w poszczególnych miejscach imprezy.

Decentralizując i demokratyzując sposób przygotowania wystawy, całkowicie pomijając też komercyjny wymiar sztuki, ruangrupa podważyła dotychczasowy model funkcjonowania nie tylko tej imprezy, ale w ogóle wielkich przeglądów sztuki. Co istotne, sama grupa nie mówi o documenta 15 jako o wystawie, lecz o interdyscyplinarnej platformie sztuki i kultury: „Nasze podejście kuratorskie ma na celu inny rodzaj opartego na współpracy modelu wykorzystania zasobów – ekonomicznych, ale także pod względem pomysłów, wiedzy, programów i innowacji”.

Rezygnacja

Jednak to nie zaproponowany sposób myślenia o sztuce oraz model jej prezentacji wywołał spór wokół documenta 15, lecz polityczne treści na nich obecne. Jeszcze przed otwarciem imprezy zwracano uwagę na to, że wśród członków

→ ruangrupy są zwolennicy BDS (*Boycott, Divestment and Sanctions*), ruchu na rzecz bojkotu Izraela za łamanie międzynarodowego prawa w imię solidarności z Palestyńczykami, uznawanego przez niemieckie władze za antysemicki. Jednak skandal wybuchł dopiero na otwarciu. Na Friedrichsplatz, w samym centrum Kassel, zawieszono wielki obraz-baner „People’s Justice” („Ludowa sprawiedliwość”) indonezyjskiego kolektywu Taring Padi. Chociaż powstał w 2002 r., dopiero teraz zauważono, że znalazły się na nim przedstawienia niemalże wprost zaczerpnięte z propagandowych antysemickich karykatur.

Praca Taring Padi wywołała oburzenie społeczności żydowskiej w Niemczech. Zaprotestowali tamtejsi politycy, a o sprawie pisały wszystkie ważne, nie tylko niemieckie media. Ostatecznie praca została usunięta. Kolektyw tłumaczył, że ich dzieło było elementem kampanii przeciwko militarystyce i przemocy w czasach dyktatury wojskowej Suharto w Indonezji oraz przeciw jego dziedzictwu. Nie zakończyło to jednak sporu i żądań o pociągnięcie do odpowiedzialności osób odpowiedzialnych za imprezę. Ostatecznie 15 lipca Sabine Schormann, dyrektor generalna documenta, ogłosiła swoją rezygnację.

Kolektyw Taring Padi w wydanym oświadczeniu pisze, że usunięta za jego zgodą praca stała się „pomnikiem załoby po niemożności dialogu w tej chwili”. I dodał: „Mamy nadzieję, że ten pomnik będzie punktem wyjścia do nowego dialogu”. Zaproszenie ruangrupy do przygotowania documenta miało pozwolić na lepsze poznanie i zrozumienie globalnego Południa, jego wrażliwości i sposobów myślenia. Tymczasem spór o „People’s Justice” dobitnie pokazał, jak wiele dzieli Zachód (lub, jak kto woli, Północ) od reszty świata, jak odmiennie jest postrzegana zarówno przeszłość, jak i teraźniejszość. Dotyczy to nawet takich kwestii jak antysemityzm – członkowie Taring Padi podkreślają, że nie zdawali sobie sprawy z tego, jak mogą zostać odebrane ich przedstawienia na Zachodzie/Północy.

Czynności

Kontrowersje nie unieważniają pytań związanych z kluczowym problemem: dziedzictwa kolonializmu, tego, jak wpływa ono na współczesność państw



Po lewej:
Richard Bell,
*How to Launch
a Book*, 2022 r.

Poniżej:
Baan Noorg
*Collaborative Arts
and Culture – rampa
do jazdy na deskorolce
na tle muralu
autorstwa
Chayachhobi*, 2022 r.

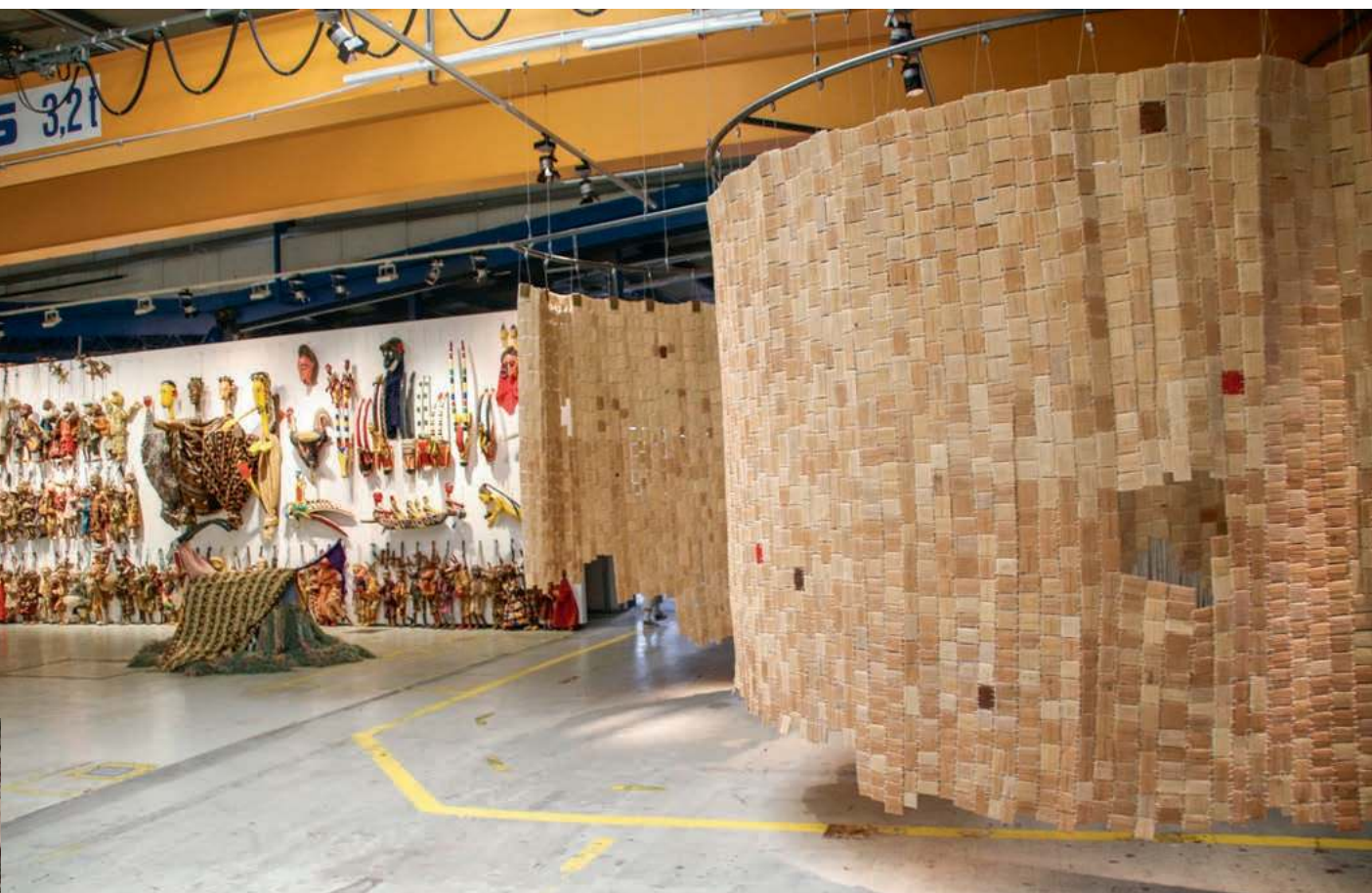
Po prawej:
Losso Marie Ange
Dakouo (*Fondation
Festival sur le Niger*),
AND Collectif, 2012 r.
W tle praca Yaya
Coulbaly (*Fondation
Festival sur le Niger*),
The Wall of Puppets,
2022 r.



pokolonialnych, na nierówności, sytuacje mniejszości czy na kryzys klimatyczny. Jörg Häntzschel i Catrin Lorch na łamach „Süddeutsche Zeitung” przestrzegali, że tegoroczne documenta „w dającej się przewidzieć przyszłości uczyniły prawdziwy dialog między kulturami niezwykle trudnym”. Jednak sprowadzenie całej tegorocznej imprezy do jednego dzieła sprawia, że nie dostrzega się tego, co opowiada się tutaj o świecie, który jest nadal z europejskiej perspektywy słabo znany.

Na poważne potraktowanie zasługuje też model przygotowania samej imprezy.

W tytule tegorocznych documenta znalazło się słowo *lumbung* – dosłownie oznacza ono stodołę, w której przechowywano ryż. Jednak nie tylko o budynek chodzi, lecz o sposób działania przyjęty w indonezyjskich wsiach: plony są przechowywane jako wspólny zasób całej wspólnoty i dzielone według ustalonych przez nią zasad. Ruangrupa proponowała, by w podobny sposób potraktować documenta: jako miejsce, w którym gromadzi się doświadczenie, wiedzę i dorobek wypracowane przez różne inicjatywy czy poszczególne osoby, poszukiwać tego,



co wspólne, oraz prezentować wszystkich na równych prawach.

Jednak *lumbung* jako zasada czy filozofia działania nie ogranicza się do sposobu przygotowania jednej imprezy, lecz odnosi się do zasad tworzenia i współpracy. Jest propozycja innego sposobu funkcjonowania artystów czy – szerzej – aktywistów, w którym kładzie się nacisk na wspólnotowość, a nie indywidualną kreację. Wiąże się z tym wreszcie inne rozumienie funkcji sztuki i samego artysty.

Tegoroczne *documenta* nie tylko zostały rozproszone – trafiły także do dzielnic, w których dotąd nie były obecne – ale też położono nacisk na to, by wystawienicze przestrzenie stały się przede wszystkim miejscem spotkań, dyskusji, koncertów i wymiany doświadczeń. Wszystko po to, by, jak podkreśla ruangrupa, udało się zakorzenić praktyki artystyczne w życiu codziennym.

Brazylijka Graziela Kunsch w historycznym gmachu Fridericianum otworzyła publiczny żł obok zainspirowany ideami XX-wiecznej węgierskiej pediatry Emmi Pikler. W położonym tuż obok budynku *documenta*-Halle tajlandzki kolektyw Baan Noorg zbudował

rampę do jazdy na deskorolce. Chińska grupa BOLOHO zamieniła dawną przyfabryczną stołówkę w kawiarnię w stylu kantońskim, w której jedząc obiad można jednocześnie oglądać nakręcony przez nich sitcom. Natomiast wietnamski kolektyw *Nhà Sàn* urządził w centrum miasta ogród, w którym wspólnie można uprawiać rośliny. Czy w Kassel mamy rzeczywiście do czynienia ze sztuką, czy z aktywizmem społecznym?

Agitacje

Krytyk Kabir Jhala na łamach „The Art Newspaper” przekonuje, że na *documenta 15* „kwestie etyki przyćmiewają kwestie estetyki, a linie oddzielające sztukę od praktyki społecznej uległy niemalże całkowitemu rozmyciu”. Rzeczywiście tegoroczna edycja przypomina atlas dobrych praktyk aktywistycznych, będących pożywką dla wyobraźni obywatelskiej, ale dla widza, który nie uczestniczy w tych warsztatach czy spotkaniach, ich oglądanie może być przecież nużącym doświadczeniem. Warto jednak ponieść ten wysiłek, bo wiele zaprezentowanych działań pokazuje, jak można skutecznie lokalnie odpowiadać na pro-

blemy dzisiejszego świata, by przywołać przykład Wakaliga Uganda, studia filmowego założonego w slumsach Kampali, gdzie powstają pełne humoru, cieszące się popularnością filmy, a jednocześnie oferuje się pracę nastolatkom zagrożonym przemocą, alkoholem i narkotykami.

Bo z punktu widzenia ruangrupy dylemat „sztuka czy aktywizm społeczny?” jest pozorny. Ważna jest twórczość, która jednocześnie jest formą skutecznej aktywności. Dobrym przykładem jest właśnie sprawca skandalu, kolektyw Taring Padi. Założony w 1998 r. przez grupę studentów i aktywistów sztuki, powstał w czasie kryzysu politycznego i gospodarczego, jaki ogarnął wtedy Indonezję i wymusił rezygnację prezydenta Suharto, autorytarnie rządzącego tym krajem od ponad 20 lat. W kolejnych latach kolektyw reagował na bieżące problemy, m.in. promował uczciwe wybory powszechne, protestował przeciwko korupcji, występował w obronie praw człowieka. Choć „People’s Justice” została usunięta z *documenta 15*, to w Kassel można zobaczyć inne ich prace. Teren dawnej pływalni Hallenbad Ost i okoliczne trawniki →

→ zapełniły wielkoformatowe obrazy, plakaty oraz niezwykle papierowe lalki naturalnej wielkości. Ekspresyjne, odwołujące się do bardzo różnych tradycji i przypominające o długiej historii sztuki zaangażowanej, agitującej, niebojącej się politycznego przekazu.

Podobnych przykładów aktywności politycznej łączącej się z powstawaniem ciekawych dzieł jest na *documenta* 15 znacznie więcej: od Kuby po Australię (w centrum Kassel stoi namiot, w którym mieści się Ambasada Aborygenów przedstawiająca problemy tej społeczności). Do udziału zaproszono także OFF-Biennale Budapeszt, powstała w 2014 r. niezależną inicjatywę, alternatywną dla publicznych instytucji przejętych na Węgrzech przez rządzący Fidesz. Jego twórcy udostępniłi część oferowanej im przestrzeni grupie romskich artystów i kuratorów. W tym przypadku zasada *lumbung* doskonale się sprawdziła. Wystawa pod hasłem „Roma-MoMA” (Romskie Muzeum Sztuki Współczesnej) nawiązuje do idei instytucji, w której ta twórczość zostałaby uznana za część sztuki, a nie etnografii.

Jaka będzie przyszłość imprezy w Kassel? Przyjmując rezygnację dotychczasowej dyrektorki rada nadzorcza podkreśliła, że należy zrobić wszystko, by odbudować zaufanie do tej imprezy podkopane antysemickim skandalem. Jednak problem jest poważniejszy i dotyczy przyszłej formuły *documenta*, która z natury rzeczy będzie oddziaływała na globalny obieg sztuki. Czy są uniwersalne granice, których nie wolno nam przekroczyć?

© PIOTR KOSIEWSKI

Współpraca ROBERT ZAKRZEWSKI

Impreza potrwa do 25 września br.

**RADIO
KRAKÓW**

Co wtorek o godz. 14.30
na antenie Radia Kraków
goszczą dziennikarze

„Tygodnika Powszechnego”. Stuchaj nas
w Małopolsce: Kraków – 101,6 FM
Zakopane – 100,0 FM | Andrychów – 98,8 FM
Nowy Sącz – 90,0 FM | Gorlice – 97,4 FM
Krynica Zdrój – 102,1 FM | Tarnów – 101,0 FM
Rabka Zdrój – 87,6 FM | www.radiokrakow.pl

MATERIAŁY PRASOWE



Rakel Lenora Fløttum jako Ida w filmie „Niewiniątka”, 2022 r.

Plac zabaw

ANITA PIOTROWSKA

„Niewiniątka” są dziełem jednocześnie dyskretnego psychologa i wprawnego rzemieślnika, który wie, jak wywołać gęsią skórę w biały dzień.

DZIECI SĄ JAKIEŚ DZIWNE. NIE WIADOMO, co lęgnie się w ich głowach i do czego bywają zdolne. Ich domniemana niewinność staje się idealnym poletkiem dla morderczej walki dobra ze złem. Na dodatek przez cienką jeszcze warstwę kultury silniej przebija to, co pierwotne. Łatwiej też kontaktują się z tym, co uchodzi za paranormalne. Pewnie dlatego taką ekscytację wyzwała podgatunek horroru o demonicznych milusińskich, poczynając od klasycznych już „Egzorcysty” i „Omenu”, skończywszy na bardziej współczesnym „The Ring – Krąg”, „Widzę, widzę” czy „Pozwól mi wejść”. Zazwyczaj im bardziej swojska wydaje się scenografia, im słodsze (na pierwszy rzut oka) są dzieciaki, tym bardziej powieje zaraz grozą. I tę regułę doprowadzają właśnie do perfekcji „Niewiniątka”. Psychomachia toczy się bez większych efektów specjalnych na schludnym skandynawskim blokowisku.

Od początku czuje się, że ów dreszczowiec wyszedł spod ręki społeczno-obyczajowego realisty. Eskil Vogt zasłynął jako autor scenariuszy do melancholijnych,

choć mocno trzymających się ziemi filmów Joachima Triera: „Oslo, 31 sierpnia”, „Głośniej od bomb” czy „Najgorszy człowiek na świecie”, aczkolwiek już we wcześniejszej „Thelmie” widoczny był skręt w zupełnie inne rejony. Norweg okazał się mistrzem w dawkowaniu wieloznaczności i tajemnicy. Kiedy teraz samodzielnie staje za kamerą, konsekwentnie buduje przestrzeń, w której coś niepokojącego i niepochwytne czai się za rogiem, mimo że dekoracje wydają się banalne. Gdy dziesięcioletnia Ida przeprowadza się z rodziną do nowego mieszkania, jest to również doskonała okazja, by zanurzyć się w wielopoziomowej obcości i z niej wykreować mroczny świat na opak. Nie przypadkiem w jednej z pierwszych scen Ida zawisa na osiedlowym trzepaku i ogląda przez chwilę odwrócony krajobraz.

Już na samym początku, przy dźwiękach zabawkowego pianina, podróżujący samochodem płowowłosej aniołek robi bardzo brzydką rzecz, podszczypując swoją starszą siostrę z widoczną niepełnosprawnością umysłową. Tak, dzieci bywają potworami, ale za chwilę dowiadujemy się, iż dotknięta głębokim autyzmem Anna właściwie nie odczuwa bólu i dlatego nigdy nie płacze. Równocześnie jej inność okazuje się przyczyną siostrzanego wstydu i może zachęcać do niecných eksperymentów. Po tym, jak Ida zaprzyjaźnia się na podwórku z innym samotnikiem, Benem, gęsta atmosfera filmu każe odliczać minuty, aż dzieciaki zaczną testować granice swojej władzy. Na rozdeptywaniu dżdżownicy i męczeniu kota raczej się nie skończy.

Vogta nie interesują jednak znane nam skądinąd „zakazane zabawy”. Mimo scenarii podobnej do okrutnego (także dla widza) „Placu zabaw” Bartosza M. Ko-



walskiego „Niewiniątka” nie są kolejnym studium nagiego zła bez wyraźnej przyczyny. Reżyser wkracza na terytorium horroru, bo tam znajduje ciekawsze pole do eksploracji dziecięcych fantazji, lęków i zachowań. Z natury swej irracjonalnych, ale tu uzbrojonych jeszcze w nadprzyrodzone moce. Ujawniają się one znienacka i jakby mimochodem. Ida, Anna, Ben oraz ich cierpiąca na bielactwo sąsiadka Aisha to grupa podwórkowych odmieńców. Telekineza czy telepatia pozwala im przejąć kontrolę nad światem, tym dorosłym i tym rówieśnym, wypracować tajny kod porozumienia, przezwyciężyć dotychczasową niemoc, widzieć i czuć więcej. Lecz choć pewnego dnia nastąpi cud i niema dotąd Anna zacznie mówić, okaże się, że dziecięce supermoce potrafią nie tylko uzdrawiać. Dar sterowania cudzymi umysłami dla niektórych rychło okaże się przekleństwem.

Wytrawnie rozgrywa Vogt ów pojedynek sprzecznych sił. Toczy się on na twarzach, w spojrzeniach, w pojedynczych odgłosach. Horror wyrosły z codzienności odzywa się w dzwonku do drzwi, trzaskaniu drzwi, w nagłym brzęku pokrywki; dźwiękowcy Gisle Tveito i Gustaf Berger otrzymali za te osiągnięcia Europejską Nagrodę Filmową. I nie potrzeba starych nawiedzonych domostw, złe bowiem równie dobrze czai się w blokowej piwnicy (to wiadomo), na klatce schodowej, a nawet w dziecinnyim pokoju. Skradająca się kamera każe widzieć zagrożenie również w funkcjonalnej topografii osiedla. Finałowy fragment, kiedy na gwarnym placu zabaw za chwilę ma zdarzyć się coś strasznego, stanowi esencję stylu „Niewiniątek”, powściągliwego i zarazem uruchamiającego wyobraźnię.

Być może największą grozą jest tutaj dziecięca samotność – w rodzinie i pod blokiem. Bez jakiegokolwiek moralizowania i paroma ledwie rodzajowymi kreskami zarysowano trzy różne sytuacje domowe. Bo opętanie rodzi się i promieniuje przede wszystkim tam, gdzie brakuje miłości, uwagi, minimalnego poczucia komfortu. Najświętsza z więzi – między dzieckiem a rodzicem – ulega pogwałceniu w tych mieszkaniach, w których od dawna zagnieździła się jakaś dysfunkcja. Jednakże Vogt odmawia wchodzenia w buty nadgorliwej opieki społecznej. Oczyszczanie ze zła odbywa się poprzez rzeźbienie w gatunku i oszczędne gospodarowanie słowem, z maksymalnym wykorzystaniem gramatyki języka filmowego.

Stąd „Niewiniątka” są dziełem jednocześnie dyskretnego psychologa i wprawnego rzemieślnika, który wie, jak wywołać gęsią skórę w biały dzień. Odmierza grozę niespiesznie i miarowo, niczym dziecko pstrykające pęcherzykami z folii bąbelkowej, którą Ida bawi się tuż po przeprowadzce. Momentami bywa w tym cyzelowaniu atmosfery na zbyt ostentacyjny, potrafi za to świetnie prowadzić dzieciaki, zwłaszcza Rakel Lennor Fløttum w roli głównej. Mali aktorzy wiedzą, na czym polega balans między łobuzowaniem, nawiedzeniem a poczuciem krzywdy, ich postaci zaś przez długi czas zdają się całkowicie autonomiczne i samowystarczalne w wymierzaniu sprawiedliwości. Żadnego egzorcysty im nie potrzeba.

Zapewne najbezpieczniej byłoby, jak śpiewała Barbara Krafftówna, „w czasie deszczu nie mieć dzieci”, lecz film Vogta nie diabolizuje dzieciństwa wzorem innych horrorów. Uduje się w nim zaczarować je i zarazem po ludzku odczarować. Choć pozostaje ono ziemią nieznaną, to zaludnioną przez fascynujące, niejednoznaczne istoty, które warto poznawać – byle tylko bez upupiania, nadmiernych sentymentów i przedustawnych sądów. Dzięki temu próżno szukać w „Niewiniątkach” upiornego teatrzyku kukiełkowego, a ironia tytułu wcale nie jest aż tak ironiczna, jak by się początkowo mogło wydawać. ©

NIWINIĄTKA (*De uskyldige*) – reż. Eskil Vogt. Prod. Norwegia/Finlandia/Dania/Szwecja/Francja/Wielka Brytania 2021. Dystryb. M2 Films.

WARTO ZOBACZYĆ

1. Młody Platon



Dokumentalny, reż. Neasa Ní Chianáin, Declan McGrath, Irlandia/Wielka Brytania/Belgia/Francja 2021, vod.mdag.pl

Aż trudno uwierzyć, że gdzieś istnieje takie miejsce: katolicka szkoła dla chłopców w dzisiejszym Dublinie uczy, jak samodzielnie myśleć i rozwiązywać codzienne konflikty bez przemocy. Prócz oddanej kadry przewodnikami są starożytni greccy filozofowie, którzy pomagają uczniom zrozumieć traumatyczną przeszłość miasta i radzić sobie z własnymi emocjami.

2. O niedogodności narodzin



Dramat/s.f., reż. Sandra Wollner, Austria/Niemcy 2020, Nowe Horyzonty VoD, do 7 VIII
To nie jest adaptacja książki Emila Ciorana,

ale współczesna wariacja na temat kondycji ludzkiej, tożsamości, pamięci i ducha mieszkającego w maszynie. Ubrana w szaty mocno kontrowersyjne, opowiada o losach androidalnej dziewczynki, która wyrwa się na wolność, po czym przechodzi z rąk do rąk zaspokajając rozmaite deficyty i fantazje.

3. Dom z drzazg



Dokumentalny, reż. Simon Lereng Wilmont, Dania/Szwecja/Finlandia/Ukraina 2022, vod.pl, vod.mdag.pl

Od 2014 r. dorasta w Ukrainie pokolenie dzieci wojny, często strauatyzowanych i odciętych od najbliższych. Bohaterami filmu jest trójka podopiecznych tymczasowego domu dziecka niedaleko linii frontu. Poznajemy ich smutne historie, przyglądamy się codziennemu funkcjonowaniu, a jednak chce się wierzyć, że jeszcze nie wszystko dla nich stracone.

4. Lux Aeterna



Thriller, reż. Gaspar Noé, Francja 2019, HBO Max, Nowe Horyzonty VoD
Użycie stroboskopowego światła to nie jedyny eksces w tym filmie.

Francuski prowokator zabiera nas na plan luksusowej reklamy, żeby w trwającym niespełna godzinę infernalnym spektaklu opowiedzieć – pół żartem, pół serio – o tym, jak kultura, ta dawna i współczesna, składa kobiety na stosie. A w obsadzie Béatrice Dalle, Charlotte Gainsbourg i znane modelki.

JAN

Klata: Szukaj wiatru



ZABRONIĆ NIE ZABRONISZ, ALE I TAK BOLI. Egzemplarz kolekcjonerski w kształcie okrągłej powierzchni z rowkami, jeden jedyny, najjedynieszy w swoim rodzaju, najunikatowszy, bez odpowiednika, drugiego takiego nie ma i nie będzie.

Ale nie to boli, że jest rynkowa potrzeba inwestycyjnego artefaktu w jednym egzemplarzu winylowej płyty. Nawet nie to boli, że jak jest potrzeba, to i zaspokojenie się zawsze znajdzie – wszak tak działa (post)kapitalizm: możni tego świata parkują kapitał.

Dom aukcyjny Christie's wie, jak działa system, wszak tu właśnie zaparkował swój kapitał François Pinault, a kto jak kto, ale François Pinault wie, gdzie zysk. Rynek aukcyjny je mu z ręki, a przecież tyle jeszcze rzeczy do wylicytowania... Na przykład Dylan, Bob Dylan. A konkretnie: płyta z autorskim wykonaniem piosenki Boba Dylana. Jakiej piosenki? „Ballad of a Thin Man”? „Gotta Serve Somebody”? „Everything Is Broken”? Pudło. Niestety,

za 1,5 mln funtów na aukcji Christie's ktoś wylicytował TĘ piosenkę. Stał się szczęśliwym, jedynym we wszechświecie jej posiadaczem/czką. Posiadł „Blowin' in the Wind”. To boli. Gdybyż to jeszcze nie był Dylan. Gdybyż po prostu Madonna nagrała jeszcze raz „Material Girl”. Albo Abba – wiadomo co. Ale niestety, ból targa mym trzewiem...

Bowiem w marcu 2021 r. niejaki Bob Dylan wszedł do studia i dał nagrać pierwsze od 1962 r. wykonanie legendarnego songu. Następnie pieśń wtłoczono w rowki, w jednym jedynym inwestycyjnym egzemplarzu, oprawiono w gustowną skrzyneczkę, przewieziono do Londynu na aukcję i zlicytowano, wbrew jej woli, jak pozwałam sobie domniemywać. Jeszcze mi wolno tak domniemywać, mam nadzieję. Nieznajemu z imienia „szczęśliwemu posiadaczowi/czce” życzę, aby się ową płytą solidnie puknął w głowę. Chyba że jedyna w swoim rodzaju piosenka ma syndrom sztokholmski i lubi swemu posiadaczowi tańczyć tak, jak jej zagra. Ale wątpię. Oto mój protest song, durny, marny i daremny, ale przynajmniej w wielu egzemplarzach. ©

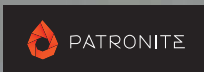
**TYGODNIK
POWSZECHNY**

weź, słuchaj!

JAGIELSKI STORY

Wszystkie strony świata – w jednym podkaście rozmawiają Wojciech Jagielski i Krzysztof Story
TygodnikPowszechny.pl/podcast

Dołącz do społeczności
patronite.pl/PodcastTygodnikaPowszechnego



PAWEŁ

Bravo:

Masz krowo placek



TRZY PRZECINEK OSIEM SZTUK KROWY, WIE-
prza, kury, a także owcy, indora oraz
wszelkiego innego hodowanego stwo-
rzenia występuje na hektar przelicze-
niowy ziemi rolnej w Królestwie Nider-
landów. To naprawdę dużo – taka na
przykład Polska, dumne imperium drobiowe i mleczarskie
eldorado, może się pochwalić niecałym ogonem na hektar,
a Niemcy mają tylko ciut powyżej jednego. Jeśli doliczyć do
tego powierzchnie, które zajmują szklarnie, to w ogóle dziw,
że mieści się tam jeszcze garstka ludzi i ich rowery.

I te niecałe cztery zwierzęta na hektar to dużo za dużo, je-
śli mamy na sercu równowagę w przyrodzie oraz kondycję
planety. Krowi żołądek to genialne urządzenie do trawienia
prawie wszystkiego, ale zachodzące w nim procesy emitują
metan, bardzo szkodliwy gaz cieplarniany. Gdyby krowy po-
traktować jako osobny byt geopolityczny (wyobrażam to so-
bie znakomicie – całkiem przyjemne do życia, pokojowe pań-
stwo), byłyby szóste na świecie pod względem jego emisji.

Od kilkunastu lat firmy biotechnologiczne próbują wy-
korzystać solidnie potwierdzony naukowo fakt, że spożycie
czosnku zmniejsza w istotny sposób konieczność emitowania
po posiłku metanu. Prace nad suplementem do krowiej paszy
dającym się stosować w praktyce, a nie tylko w warunkach la-
boratoryjnych, to opowieść o ludzkim geniuszu zapędzonym
do zadań tak absurdalnych, że aż pięknych. Z pewnością do
tego w naszej rubryce powrócimy, także z racji nigdy dość
gromko wyznawanej miłości do czosnku. Ale dziś
na pierwszym planie są związki azotu – nie-
zbędne, żeby cokolwiek wyrosło, ale w nad-
miarze czyniące spustoszenie w ekosyste-
mach. Uboczny produkt hodowli zwierzę-
cej, w każdej zrównoważonej gospodarce
bardzo cenny i pożądany. Holendrzy jed-
nak (a także Niemcy z sąsiedniego landu
Dolna Saksonia) udowodnili, że zbyt ob-
fity obornik i gnojówka mogą okazać się
przekleństwem, a nie cennym nawozem.

Niderlandzki rząd wziął się za ogranicze-
nie obecności azotanów w glebach i wodach,
zgodnie zresztą z wytycznymi unijnej strate-
gii przewidującej redukcję wszelkich rolnych
dopalaczy, od których Europa w XX wieku
się uzależniła, budując na nich swój agro-
imperializm. Funkcjonariusze tego imperium
wcale nie przypominają złowrogich generałów
i kolonizatorów w mundurach khaki. To rolnicy
w gumiakach i na traktorach, chciałoby się rzec
– sól ziemi. Sami zresztą tak o sobie myślą i reagują
w jedyny możliwy sposób, gdy rząd każe im ograni-

czyć pogłowie czy wręcz zapowiada zamykanie gospodarstw.
Wszak ja tu, panie, z dziada pradziada widłami ten gnój prze-
rzucam! – krzyczą, nie rozumiejąc, że to, co robił pradziad,
w dzisiejszej wersji turbo jest dla wszystkich zabójcze.

W lipcu na niderlandzkich drogach i ulicach zrobiło się
gorąco, zapłonęły stosy słomy, policja nawet ostrzelała blo-
kady. Rząd nie po to stworzył w styczniu osobne minister-
stwo ds. polityki azotanowej, żeby teraz tak po prostu ustąpić
– powołano mediatora, zobaczymy, co z tego wyniknie. Tym-
czasem przedstawiciele zbuntowanych hodowców jeżdżą
po świecie w poszukiwaniu wsparcia. I to wsparcie dostają,
przede wszystkim moralne – o ile słowo „moralność” pasuje
do takich tuzów alt-prawicy jak Janusz Trump i Donald Ko-
walski (a może odwrotnie? Wybaczcie, pogubiłem notatki).
Panowie – i panie, bo Marine Le Pen też znalazła chwilę, by
się oburzyć – już zabrali głos, a polskie ministerstwo spra-
wiedliwości obiecało interwencję w obronie deptanych praw
człowieka. To oczywiście farsa, ale spotkanie z naszym mini-
strem rolnictwa może mieć nawet polityczne skutki, o ile na
serio mówił o montowaniu koalicji nacisków w Brukseli na
rzecz cofnięcia niektórych ograniczeń i zakazów.

Niedawno pisałem o sytuacji na Sri Lance, gdzie władza cof-
nęła zegar postępu w rolnictwie – w zupełnie jednak innym
kontekście i warunkach wyjściowych. Zresztą nie trzeba
wiele wyobraźni, żeby pojąć, że rolnika tamilskiego z holen-
derskim niewiele łączy. Gdzie my się z naszą Polską w roz-
kroku lokujemy na tej skali? Jak daleko w stronę niderlandz-
kiego jej krańca wolno się posunąć? I kto ma prawo powie-
dzieć: stop? Kazać ludziom oddać na ubój połowę stada albo
ograniczyć zasiew? Wiem, to są wszystko ciężkostrawne py-
tania i problemy, a właściwie nawet nie tyle problemy, co
ściana, o którą prędzej czy później rozbijemy sobie łby. Ale
to też jest smak tego lata, nie da się go wypłuć wraz z łuskami
młodego słońca. ©P

Coraz łatwiej na targach dostać cukinie o właściwym
rozmiarze – to znaczy nie dłuższe niż 15 cm. Takie
maleństwa najlepiej się smaży, piecze lub gotuje na parze.

Ale co, jeśli znajdziemy tylko dwa razy większe
grubasy? Można je zapiec z nadzieniem,
np. z ricotty. Rozcinamy **cukinię** wzdłuż, ale nie
na równe połowy, tylko tak, żeby zdjąć z niej
„pokrywkę”. Wydrążamy ostrożnie miąższ
odpowiednim narzędziem lub łyżeczką
do kawy, **solimy** uzyskaną łódeczkę,
odkładamy. Miąższ siekamy drobno
wraz z odciętą częścią, podsmażamy
na **oliwie** z **czosnkiem** przez kilka
minut. Kiedy wystygnie, mieszamy
pół na pół z **ricottą**, sporą garścią
tartego **parmezanu**, **pieprzem**
i np. **tymiankiem** lub **cząbrem**,
dodajemy tyle **bulki tartej**, żeby
wyszła zwarta masa. Przekładamy
ją do łódeczek, które osuszyliśmy z wody,
jaka wydzieliła się pod wpływem soli, na
wierzch jeszcze trochę tartego sera i bulki,
skrapiamy oliwą, pieczemy w 180 st. C
około pół godziny, aż ładnie się zrumieni.



WIĘCEJ NIŻ MGŁA

W górach wysokich polityka i granice,
przynajmniej z perspektywy wędrowca, gubią znaczenie.
Jest się w górach, a nie w Iranie.

ANDRZEJ JURA



Ostatnio młodzi mężczyźni w Iranie zapuszczają efektowne wąsy. Długie, czarne i podkreślone jak na bardzo starych filmach. Piszę „ostatnio” na wyrost, bo nie wiem dokładnie od kiedy, ale gdy przyjechałem tam w czerwcu, to już je nosili. Do dziś, pomimo konsultacji na komunikatorach z Irańczykami, nie udało mi się też ustalić z całą pewnością, czy coś symbolizują, na przykład powrót do tradycji, czy to zwykła moda.

Jakość informacji jest w Iranie taka, jak w każdym kraju reżimowym. Do wszystkiego, jak powiedział mi kolega stamtąd, trzeba by dodawać „rzekomo”, a ofiarami tej sytuacji w pierwszej kolejności są sami Persowie.

Chcemy stąd wyjechać

Wąsa miał chłopak, który prowadzi knajpkę z wyborną kawą w górskim miasteczku nad Morzem Kaspijskim. Wiem, że nie można podawać jakichkolwiek danych, które mogłyby zidentyfikować autora takiej wypowiedzi: – Stary, my jesteśmy po prostu bardzo biedni.

Nic nie wybrzmiało w czasie tej podróży silniej i szczerzej. Nic mnie bardziej nie dotknęło, bo jego wzrok i język ciała wołały: „Zabierz mnie stąd”.

Był wczesny wieczór. Miasteczko leży na granicy lasu, a w zasadzie lasów – tuż ponad nim rosną świerki, które wydawało mi się, wydzielają inną woń niż te nasze, lżejszą i jakby kwiatową. Niżej zaczyna się Hyrcanian Forest (nie znajduję tłumaczenia w języku polskim), fenomen, w uproszczeniu niewybaczalnym dla przyrodników – dżungla. Porasta północne zbocza gór Alborz. Zatrzymują one wilgoć znad Morza Kaspijskiego (tak naprawdę wielkiego jeziora), która gęstnieje w ruchomą taflę i przypomina złociste morze ponad tym niżej, błękitnym i mniej subtelnym. Powinno być odrębne słowo, by nazwać to zjawisko. Pewien Irańczyk deklarował, że jest, ale potem się z tego wycofał. Nie odnalazłem w farsi niczego poza „mgłą” i „chmurami”, a to za mało.

Kiedy zamawiałem espresso, wszystko ciekło. Postaci i rzeczy wylaniały się z szarości tylko na chwilę, by znów zanurzyć się w ruchomym mroku, jakby tylko w tym czasie istniejąc, w półkształcie i bez konturów. Młody właściciel kawiarni był zaciekawiony moją obecnością i złąkniony kontaktu ze światem.

– Stary, my po prostu chcemy stąd wyjechać – wyznał i usiadł obok mnie w pustej izbie. Mgła gęstniała. Rozmawialiśmy o książkach Hoomana Majda, Amerykanina irańskiego pochodzenia.

Jestem niemal pewny, że się zapamiętamy. On powiedział mi to w zasadzie wprost – jak ważne są dla niego takie rozmowy, kiedy mówić z kim nie ma. Ja wiem to dopiero dziś, bo znów się nie udało: w podróży przygodność zdarzeń koresponduje z wybiórczością pamięci i jej autonomią. Ona tasuje sceny, na nic zdają się prognozy i minione doświadczenia – zostaje to, co nie miało zostać, los, jak ta wspólna kawa. Ten chłopak chciał uciec z miejsca, w którym ja pragnąłem zostać. Bo jak to wygląda?

Taarof

Miasteczko leży mniej więcej na dwóch tysiącach metrów nad poziomem morza, u stóp wielkich gór zielonych jak marzenie. Wokół pełno zwierząt, a najwięcej koni. Ono samo, pełne brukowanych ulic, jest czyste i daje wszystko, co potrzeba człowiekowi po całym dniu marszu. Przy głównej ulicy jest obfitość produktów i pełno ludzi. Czasem mgły ustępują i białe wyposzczone światło napelnia ulice. Dla tego wszystkiego przyjeżdżają tu irańscy turyści, spragnieni roślinności i deszczu, ale nie obcokrajowcy, którzy ciągną, a raczej ciągnęli (przed pandemią) na południe od Teheranu, na Isfahan, Jazd, Sziraz.

Wyjąłem banknoty, żeby zapłacić za kawę i bakławę. Kawiarniarz upierał się, nie, w żadnym wypadku.

– Człowieku, daj sobie spokój z tym taarofem – powiedziałem. – Musisz zarabiać.

Wyraźnie go rozbawiło, że tak szybko rozbroiłem ten rytuał albo może jego szczerą chęć ugostczenia mnie za darmo. Pozwolił mi zapłacić, a ja przypomniałem sobie, jak wiele razy słyszałem od młodych ludzi, że nienawidzą taarofu. To sztuka pokornego unizania się, coś więcej niż kindersztuba, kompetentnie opisał ją wspomniany Majd w książce „Ajatollah śmie wątpić”. Wydaje się, że to jedno z tych zjawisk, które wymykają się skrótowemu opisowi, to trzeba zobaczyć. Na przykład taksówkarza, który broni się przed przyjęciem opłaty. Tak, to z pozoru coś podobnego jak gest „pan pierwszy/pani pierwsza”, ale silnie ukorzenione w kulturze i z ukrytymi znaczeniami, dzięki którym – jak pisze autor – ten, który ustępuje, w gruncie rzeczy wzmacnia swoją pozycję. Młodzi tego nie znoszą, przynajmniej ci, z którymi miałem do czynienia. A jeśli kawiarniarz nienawidzi Iranu, a tak wynikało z jego deklaracji, to, jak przypuszczam, nie cierpi też taarofu.

Ja, jako przybysz, miałem w tym wszystkim fory. Dziele spotkanych ludzi na tych, którzy bez taarofu nie wyobrażają sobie świata, i tych, którzy chcą żyć po swojemu. Raz jednak musiałem się z tym zmierzyć, przy plantacji herbaty

→



→ w Vajargah, nad morzem w pobliżu Ramsar, w którym szach spędzał wakacje.

Zakłady przetwórstwa wyglądają w tym rejonie jak całkowite przeciwieństwo barwnych landszaftów na opakowaniach z herbatą. Gdzieś na uboczu, w nieobeszłym zielsku. Stare odrapane budynki. Duchota. Żadnych szyldów. Przypomina to trochę dawniejsze młockarnie na wsi, gdzieś na tyłach podwórzy, za stodołą, gdzie nie sięga oko ciekawskich. Wszedłem do budynku. W powietrzu unosił się kurz i cierpka woń.

Mężczyźni, kiedy podnosiłem aparat, odwracali głowę. Za kasą siedział wielki facet. Powiedziałem, że tylko na próbę, do domu, odparł, że w takim razie kilogram. Wyspał do worka suszone liście najwyższej klasy, czyli zebrane z górnej części krzaka. Wyjąłem pieniądze, a on, rozprostowując przed sobą teatralnie długie palce dłoni, odparł, że nie ma mowy. Trochę to trwało, a on, chyba pozbawiony kontaktu z obcokrajowcami, zupełnie nie zdziwił się, że podjąłem tę grę, pewnie nie wiedząc, że wielu obcokrajowców nie ma pojęcia, o co chodzi. Z tym workiem herbaty przemierzyłem prawie całe wybrzeże Morza Kaspijskiego, zanim dotarłem do miasteczka sprzedawcy kawy.

Herbata

Chciałem dotrzeć na pola herbaty, odkąd pewna Gruzinka w pobliżu wsi Kvartati nad Morzem Czarnym podarowała mi woreczek herbaty z domowego ogródka. Smakowała wybornie. Ale tam, w prowincji Adżaria, nie znalazłem plantacji, nic tylko kolejny zrujnowany i nieczynny zakład. Tym bardziej chciałem dotrzeć do pól herbacianych, odkąd w Iranie wypilem pierwszą szklankę czaju – i nie mogłem rozpoznać smaku. Nie spodziewałem się, że Persowie do herbaty dodają różę damasceńską, która rośnie obficie w rejonie Isfahanu, używaną też do potraw. Plus laska cynamonu i dla chętnych nabat, czyli skrzystalizowany cukier z szafranem. To naprawdę ma smak.

Perską herbatę parzy się długo, nawet kwadrans, wcześniej zalewając ją na chwilę zimną wodą i przepłukując, żeby pozbyć się goryczy. Potem czaj dochodzi w wielkich dzbankach postawionych na wielkich samowarach. Zawsze kiedy wybieram pomiędzy herbatą z Bliskiego Wschodu a tą wypromowaną w dalekiej Azji, stawiam na tę pierwszą. Jest mocna, ale lekka. Można ją pić litrami, bo gasi pragnienie. Rozjaśnia umysł, a to jest wyjątkowo potrzebne tam, gdzie jest nie tylko gorąco, ale też duszno, jak na Borneo.

Bo kto to widział? Takie pocieranie światów. Jakby krainy geograficzne stykały się niczym płyty tektoniczne. Tropiki, pięciotysięczniki i diuny. Przyroda nie sprzyja ideom, do jakich należy religia. Wszystko, razem z nimi, w tych szybkich tropikach się rozłazi i butwieje. Nie da się ukryć tego syfu w Morzu Kaspijskim, zatratum wyziewami cywilizacji, od Wołgi przez Baku po Ramsar. Nie da się ukryć porzucenych osiedli, gór śmieci i konia o poranku przy plaży Czału,

Wysoko w górach stała pasieka, a nad nią siedzieli

na płóciennych krzesłach
kobieta i mężczyzna
wpatrzeni w otchłań światła
i wody u stóp. Wszystko,
co złe, zostało uwięzione niżej
i nie mogło znaleźć drogi
ucieczki ku niebu.

kiedy plażowiczki w czadorach jeszcze nie dotarły, a on tam stał przy rdzy i diabelskim kole, z pochyloną głową, nieruchomy jak symbol. Tylko czego? Nie da się wkroczyć do wszystkich domów, w których ludzie wiedzą swoje życie, pędzą bimber i kombinują, jak uciec. Żaden reżim nie zwyciężył przyrody i ludzkiej pamięci. A ta jest tu silna.

Sceny z Farhadiego

Przekonałem się o tym pierwszy raz, kiedy zjeżdżałem taksówką z okolic wsi Polur – w pobliżu wulkanu Demawend, na który wcześniej się wspinałem – w kierunku Morza Kaspijskiego. Najpierw przykuwają wzrok urwiska, pod którymi leżą wsie. Ich fantastyczny rozmiar wykracza poza skalę, do której przywykło oko, i nie pozwala skupić się na rozmowie, a przecież to znak tej krainy, gdzie wszystko – jak pejzaż – jest rozrośnięte, skrajne i z początku przytłacza.

Dopiero po godzinie spędzonej w aucie mogłem skupić się na młodym absolwencie inżynierii, który zaprosił mnie do wynajętej willi na wybrzeżu. Wspólnie ze znajomymi żegnali swojego kolegę, który emigrował za resztą swojej rodziny do Australii. A już myślałem, że opowieści o częstych zaproszeniach obcokrajowców do domów to bajki. Czułem się trochę jak w filmie „Co wiesz o Elly?” Farhadiego, z miejscem akcji w tej okolicy, w willi na mokrym wybrzeżu. Zamiast dramatycznych wydarzeń była długa rozmowa bez alkoholu i innych używek. Pamięć, którą chcą manipulować ajatollahowie, znajduje schronienie w prywatnych domach, w nadmorskich willach, jakby woda i wyniosłe góry dawały tu podwójną gwarancję bezpieczeństwa, iluzoryczną, rzecz jasna, ale to zawsze coś.

– Oczywiście, że wiemy, że za szacha nie było raju, ale co to ma do rzeczy – powiedział Jauad. Jego dziewczyna, którą czule całował, powtórzyła dwa razy: – To jest za stare i za duże.

Miała na myśli państwo, reżim. To dobrze ilustruje, jak zmęczeni i pozbawieni nadziei są młodzi Irańczycy.

– Każdy zamyka się w swoim prywatnym światku i próbuje przetrwać – dodała dziewczyna, absolwentka inżynierii, zatrudniona jako fryzjerka, bo innej pracy nie było, ale dzięki niej udało jej się uniezależnić od swojej wiejskiej rodziny, kochającej, lecz nie do zniesienia konserwatywnej. Powoli jej bliscy też dostrzegają głupotę systemu scalonego z religią, w szczególności tata – odkąd kupił smartfon i przegląda internet.

– Sytuacja kobiet też się pogorszyła, tak jak wszystkich – ocenił Jauad, bezrobotny inteligent, jakich tu mnóstwo, i poprosił o subskrypcję swojego kanału na YouTube. Dotąd udało mu się zebrać trzy lajki. Wieczorem, siedząc na głazie i patrząc na morze, śpiewał smutne perskie pieśni.

Na zachód. Czału, Ramsar, Czaboksar, Rudsar. Benzyna – ze 30 groszy za litr. W Rudsar małe rondo. Przy rondzie sklep z herbatą, ale nietypowy: sprzedają worki wielkie jak na owies. W sklepach przy drodze podobnie, kopce

czarnej herbaty z Lahidzan, bardziej na północ w kierunku Azerbejdżanu. Dobrze jej tu w cieple pod grubym płaszczem mgły. Na plantacje Vajargah zabral mnie Sale po tym, jak zobaczyłem u niego w kuchni wielki wór z herbatą. Sale wyprowadził się z żoną z Teheranu, gdzie przed laty otworzyli jeden z pierwszych w Iranie foodtrucków z kawą z ekspresu, bo wcześniej piło się tu tylko tę tradycyjną, zaparzaną.

To typ, który zaprowadza w miejscach nowe porządki, uprzedza mody – i zwykle na tym traci. Nad morzem, w otoczeniu pól ryżowych i bujnych sadów pełnych komarów, założył agroturystykę, ale chwilę później wybuchła pandemia. Kiedy przyjechali pierwsi turyści, nie mogli znaleźć jednej osoby do pomocy wśród miejscowych.

– Cholera ich wie, mają te pola ryżowe i nic im chyba więcej nie trzeba. Albo leniwi są – powiedziała Deniz i w dwie minuty przeobraziła się: odłożyła papierosa do popielniczki, na kuse podziurawione spodenki narzuciła długie ciuchy i chustę, i tam – za bramą – stała się kimś innym, zupełnie innym.

Pojechaliśmy do Rudsar, do modnej knajpy, bo najbardziej w tym miejscu brakuje im znajomych i miejskiego życia, więc może wkrótce przeniosą się gdzieś dalej, w kierunku większego miasta Raszt, gdzie Deniz mogłaby uczyć gry na pianinie. Bo kiedy przychodzi zima i leje od rana do wieczora, to wysokie mury opasane różami, które chronią przed niepożądanym wzrokiem, wywołują wyłącznie depresję.

Wspinaczka

Trudno było się rozstać po tych paru dniach, gdy definicją spełnienia w podróży jest poznać ludzi, do których chce się wracać. Kręta droga, powyżej ich domu, wwierca się w gęsty las. Po chwili wjeżdża się w zimny stop mgły i chmur. Nie widać nic. To trwa ze dwie godziny, aż w nicości rysują się kształty budynków. To wieś-kolonia założona powyżej granicy lasu przez ludzi, którzy na co dzień mieszkają na wybrzeżu, a tu spędzają całe lato ze stadami zwierząt. Nic nie chroni tu skutecznie od ziąbu i minie jeszcze niejeden sezon, nim ta wieś upodobni się do miasteczka, o którym opowiadałem, po drugiej stronie wielkiej góry.

Przy ulicy dymią mokre kłody, nad którymi pieką się szaszłyki z baraniny. Mięso wisi na haku. Dobrze, że jest herbata, która grzeje i dodaje animuszu. Poszliśmy spać wcześnie, tuż po meczu piłki ręcznej FC Barcelona–Łomża Vive Kielce w finale Ligi Mistrzów. Wybrał się ze mną na najwyższy szczyt tego pasma górskiego kulturysta z Teheranu, przyjaciel Salego i Deniz. Chciał zobaczyć słynne morze nadkaspjskich mgieł i zapalić na wierzchołku trawę. Nie udało mu się. Siłownia to nie trekking. W połowie zbocza zawrócił, pewnie dobrze dla niego, bo potem było tylko trudniej, prawie dwa kilometry w pionie. Gorzej dla mnie, bo człowiek nie powinien wychodzić sam w doliny pełne psów pasterskich.

**Perską herbatę parzy się
nawet kwadrans,
wcześniej zalewając ją
na chwilę zimną wodą
i przepłukując, żeby pozbyć
się goryczy. Jest mocna,
ale lekka. Można ją pić litrami,
bo gasi pragnienie
i rozjaśnia umysł.**

Tamtego dnia mgły podciągnęły wysoko. Dopiero kiedy człowiek wyjdzie ponad nie, czuje się wolny, jak tylko zaczyna rozróżniać kierunki i odczuwa nieokreśloną ulgę. Być może coś podobnego czują konie, których stada, rzadko zganiane do zagród, pasą się po rozległych zboczach. Ich ciała lśnią nad klębiastą tarczą wyłożoną światłem.

Zanim wszedłem w kamienisty żleb, minąłem ostatnich ludzi. Wysoko w górach stała pasieka z małymi ulami, a nad nią w milczeniu siedzieli na płóciennych krzesłach kobieta i mężczyzna, wpatrzeni w otchłań światła i wody u stóp. Widziałem ich tylko przez chwilę, efemerycznych i nierealnych, zanim zniknęli w chmurach.

Nie poruszali się, spokojni, jakby wszystko, co złe, zostało uwięzione niżej i nie mogło znaleźć drogi ucieczki ku niebu. Bliżej południa mgły jak jedwab strzępiły się na urwiskach, odsłaniając czarny kontur wybrzeża. Światło ściekało z wodą po skałach i dachu kamiennej pustej chałupy nieobecnego pasterza.

Miasteczko kawiarza

Schodząc ze szczytu, zobaczyłem po raz pierwszy, głęboko w dolinie, miasteczko kawiarza z wąsem, ale rozpiętość doliny nie pozwalała trafnie ocenić, jak daleko się znajduje. Wędrując w dół po zdobyciu szczytu, traci się czujność. Mijała piąta godzina, a do miasteczka był szmat drogi. Tam, po północnej stronie zboczy, bliżej morza, zieleń pieściła zmysły. Ciężko jest się podnieść, kiedy człowiek rozłoży się na trawie. Do tego czuje się, jak u siebie. W górach wysokich polityka i granice, przynajmniej z perspektywy wędrowca, gubią znaczenie. Jest się w górach, a nie w Iranie. Ta sama woń i barwy jak na innych trawiastych graniach smaganych słońcem. Wędrowiec zapomniał jednak, że niesie woń obcą psom pasterskim, które pilnują tu stada owiec, kóz, a niżej krów. Były daleko, na dnie doliny, ale przybiegły. Wielkie i agresywne.

Udało mi się oddalić, ale z radością zanurzyłem się w pochmurną biel, która oblepiała barwne miasteczko i jedyne miejscowe sprzedawcę kawy w królestwie herbaty. W końcu, wycieńczony spotkaniem z psami, wszedłem na ruchliwe ulice. Pod wielkim drzewem siedzieli starcy i grali w planszówkę. Kiedy pojawiłem się przed nimi w opłakanym stanie, zapytali, skąd się tu wziąłem. Odparłem, że z drugiej strony góry, i wymieniłem jej nazwę. Skąd? Dopytywali. Z Poland, odrzekłem, ale od razu dodałem Lechistan, bo tylko wtedy kojarzą. Na to słowo, które zaczęli powtarzać, wyraźnie pobudzili się i pokrzykiwali za mną, aż w końcu skupili się na własnym kręgu, próbując skonfrontować wspólną wiedzę na nieoczekiwany temat.

Bo przecież ja, z kilogramem herbaty przytroczonym do plecaka, zniknąłem już dla nich w tej szarej substancji gęstej jak wata. Te parę przypadkowych twarzy zawsze przywozi się z podróży do domu – i aż strach pomyśleć, dokąd pozabierali nas; w jakich domach ktoś z naszą twarzą przed oczami otwiera nocą lodówkę.

© ANDRZEJ JURA

STANISŁAW

Mancewicz:

Trochę statystyki



ZAISTE, W BEZWZGLĘDNE ZRELATYWIZOWANYM ŚWIECIE JEST NIEWIELE PEWNIKÓW. Ktoś, teraz, *ad hoc* poproszony o wymienienie choćby jednego, powie np., że Ziemia nasza ojczysta jest płaska jak placek ze śliwkami. I że jest to pewne jak amen

w pacierzu. Zasiać temu komuś niepokój w głowie i w sercu nie będzie trudno, gdy mu powiemy, że Ziemia jest – do diaska – kulista. Niepokój to jedno, konflikt to drugie. Kula czy placek – tego nie da się pogodzić. W czasach okrutnych rygorów światopoglądowych – jeśli idzie o kształt Ziemi „światopogląd” to słowo idealnie pasujące – musimy spróbować być jednak elastyczni. Humanistyczni.

Nie jesteśmy przecież rygorystami, fundamentalistami, moralnymi sztywniakami, więc w rozmowie, także z człowiekiem pewnym plackowatości planet, chcemy zgody. Podajemy więc sobie ręce ponad podziałami i bez nienawiści ustalamy kształt pośredni – czyli że planeta Ziemia ma kształt bułki wrocławskiej. Gdy każdy – popatrzymy – nieco odpuści, mimo wszystkich różnic rozstaniemy się z satysfakcją wynikłą z pozostania przy części własnego zdania, w godności. Placek zbułczał, kula skłęsała. Ten prosty wywód pokazuje, że zawsze można się dogadać, nawet tu, w kraju po wielokroć zroszonym. Po drugie, skonstruowanie tych kilku myśli wzięło się wprost z odsłuchania opinii Gospodarza na temat młodzieży, smartfonów i wzmaganie dzietności.

Oto za pewnik należy przyjąć fakt, że Gospodarz od wielu dziesiątek lat nie korzysta z komunikacji miejskiej. Wszędzie jeździ opancerzoną limuzyną, w towarzystwie zbrojnych, którzy sączą mu wizję świata nieistniejącego, a z limuzyny tej poziera na nocne a hulaszczę życie naszej umiłowanej

młodzieży. Dlaczego o tym piszemy? Dlatego, że szczególnie w tramwaju, w dzień, nie w nocy, widać, jacy są dziś i Polak, i Polka. Smartfon trzyma w ręku każdy podróżujący, czy to starzec, czy uczeń, kobieta bądź mężczyzna. Wiemy, co mówimy, od lat bowiem prowadzimy nasze prywatne statystyki, z których wyciągamy specyficzne wnioski. A więc zawsze liczymy w tramwajach ludzi ze smartfonami w ręku, kobiety ze sztucznymi rzęsami oraz dorosłych mężczyzn w krótkich spodenkach. Liczby zapisujemy w kapowniku, kapowniki oprawiamy rocznikami. Ciekawskim podajemy przykład takiej notki. „Czwartek. Ósemka. Trasa: Batorego – plac Wolnica, osób w wagonie 31, siedzi w smartfonach 31, kobiet 15, ze sztucz. rz. 15, mężczyzn 15, w kr. spod. 15. Dzieci: 1 szt.”.

Z tej przejrzystej notatki wynika w zasadzie tyle, że korelacja uczyniona przez Gospodarza, że oto na PiS nie zagłosują młodzi ludzie używający smartfonów, jest wzięta z sufitu. Nie chcemy popadać z nikim w konflikt, więc tak, jak z kształtem Ziemi, zgódźmy się, że na PiS nie głosuje tylko połowa skrolujących podróżnych, a owo jedno podróżujące dziecko nie świadczy o zapaści prokreacyjnej kraju. Reszta dzieci wkuwa, a to akurat jedzie – dajmy na to – do znajomych, napić się. Każdy powie, że z żelazną konsekwencją trzymamy się logiki naszego wyводу. Chciałoby się rzec: Ojciec Narodu, smartfon nie jest przeszkodą w głosowaniu na kogokolwiek, nie konstruuje, dekonstruuje ani nie determinuje jakiegokolwiek konkretnego światopoglądu. Nie jest dziś znakiem ani nowoczesności, ani elitarności i nie hamuje nastroju do prokreacji, może czasem, ale jednak bez przesady.

Idźmyż dalej, jesteśmy bowiem już blisko tematu, który nas szczególnie ciekawi, bez względu na to, kto w Polsce rządzi. To osławiona dzietność. Ma ona tu znaczenie magicznego celu: by nas, Polaków, było więcej i więcej. By Polak z Polką rozmnażali się w stosownym politycznie tempie, najlepiej, by liczba urodzin wzrastała przy końcu kadencji akurat rządzących. Za przeproszeniem: *Citius – Altius – Fortius*. „Dzietnijcie się” – wołają politycy, a jest to słowo wypowiedziane tylko przez nich. Normalni ludzie nie używają go nigdy. To spostrzeżenie warto sobie zapamiętać, że dzietność to parametr, do którego wypada dodać statystyki i opisy okoliczności rozmnażania się naczelných. ©

BARTOSZ MINKIEWICZ



Redaktor senior skończył 88 lat!



GRAZYNA MAKARA

Na zdjęciu (od lewej): Jacek Ślusarczyk, prezes zarządu „Tygodnika Powszechnego”; Anna Dziurdzikowska, asystentka zarządu ds. prawnych; Adam Boniecki, redaktor senior; Piotr Mucharski, redaktor naczelny.

Dziękuję serdecznie za życzenia z okazji moich 88. urodzin.

Dziękuję za pamięć, która trwa, chociaż na jakiś czas zniknąłem z łamów „Tygodnika”.

Dziękuję za optymizm, który się zawiera w Waszych życzeniach, i dobroć, która z nich bije.

Przepraszam, że nie zdołałem odpowiedzieć każdemu z osobna, ale mam nadzieję,

że kiedy wrócę do pisania, zadośćuczynię wszystkim, którzy okazali tak wielką życzliwość.

I z góry zapraszam na huczną Dziewięćdziesiątkę!

Wasz redaktor senior

KS. ADAM BONIECKI

Dziękujemy Bożenie i Kazimierzowi Urbańczykom oraz:



25. Silesia

Sonans

26.08 - 16.09.2022

**Zapraszamy na festiwal Silesia Sonans w Jeleniej Górze.
Wystąpią m.in. Andreas Scholl, Capella Cracoviensis, Edin Karamazov, Thembi Nkosi, Cohare Ensemble, Tansman Trio.**

**Wstęp wolny, bezpłatne wejściówki dostępne są online: bilety.jck.pl.
Szczegóły: www.silesiasonans.pl**



Parafia
Podwyższenia
Krzyża Świętego

Interreg
Polska-Sachsen
European Regional Development Fund

